

MIEŚCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 7 (322) • ROK XXVIII • LIPIEC 2022



ZE ŚLĄSKA  
W ŚWIAT

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Ubočnym efektem ruchu pielgrzymkowego związanego z Jasną Górą było pojawienie się w Częstochowie prywatnych inicjatyw, zarabiających na pielgrzymach. Poza legendarną produkcją medalików działały jarmarki, bary i miejsca oferujące nocleg. Z czasem stały się elementem miejskiego folkloru. Na zdjęciu współczesny widok alei Najświętszej Maryi Panny.

Szczegóły str. 8



W rejonie styku granic Polski, Czech i Słowacji, z beskidzkich lasów wyłaniają się mury i ziemne obwałowania – to relikty umocnień, broniących niegdyś Przetęczy Jabłonkowskiej przez turecką inwazję z południa. Szańce wznoszone od XVI do XVII wieku przez długi czas pozostawały zapomniane, obecnie odkrywane są na nowo, jako turystyczna ciekawostka. Niektóre z obiektów wchodzących w skład systemu fortyfikacji zaskakują swoim rozmiarem.

Szczegóły str. 32



Dzika, nietknięta ludzką ręką przyroda, ostoja rzadkich zwierząt, odludne, mało uczęszczane tereny i oaza spokoju – tak w skrócie opisać można okolice Beskidu Niskiego. Ten mało znany fragment Karpat to także teren obfitujący w historyczne pamiątki, związane z krwawymi walkami obu wojen światowych oraz narodzinami przemysłu naftowego. O dawnych dziejach tych gór przypominają liczne muzea i skanseny.

Szczegóły str. 50



W 1898 roku na terenie obecnej aglomeracji miasta Wuppertal uruchomiono cud techniki – bezkolizyjną, wiszącą kolejkę, poruszającą się na zawieszonych na słupach szynie. Ten napowietrzny tramwaj kursuje do dziś, usprawniając przemieszczanie się w mieście ale i przyciągając turystów, chcących odbyć podróż jedynym tego typu w Europie środkiem komunikacji.

Szczegóły str. 52

Nr 7 (322). Rok XXVIII. LIPIEC 2022

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
JAROSŁAW KAPSA  
WIEŚLAWA KONOPELSKA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
GRZEGORZ SZTOLER  
JOANNA WAROŃSKA  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. z o.o.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:  
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
Santander Bank Polska S.A.  
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1500 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 4 Ks. Henryk Pyka KOLEKCJA  
6 Michał Spurgiasz ODREBNOŚĆ GÓRNOŚLĄZAKÓW  
8 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa KRAINA MEDALIKARZY  
11 Krystian Krzemiński KAPŁAN PRAW CZŁOWIEKA  
16 Wilhelm Szewczyk PAMIĘTNIK (5) Z rękopisu opracował Marian Kisiel  
21 Stefan Zabierowski POKOLENIE KRZYSZTOFA KAMILA BACZYŃSKIEGO  
24 Adam Lizakowski PAUL CELAN – ŻYD, EMIGRANT, WIECZNY TUŁACZ  
32 Tomasz Bienek NA SZAŃCACH JABŁONKOWSKICH  
35 Zbigniew Lubowski BESKIDZKIE PERYPETIE GOŁĘBIEWSKIEGO  
36 Marian Kisiel CZYTAŁA, WIĘC BYŁA. ANNA WĘGRZYŃIAK 6 WRZEŚNIA  
1951–6 LIPCA 2022  
40 Ryszard Twardoń POWRÓT KOZŁA OFIARNEGO  
47 Władze Naczelne PTTK BĘDZIEMY O NIM PAMIĘTAĆ. EDWARD WIECZOREK  
(1954–2022)  
48 Antoni Wilgusiewicz MY Z KRÓLA LESZCZYŃSKIEGO ALBO MAŁA WITTLINIADA  
49 Janusz Plewniak ĆWIERKANIE BĘDZIE ZAKAZANE!  
50 Tomasz Bienek GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC  
52 Janusz Plewniak PODNIEBNY TRAMWAJ  
54 Wojciech Lipowski OBLICZA PRAWDY  
56 Jacek Okoń ZESZYT ZWANY „SZYCHTOWNICĄ”  
58 Barbara Pytlos W SETNĄ ROCZNICĘ DEBIUTU ZOFII KOSSAK  
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek M5 MYŚLIWSKIEGO: MONOLOG, MON-  
TAŻ, MOTYW, MEMUAR, METAFORA  
68 Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz MOJE DENDRARIUM  
80 Zbigniew Lubowski BIELSKA ZADYMKA JAZZOWA. EKSPRESJA W GÓRACH  
I POD ZIEMIĄ

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: KINGA WALUSZEWSKA-MACIUSZKIEWICZ, CYKL DRZEWA

## POEZJA I PROZA

- 3 Paweł Barański WIERSZ NA OTWARCIE  
14 Paweł Barański WIERSZE  
28 Rachel Bojmwół BAJKI Przełożył Marian Kisiel  
44 Patryk Kominek WIERSZE  
74 Wiktor Nogajczyk WIERSZE

## FELIETONY

- 27 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich LISTY  
39 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek SZATA – OD PROZAICZNO-  
ŚCI DO PODNIOŚNOŚCI  
46 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski ŚWIĘTO MUZYKI I MU-  
ZEUM ŚLĄSKICH ORGANÓW  
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko POETKA POWIETRZA  
76 BIAŁE KRUKI Jan Malicki ZADZIWIWIĄJĄCE LOSY AUTOGRAFU

## KSIĄŻKI

- 62 Maja Siwiec SAMOTNOŚĆ – INACZEJ  
63 Piotr Skowronek CZY ZNAMY JOSEPHA VON EICHENDORFFA?  
64 Piotr Skowronek TRYLOGIA KS. JERZEGO  
65 Grzegorz Sztoler CHŁOPI (ZAWSZE) ZAPOMNIANI. Z KOSĄ I BEZ  
67 KSIĄŻKI NADESLANE

## 78 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce: Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, Drzewa 10. Obraz. Akryl, olej na płó-  
tnie i na papierze. Fot. Michał Cygan  
Tylna strona okładki: Maria Korusiewicz, fotografia.





\*\*\*

mawiali, że nic się nie zmienia i stali  
w miejscu, jak stali. śmieszyło ich,  
że zbawia się świat ratując jedno życie,  
że ratując życie zbawia się świat. tutaj  
krew, błaganie śmierci, gwałcą permanentnie  
obraz w głowie. nic się nie zmienia, mówią –  
rozebrany widać okiem.

a u mnie? znacznie lepiej –  
wiara i szaleństwo, dar i przekleństwo –  
poza tobą, jedyne co mam.  
wciąż za mnie coś mówiąc pisze,  
że ja to pisząc mówię. i gdybym tylko mógł  
powiedzieć, czego sam nie mówię sobie,  
napisałbym o wojnie we mnie,  
opowiedział o miłości w tobie.



rys. Bogna Skwara

**Paweł Barański** (ur. 25 stycznia 1978 w Katowicach) – poeta, redaktor, animator kultury. Autor dwóch tomów poetyckich: *Smętni biesiadnicy* (1999) oraz *Jesień. Wiosna samobójców* (2000). W latach 1998–1999 główny animator Grupy poetyckiej Estakada działającej przy Teatrze GuGalander w Katowicach. Pomysłodawca i organizator Ogólnopolskich Konkursów Poetyckich: „Przeciw Poetom”, „De-konstrukcje”, „Aber-racje”. Stypendysta miasta Sosnowca w dziedzinie kultury za rok 2014. Założyciel i redaktor naczelny medium zaangażowanego „Neurokultura”. Swoją debiut literacki miał na łamach „Wiadomości Kulturalnych” (1994). Publikował m.in. w: „Odrze”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Ha!arcie”, „Megalopolis”, „Undergruncie”, „Ricie Baum”, „Pro-Arte”, „Frazie”, „Śląsku”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim”. Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego do druku tomu pt. *Ego chorum*.

Żyjący na przełomie XI i XII wieku ideowy twórca prześwietlonego witrażem gotyku – opat Suger z Saint Denis, wpatrując się w wyżłoczonego portal benedyktyńskiej bazyliki pisał: *Mdły umysł do Prawdy przez materialne rzeczy się wznosi*. Pod koniec swego życia z coraz większym niepokojem spoglądał na wspaniałość budowli, którą wyposażał. Uważał bowiem, że ludzka niepamięć i ignorancja są pierwszą przyczyną rozproszenia i utraty tego, co powstało z umiłowania Dobra, Piękna i Prawdy. Uważany jest zatem nie tylko za genialnego teoretyka sztuki, lecz także za pierwszego jej konserwatora, który podjął się trudu inwentaryzacji własnych dokonań. Aby przez ludzką niepamięć nie utracono tego, co należy zachować, dla wartości jaką przedstawiają pozostawione przez fundatorów przedmioty, należy je spisać. Bo to co się wie, to się widzi. Wiedza o tym, co się posiada, jest szansą na przetrwanie pamiątek. Mają często nieocenioną, najcenniejszą jednak niedocenianą wartość historyczną, często artystyczną, emocjonalną.

Z pietyzmu dla własnej tożsamości, religijnej, narodowej, społecznej, powstają kolekcje, które przekazywane do wiarygodnych instytucji są zwierciadłem, w którym mogą się przeglądać pokolenia. Był to z pewnością powód, dla którego w roku 1989, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Wojciecha Korfatego na ręce ówczesnego biskupa katowickiego Damiana Zimonia, córki przywódcy śląskiej Chadecji i dyktatora III Powstania Śląskiego przekazały rodzinne pamiątki. 17 sierpnia 1989 Maria Ullmann (1908–1996) wraz ze swoją siostrą Halżką Kozłowską przekazały Kościołowi Katowickiemu złoty zegarek ich ojca i polski pas kontuszowy z 2 poł. XVIII wieku, sygnowany przez działającą w latach 1778–1794 persjarnię w Kobyłce. Podług tradycji podtrzymywanej w domu Ullmannów pas ten był zakładany do polskiego stroju narodowego wraz z Orderem Orła Białego. Prezentowany był z dumą w rodzinie Korfatego jako widomy znak polskiej tradycji narodowej pielęgnowanej przez nią w Stanach Zjednoczonych. Zegarek Korfatego, jak pisały lokalne gazety, znalazł ostatecznie miejsce ekspozycji w hali odpraw portu lotniczego im. Wojciecha Korfatego. Zdeponowany tam został w bezpiecznej gablocie przez arcybiskupa Wiktora Skworca ze stosownym komentarzem 30 grudnia 2021 roku. Pas kontuszowy natomiast był stale ekspozowany w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach, w jego dawnej siedzibie, na wy-

stawie stałej wraz z dwustronnym portretem sarmackim młodego szlachcica herbu Radwan z XVII wieku. Prezentowany jest także w katalogu: „Zbiory Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach”. Podczas pamiętnej wizyty u biskupa katowickiego, córka Korfatego zadeklarowała, że po swojej śmierci przekaze pozostałą część posiadanych przez nią pamiątek do Katowic. Ze względu na fakt, że jej ojciec był przywódcą śląskiej chadecji, miejscem właściwym dla ich przechowywania i prezentacji uznano otwarte w roku 1986 Muzeum Diecezjalne.

Maria Korfanty Ullmann urodzona w Katowicach 25 marca 1908 roku zmarła 6 października 1996 roku w Nowym Jorku. Muzeum posiada oryginalny dokument jej śmierci. Testamentem sporządzonym w roku 1987 wyznaczyła Teresę Morris, córkę swojej starszej siostry Halżki Kozłowskiej na jego wykonawczynię. W połowie maja 1997 roku od ówczesnego wikariusza generalnego Wiktora Skworca otrzymałam polecenie podjęcia starań o przejęcie spadku zapisanego przez Marię Ullmann na rzecz Muzeum Archidiecezjalnego. Odręczne pismo Teresy Morris wraz z załączonymi dokumentami zawierającymi wykaz obiektów stanowiących przedmiot spadku otrzymałam 30 grudnia 1997 roku. Tak więc starania o uzyskanie ulg celnych i stosownych zezwoleń rozpocząłem dopiero w następnym roku. Przez półtora roku wspierany przez Kurię Katowicką i biuro prawnicze „Korfanty i Współpracownicy” prowadziłem korespondencję z Konsulatem Generalnym RP w Nowym Jorku, Urzędem Celnym w Katowicach, rodziną zmarłej Marii Ullman i firmą przewozową „Węgiełek”. Dnia 27 września 1999 roku w Krakowie na lotnisku im. Jana Pawła II została dokonana odprawa celna przesyłki ze Stanów Zjednoczonych zawierającej pamiątki przekazane testamentem Marii Korfanty Ullmann na rzecz Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach. Przesyłka została zwolniona od opłat celnych, a sama odprawa przebiegała bez najmniejszych trudności. Uczestnicząc w odprawie stwierdziłem że depozyt zawierał wszystkie przedmioty wymienione w deklaracji celnej zgodnie z testamentem zmarłej. Już następnego dnia przelałem Pani Teresie Morris pismo, w którym powiadomiłem ją o przejęciu kolekcji i zwolnieniu w dniu 30 września 1999 roku konferencji prasowej w celu poinformowanie społeczeństwa śląskiego o nadejściu cennego daru. Zaproponowałem też rodzinie Wojciecha Korfatego dwie

nazwy kolekcji w naszych zbiorach. Została przyjęta propozycja: *Pamiątki Rodziny Wojciecha Korfatego z daru Marii Korfanty-Ullmann*. Konferencja odbyła się zgodnie z zapowiedzią, natomiast już z datą 29 września 1999 roku ukazała się w „Dzienniku Zachodnim” pierwsza notatka Krzysztofa Karwata zatytułowana: *Po 60 latach – kolekcja Korfatego w Polsce*. Ponieważ docelowym adresem kolekcji jest śląskie społeczeństwo przywiązane do tradycji i osób ją reprezentujących, dlatego wydało się słuszne zaprezentowanie jej na wystawie zorganizowanej w pomieszczeniach muzealnych. Taka wystawa się odbyła, pięknie zaaranżowana przez artystę specjalizującego się w wystawiennictwie muzealnym. Był nim Franciszek Kłak, który wielokrotnie zadziwiał publiczność swymi udanymi pomysłami wystawienniczymi. Wystawa trwała pół roku, a jej śladem jest dobrze zilustrowana w kolorze publikacja w miesięczniku „Śląsk”. Działalność Muzeum Archidiecezjalnego odbywała się w pomieszczeniach o bardzo ograniczonej powierzchni, przypadkowo przeznaczonych dla celów wystawienniczych. Dlatego też, aby umożliwić społeczeństwu zapoznanie się z tą kolekcją, musiałem wyłączyć z ekspozycji całą sztukę gotycką, która przecież stanowi największą wartość w naszych zbiorach muzealnych. Syndrom „przykrótkiej kołderki” powodował, że po pół roku ekspozycji należało jednak odsłonić przesłonięty gotyk. Kolekcja Korfatego znalazła miejsce w magazynie czekając na lepsze warunki, w których mogłaby być ekspozowana. Tak cenny dar domagał się także odrębnej publikacji towarzyszącej stałej wystawie. Nowe pomieszczenia, w których obecnie funkcjonuje Muzeum Archidiecezjalne nadal służą wystawiennictwu przypadkowo. Nie odpowiadają one profesjonalnym standardom, co widać w sposobie ekspozowania w nich dzieł sztuki. I chociaż natknąłem się tam na kilka znanych mi obiektów należących do Kolekcji Korfatego to rozpoznałem je w ekspozycyjnym rozproszeniu i „konia z rzędem” dam temu, który pokojarzy je z tą „szlachetną paczką”, którą kiedyś przejąłem na krakowskim lotnisku. Uznałem zatem za właściwe opublikować wykaz tych obiektów, które w testamencie przekazała Maria Ullmann w oryginalnej narracji dokumentu przewozowego. Podane w dolarach amerykańskich wartości artefaktów nie odzwierciedlają ani walorów dzieła sztuki, ani ich rzeczywistej wartości materialnej. Sformułowała



je firma antykwaryczna Michała Legutko w Nowym Jorku wyłącznie dla celów przewozowych. Tak więc sam dokument prezentuje się następująco:

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Portret młodej kobiety / Marii Korfanty Ullmann / 1931, pastel, wartość: \$ 3500 [trzy tysiące pięćset dolarów USA];

Vlastimil Hoffman, Dwie siostry, br. dat. olej, wartość: \$ 1200 [jeden tysiąc dwieście dolarów USA];

Stanisław Noakowski, Motyw architektoniczny, 1917, akwarela, wartość: \$ 400 [czteryście dolarów USA];

Jan Matejko, Studium konia, br. dat. rysunek ołówkiem, wartość: \$ 300 [trzysta dolarów USA];

Aleksander Augustynowicz, Portret młodej dziewczyny, br. dat. akwarela, wartość: \$ 1500 [jeden tysiąc pięćset dolarów USA];

Ośmioletniczkowa menorah, Warszawa 2 poł. XIX w. srebro, wartość: \$ 2000 [dwa tysiące dolarów USA];

Cukiernica, Polska I poł. XIX w. srebro, wartość: \$ 1000 [jeden tysiąc dolarów USA];

Tkanina, Buczacz, XIX w. złoto i srebrnolita, wzór geometryczny, wartość: \$ 500 [pięćset dolarów USA].

Do tego zasobu, jak już wcześniej pisałem, należy złoty zegarek Wojciecha Korfantego, eksponowany obecnie na lotnisku jego imienia i wspomniany pas kontuszowy sygnowany przez wytwórnię Kobyłka.

Zgodnie z tym, co mówiła córka Korfantego biskupowi katowickiemu w roku 1989, pamiątki przesłane ze Stanów Zjednoczonych do Polski miały dla rodziny przede wszystkim wartość sentymentalną. Niektóre z nich znajdowały się w domu Korfantego w Katowicach i wraz z rodziną obawiającą się represji ze strony okupanta opuściły Polskę. Niektóre zostały zakupione w Nowym Jorku w galerii Michała Legutko jako pamiątki narodowej tradycji do których rodzina, także na emigracji, była żywo przywiązana. Pośród dziewięciu pamiątek rodzinnych stanowiących zasób przekazu testamentowego trzy z nich stanowią dokument ścisłej więzi Wojciecha Korfantego z córką Marią. Więzy ta była szczególna, bo Wojciech Korfanty, kiedy w kwietniu 1939 roku wrócił potajemnie do Katowic z Czechosłowacji, gdzie był na wygnaniu, zamieszkał na krótko przed aresztowaniem w domu Marii i Tadeusza Ullmannów. Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach posiada w swoim archiwum zdjęcie Marii Ullmann wykonane 30 września 1933 roku w dniu jej ślubu, który odbył się w kościele Mariackim w Katowicach. Wesele miało miejsce w domu jej rodziców w Katowicach, w „Korfantówce” przy ulicy Powstańców 23. Korfantówna przedstawiona zosta-



Stanisław Ignacy Witkiewicz, Portret Marii Korfanty Ullmann

ła w sukni ślubnej na tle darów weselnych, wśród których znajduje się srebrny świecznik chanukowy, który wraz z cukiernicą stanowił dar ślubny Wojciecha Korfantego. Te dwa przedmioty widnieją w zapisie testamentowym dla Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach i prezentacja ich w zbiorach muzealnych wyłącznie jako artefaktu, uwłacza intencjom ofiarodawcy. Trzecia pamiątka spośród dziewięciu, jakie wróciły do Polski, to piękny portret Marii Korfantówny wykonany techniką pastelu w roku 1931 przez Stanisława Witkiewicza. Jest to jeden z serii portretów członków rodziny Korfantych wykonanych w Firmie Portretowej Witkiewicza w Zakopanem na zamówienie Korfantego. Artysta wykonał portrety Wojciecha Korfantego (w Muzeum Historii Katowic) i jego żony Elżbiety, a także ich dzieci i wnuczki Teresy. Wszystkie wisały w willi Korfantych w Zakopanem przy ulicy Zamojskiego.

Kolekcja przekazana przez młodszą córkę Wojciecha Korfantego do Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach jest świadectwem jej wielkiego przywiązania

do Śląska i zaufania do Kościoła, któremu został ofiarowany cenny zespół serdecznych pamiątek. Kiedy w roku 2009 z okazji Roku Wojciecha Korfantego udzielałem wywiadu na temat tej kolekcji, wyrażałem wówczas nadzieję, że w profesjonalnie urządzonej przestrzeni Muzeum Archidiecezjalnego znajdzie ona obok innych cennych kolekcji, jakie to Muzeum posiada, osobną przestrzeń prezentacji. Nadzieja ta była bliska spełnienia. O powadze muzeum decyduje, co prawda, wartość historyczna i artystyczna zgromadzonych zasobów. Niemniej sposób ich prezentacji wpływa na ich postrzeganie. Bowiem jak pisał swego czasu na łamach „Tygodnika Powszechnego” profesor Lech Kalinowski: „to co się wie, to się widzi”. Zapamiętałem tę wypowiedź bliskiego mi skądinąd Profesora w kontekście jego dość krytycznego komentarza do błędnej prezentacji „Złożenia Ciała Ukrzyżowanego na kamień namaszczenia” Michaelangelo Merisi da Caravaggio, jaka miała miejsce w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Instytut Myśli Polskiej  
Wojciecha Korfantego

# Rys historyczny powrotu części Górnego Śląska do Polski

## Odrębność Górnoślązaków

MICHAŁ SPURGIASZ

Ludność zamieszkująca Górny Śląsk na przełomie XIX i XX wieku czuła odrębność kulturową i religijną od napływowych kolonistów niemieckich. Poczucie odrębności, pomimo szkolnych wysiłków germanizacyjnych, podsycała działalność propolskich działaczy takich jak **Karol Miarka**, czy **Stanisław Ligoń**, których to wysiłki zorientowane były na krzewienie polskiej kultury między mieszkańcami Górnego Śląska. Pomagało też dobre, względem pozostałych ziem etnicznie polskich, wykształcenie robotników – czytano polskie broszury i książki.

Nie bez znaczenia, dla utrzymania odrębności kulturowej przez Górnoślązaków, pozostawał też fakt, że Górny Śląsk znajdował się na pruskich peryferiach – daleko od niemieckich centrów kulturalnych i politycznych, a blisko Poznania, Krakowa i Częstochowy. Przekładało się to na znacznie silniejsze oddziaływanie kultury polskiej na mieszkańców ziemi górnośląskiej.

### Górny Śląsk po I wojnie światowej

Po I wojnie światowej dobrze rozwinięty, industrialny Górny Śląsk stał się polem walki politycznej między odrodzonym państwem polskim a Niemcami. Była to ziemia o gigantycznym znaczeniu ekonomicznym i politycznym, dla obu nacji. Polska była państwem składającym się głównie z terenów rolniczych, brakowało jej dobrze rozwiniętego przemysłu. Objęcie kontroli nad bogatym Górnym Śląskiem miało w zamierzeniu stać się kołem zamachowym, dla przyszłej modernizacji i industrializacji kraju oraz przeobrażenia odbudowanego państwa w jeden spójny nowoczesny twór państwowy. Niemcy w wyniku przegranej wojny zmuszone były do wypłat pokaźnych sum w ramach reparacji wojennych. Utrzymanie kontroli nad bogactwami Górnego Śląska – w szczególności nad niezwykle cennym w początkach XX wieku węglem – miałyby ułatwić proces odbudowy Niemiec po wojnie. Nie bez

znaczenia pozostawały też ambicje i interesy zwycięskich państw sojuszników. Francja gorąco wspierała dążenia strony polskiej, kierując się przy tym własnymi interesami – osłabieniem Niemiec oraz zbudowaniem silnego sojusznika na wschodzie. Anglia, szczególnie w osobie antypolsko zorientowanego premiera, **Davidą George’a**, obawiała się możliwych problemów w wywiązaniu się przez Niemcy ze zobowiązań finansowych na wypadek zbyt dobrego osłabienia niemieckiej gospodarki oraz z niepokojem spoglądała na rosnące znaczenie Francji na kontynencie.

Oryginalnie całość Górnego Śląska miała w powojennej rzeczywistości przysiąc Polsce, jednak ze względu na protesty strony niemieckiej oraz bardzo chłodny stosunek do tego rozwiązania ze strony Anglii postanowiono, że o przyszłości Górnego Śląska zadecyduje plebiscyt. Taki zapis znalazł się w dokumencie z 28 czerwca 1919 roku przyjętym przez Wielkie Mocarstwa. Decyzja o plebiscycie została z zadowoleniem przyjęta przez stronę niemiecką, która korzystając z kontroli administracyjnej nad terenem, rozpoczęła kampanie prześladowań ludności polskiej, aby utrudnić polski wysiłek plebiscytowy.

### I powstanie śląskie

Preferencyjne traktowanie ludności niemieckiej, aresztowania działaczy polskich oraz ogólnie zła powojenna sytuacja gospodarcza doprowadziła najpierw do masowych strajków w zakładach przemysłowych, a później do wybuchu nocą z 16 na 17 sierpnia 1919 roku powstania. Słabo uzbrojone i pozbawione doświadczonej dowódców siły powstańcze w sile około 23 tys. ludzi dowodzone przez **Alfonsa Zgrzebnioka** stanęły naprzeciw 35 tys. wyszkolonych i świetnie wyposażonych żołnierzy niemieckich. Ze względu na gigantyczną dysproporcję sił, jak i brak wsparcia ze strony państw sojuszników oraz Warszawy, powstańcy odnieśli jedynie sukcesy

lokalne i powstanie zakończyło się 24 sierpnia po kilku dniach walk. W wyniku powstania doszło do niepokojów społecznych i wielu Górnoślązaków w obawie przed niemieckimi prześladowaniami uciekło z terenu Górnego Śląska (obozы dla uchodźców znajdowały się choćby w Sosnowcu, Będzinie czy Zawierciu). Powrót uchodźców do domu był możliwy dopiero po 1 października 1919 roku, kiedy w Berlinie podpisano umowę amnestyjną, która obejmowała postanowienie zwolnienia przetrzymywanych w więzieniach górnośląskich Polaków.

### Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa na Górnym Śląsku

W lutym 1920 roku na Górny Śląsk przybyły wojska francuskie, włoskie i angielskie pod przywództwem generała **Henriego Le Ronda** i jego zastępców: pułkownika **Harolda Percivala** oraz generała **Alberto De Marinis Stendardo di Ricigliano**. Celem działań komisji miało być zapewnienie spokoju w trakcie plebiscytu. W tym samym czasie pracę rozpoczął Polski Komisariat Plebiscytowy, na którego czele stanął **Wojciech Korfanty**. Jego zadaniem było sprawne pozyskanie głosów za Polską w nadchodzącym głosowaniu.

### II powstanie śląskie

Na Górnym Śląsku w tym okresie plebiscytowym działały też liczne organizacje paramilitarne, takie jak choćby wrogo nastawione do Polaków niemieckie Freikorpsy. Jeszcze przed ogłoszeniem traktatu wersalskiego Niemcy zorganizowały policję bezpieczeństwa – Sicherheitspolizei (Sipo), która pełniła funkcję zorganizowanej niemieckiej siły wojskowej na obszarze plebiscytowym. Pomimo formalnej kontroli sprawowanej przez Międzysojuszniczną Komisję Rządzącą i Plebiscytową nad tym terenem, sporą część załogi Sipo stanowili działacze w przeszłości zbrojnie występujący przeciwko utracie Górnego Śląska przez Niemcy.



Im bliżej było do daty plebiscytu, tym sytuacja stawała się ostrzejsza, a niemieckie bojówki coraz śmielej atakowały polskich działaczy niepodległościowych. Głośnym echem przez cały Śląsk przetoczyła się historia **Andrzeja Mielęckiego** – lekarza i polskiego działacza niepodległościowego zamordowanego 17 sierpnia 1920 roku w trakcie wszczętych przez Niemców zamieszek w Katowicach.

W nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 roku w reakcji na prześladowania ludności polskiej oraz ze względu na śmiałą działalność niemieckich bojówek wybuchło kolejne, drugie górnośląskie powstanie. Wezwanie do walki wygłosił **Wojciech Korfanty**. **Alfonso Zgrzebnik** stanął na czele powstania. Insurekcja została przeprowadzona sprawnie, w formie zbrojnego manifestu ludności lokalnej i doprowadziła do rozwiązania Sipo, w której miejsce powołano mieszaną pod względem narodowościowym Abstimmungspolizei (Apo) – policję plebiscytową (kandydaci do Apo musieli urodzić się na terenie plebiscytu oraz znać zarówno polski, jak i niemiecki). Co więcej, siły koalicyjne zobowiązały się do ukarania sprawców napadów na Polaków.

### Plebiscyt

Plebiscyt odbył się 20 marca 1921 roku. Za Niemcami opowiedziało się 59,4% uprawnionych do głosowania, za Polską 40,3%. Gdy stosunkowo nieprzychylny procentowy wynik przełoży się na gminy, to zyskuje on zupełnie inny wymiar – za polską głosowały 674 gminy, za Niemcami 624, co dawało zwycięstwo stronie polskiej. Głosy za Niemcami padły w większości miast, natomiast za Polską głosowały głównie gminy wiejskie. Wynik plebiscytu w rzeczywistości był sukcesem polskiej akcji plebiscytowej. Najbardziej wytyżony wysiłek agitacyjny przypadał na gorący okres wojny polsko-bolszewickiej, w której trakcie bezpośrednio zagrożona była polska państwowość. Przekładało się to na trudne warunki pracy polskich działaczy niepodległościowych, szczególnie względem niemieckich, którzy obiecywali przede wszystkim stabilność państwową.

Wobec wyniku plebiscytu **Wojciech Korfanty** zaproponował umowną granicę na Górnym Śląsku, w której obrębie miałyby się znaleźć gminy zdominowane przez Polaków. Była to tzw. **Linia Korfantego**. Propozycja zyskała poparcie Francji, jednakże spotkała się z zimnym przyjęciem ze strony Anglii i Włoch. Dwa mocarstwa zaproponowały własny projekt (tzn. **linia Percivala-de Marinisa**), który zakładał przyznanie Polsce tylko niewielkiego obszaru plebiscytowego

z pominięciem większej części obszaru przemysłowego.

### III powstanie śląskie

Aby uniemożliwić niekorzystny podział spornego terytorium nocą z 2 na 3 maja 1921 roku, wybuchło III powstanie śląskie, które stanowiło wielką manifestację patriotyczną. Na jego czele stanął dotychczasowy Polski Komisarz Plebiscytowy – **Wojciech Korfanty**. Wojska powstańcze liczyły około 50 tys. bojowników. Większość działań zbrojnych miała miejsce w obrębie terenu wyznaczonego przez Linie Korfantego, powstańcy unikali starć z siłami koalicyjnymi, koncentrując się na walce ze stroną niemiecką. Na terenach zajętych przez insurgentów działała *Naczelna Władza na Górnym Śląsku*, do której zadań należała organizacja administracji cywilnej oraz zapewnienie ciągłości pracy.

W samym obozie powstańczym istniały napięcia na najwyższych szczeblach władzy. **Wojciech Korfanty** przeciwstawił się planom eskalacji działań bojowych, które były popularne między oficerami związanymi ze środowiskami legionowymi. Doprowadziło to do osobistego konfliktu między dyktatorem powstania a dowódcami z „Grupy Wschód”, który zakończył się buntem i próbą przejścia kontroli nad powstaniem.

Koniec samodzielnego zrywu ludu śląskiego datowany jest na 5 lipca 1921 roku, kiedy to zawarto rozejm między stroną polską i niemiecką.

### Powrót części Górnego Śląska do Polski

Ostatecznie w wyniku podziału Górnego Śląska przez siły sojusznicze Polsce przypadła 1/3 obszaru plebiscytowego, jednakże zawierająca większość kopalń, hut i zakładów przemysłowych.

Symbolicznie połączenie Górnego Śląska z Polską miało miejsce 20 czerwca 1922 roku i wiązało się z honorowym wjazdem wojsk polskich pod dowództwem generała **Stanisława Szeptyckiego** na przyznane Polsce terytoria Plebiscytowe. O wydarzeniu pisano:

*Kiedy p. generał Szeptycki, który przyjechał na koniu, stanął przed łańcuchem przemówił do niego naprzód z urzędzonej obok trybuny p. wojewoda Rymer. Po przemówieniach, ks. Kaplicy i generała Szeptyckiego nastąpił właściwy akt uroczystości. Powstaniec inwalida młotem rozbił łańcuch. Powstaniec zawołał: „Pękajcie okowy niewoli. Górny Śląsk jest wolny, armijo polska wkraczaj nań i połącz go z Polską!” Łańcuch przerwany na dwie części opadł na ziemię i gen. Szeptycki przekroczył granicę przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła”.*

– „Gazeta Robotnicza” 21 czerwca 1922

### Co nam dały powstania śląskie?

Polscy Górnoślązacy stanowili w większości szerokie rzesze robotników. Niemcy obawiali się wzrostu sentymentów narodowych związanych ze wzrostem wykształcenia, czy znacznym polepszeniem warunków bytowych populacji i starali się możliwie utrudnić awans społeczny osobom deklarującym przywiązanie do polskich wartości narodowych. Mimo iż edukacja miała być powszechnie dostępna, to pięcie się po kolejnych szczeblach systemu edukacji oznaczało wystawianie się na ostrą germanizację oraz prześladowania w przypadku deklarowanego przywiązania do polskości.

Wraz z dołączeniem części Górnego Śląska do Polski podjęto szereg starań, które miały na celu umożliwić dotychczas nieformalnie utrudniany awans społeczny górnośląskiemu robotnikowi. Pośród inicjatyw znajdowały się: powstanie załążku pod przyszyły górnośląski uniwersytet w postaci Instytutu Pedagogicznego (1928), utworzenie Państwowego Konserwatorium Muzycznego (1929) i Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych (1931) oraz powołanie Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych (1936).

Rozwijana była też oferta kulturalna, która przywracała właściwe miejsce marginalizowanym pod zarządem niemieckim językowi i kulturze polskiej. Powstała sieć bibliotek, w tym Biblioteka Śląska (1922/1934), zainaugurowano działalność Teatru Polskiego (1922), powstały też nowe kina, takie jak ulokowane w Domu Powstańca kino Zorza (1937). Projektem sztandarowym, dla polityki kulturalnej było utworzenie Muzeum Śląskiego (1929), które miało podkreślać i przypominać o związkach Górnego Śląska z Polską. Instytucja nie doczekała się własnego budynku za II RP. Prawie ukończoną nowoczesną budowlę zniszczyli naziści w latach 1941–1944, widząc w niej „pomnik polsko-żydowskiej pychy”.

Powrót Górnego Śląska do Polski, mimo iż okazał się trudny pod wieloma względami (z czasem zewnętrzniły się skomplikowane relacje między rodowitymi Górnoślązakami a ludnością napływową; niektóre decyzje władz centralnych, takie jak choćby polityka podatkowa nie cieszyły się popularnością między mieszkańcami regionu), to stanowił wielką szansę dla rozwoju zarówno Górnego Śląska, jak i Polski. Górnoślązacy skorzystali w szczególności na otrzymanej od władz polskich daleko posuniętej autonomii oraz w końcu mogli bez obaw o prześladowania i szykany manifestować swoją polskość.





warzanki lepsze od krakowskich, pączki obsypane cukrem pudrem bijące na głowę te od Bliklego, bagietkopodobne paluchy, łamiące zęby sezamki, „mordoklejki” pod nazwami toffi lub krówka, dropsy różnych smaków i rozmiarów. Posilona dzieciarnia ciągnęła do stanowisk bojowych, z militariami od pukawek, przez colty i pepesze, po „strzelające” czołgi. Podczęstochowski Mstów dostarczał masowych ilości wybuchowych kapiszonów i korków. Dla dorastających panienek były lustreczka produkowane na ul. Wieluńskiej, zdobne gębami Lolobrygidy, Gary Coopera, a nawet Marusi i Janka; wstążeczek, kokardeczek, guziczków, koraliczków też nie brakło, nie mówiąc o pierścionkach „zaręczynowych”, bez których nie wypadało odjechać z Częstochowy. Świeckość dominowała, lecz i dewocjonałów nie brakowało. Poznać tu można było inwencję mieszkańców ulic: Kordeckiego, św. Barbary, Wieluńskiej, św. Rocha itd. Marksy z aureolą robiły za św. Józefów, przebojem największym były „panoramyczne” cudenka: patrzysz prosto: Chrystus Miłościwy, patrzysz z lewej – Matka Boska, z prawej – św. Józef. Wymyślono także patent antyinflacyjny; gdy grosze traciły wartość, podkładano je pod tramwaj, uzyska-

ną blaszkę pod sztancę: z 10-groszówki powstawał medalik za 2 zł).

*Nie jest tajemnicą, że mieszkańcy Częstochowy, zawsze żenili pielgrzymom nie do końca srebrne medaliki. Te nasze, ze stopu miedzi z cynku i niklu, nazywanego nowym srebrem, choć w ogóle srebra nie zawierał, były od oryginału nawet ładniejsze. W latach powojennych z powodu braku tego surowca interes trochę podupadł, bo na tych aluminiowych, produkowanych z monet (1 złotówki i 50 groszówki), nie było już takiego przebiccia. Wszędzie pieniądże raczej się podrabia, w Częstochowie zaś przerabiano je na medaliki. Taka kompromitacja we oczach świata nie mogła podobać się władzom, więc rozpoczęły się przesładowania. Nocne najazdy UB, rewizje, areszty, szykany, doprowadziły medalikowy interes na skraj ruiny. I wtedy z Zachodu przyszło nowe. Tuż przed erą big-beatu, dotarła do nas moda na hula-hop ze sztucznego tworzywa. Wtryskarki zastąpiły sztance, które były mniej wydajne i cholernie hałaśliwe (...) ale Maryjki na święconą wodę były najlepsze. Miały odkręcaną głowę i niebiański kolor. Aktualna wersja pozostawia świętą głowę Matki Boskiej na miejscu, a część z gwintowaną zakrętką umieszcza się w koronie. Jednak pierwsze gorące miliony, czy się to komuś podoba, czy też nie, narodziły się w wersji z odkręcaną głową.*

Szanując opinię hodowanego na Górcie Ziuta, w moich oczach to trochę inaczej wyglądało. Medaliki kuto i przebijano, do końca lat 60., do czasu wielkiej inwazji modernizmu. Proceder od-pustowo-kramarsko-medalikowy miał zawsze swoich zawziętych wrogów po stronie oświeconej władzy świeckiej i duchownej. Niektórzy o. Paulini wierzyli, że Chrystus wygonił przekupniów ze świątyni z powodów estetycznych i to samo zamierzali zrobić z medalikarzami. Oburzenie i wstyd rozpałał uczucia częstochowskiej inteligencji z awansu społecznego, dla nich obraz placu odpustowego był symbolem „ciemnogrodu”. O uporządkowanie, estetyzację itd. walczone, bez większego skutku, już przed wojną; po wojnie próbowano porządek robić ręcznie z pomocą pałek, UB, MO i ORMÓ, lud jednak tutejszy od „pota-pu” szwedzkiego wiedział jak bronić się przed przemocą. Ostatecznie zwyciężyła nie siła, ale przykład, a raczej moda z Zachodu wsparta francuskimi kredytami. Dogadała się, w początkach lat 70., władza świecka z duchowną, z pomocą spychaczy zniszczono obozowisko straganów na błoniach jasnogórskim. Po pustej stronie ul. Siedmiu Kamienic wybudowano wielkie, szkaradne, nowoczesne wiaty betonowe; a w nich monopol na sprzedaż dewocjonałów zyskały orga-



Ulica św. Barbary w Częstochowie

fol. Tomasz Biernak





Ulica św. Barbary w Częstochowie

nizacje PAX-oidalne. Kupiecka armia straganiarzy zmuszona była się przegrupować, wycofać na pozycje przy ul. św. Barbary; i tam trwa do dzisiaj. W tych warunkach wojennych zrodził się antykomunistyczno-antyklerykalny etos medalikarski.

Niejako przy okazji zaszła zmiana technologiczna. Z powodów zbrojeniowych otwarto w Częstochowie „tajną” fabrykę „Wykromet”. Mimo ochrony tajności, zmyślny naród częstochowski dowiedział się, że robią tam wtryskarki i formy do odlewania przeróżności z plastiku. I tak ruszył nowy etap „prywaciarstwa”, zaludniający warsztatami Wierzchowisko, Poczesną i Konopiska. Część tej produkcji, w formie ureligioniej, poszła pod Jasną Górę. Wśród nich, owe „Maryjki” z odkręcaną główką. To konieczne jest dodatkowe wytłumaczenie, dla nieznających lokalnej specyfiki.

Ulica św. Barbary prowadzi od dużego klasztoru na szczycie Jasnej Góry, do małego, pod patronatem ww. świętej. Ten mały, z barokowym kościołem, ufundowany został w XVII w., przypominając legendę o „zranieniu” Najświętszej Ikony. W czasach króla Jagiełły na klasztor częstochowski napadła banda arystokratycznych zbirów; legenda ten napad przypisała czeskim husytom. W miejscu, gdzie ze zranionej Ikony tryśnięta prawdziwa krew, z ziemi wybiło źródelko z leczniczą wodą. Pielgrzym, zwłaszcza ten nękany chorobami, po wizycie na Jasnej Górze, schodził w dół ul. św. Barbary, by w źródelku zaczerpnąć lekarstwa. Dla ułatwienia na straganach sprzedawano mu buteleczki, szkla-

neczki, karafki, metalowe manierki itd. Gdy ruszyły wtryskarki z „Wykrometu” owe stare formy zastąpiono „Maryjką”, wzorowaną na figurce z Lourdes... Nadal ten rodzaj „świętej” flaszeczki trzyma się mocno na kramach przy św. Barbary.

Tuż po II wojnie światowej komunisci, celem skompromitowania czcicieli obrazu, zasiedlili Górkę setkami kryminalnych rodzin, przy okazji zjechali też prawdziwi czciciele obrazu i powstał niezły kulturowy tygiel. Cały ten zwierzyniec wzbogacał sezonowy najazd „dziadów”, wszelkiej maści świrów, zboków i wykołajeńców wojennych, których ta święta góra od zawsze przyciągała jak magnes – tako rzeczce Graal. Odesłać go powinienem do lektury ks. Jędrzeja Kitowicza, który przedstawił XVIII-wieczny, dość barwny obraz dziadów, świrów i wojennych wykołajeńców, zamieszkałych na stokach Jasnej Góry. Mędrzec by powiedział: sacrum przyciąga profanum, a głupiec zachwycać się może kulturowym tygłem. Bliżej mi do głupców, z nostalgią czytam „zabytki” gwary tutejszej zachowane w przedwojennej prasie.

*Pięć dorożków samych świadków do kościoła pojechało, a w ostatniej arkuśzerka i krzesna z pętakiem. A że to moja pani, nie taksówkami? Ale... skądże znówuj, taksówka dobra, ale kto zbradziażony do domu z restauracji wraca, ale nie do tego. Starożytna moda kaže, do krztu dorożką. Pięknie i bogato se pojechali. Tylko ich patrzeć spowrotem. A nie wi paniusia, jak tam z korytem? Jest tego do cholery i trochę. Samych śledzi piętnastu wczoraj w wodzie moczyli. — Schab na własne oczy widziałam. Ma być także samo galareta z nogów*

*i komput. — No, to i pod względem ochłaja będzie przyzwoicie... Bądź pani spokojna, Malinowska potrafi gości przyjąć — bez mordobicia się nie obejdzie, a nie wiadomo, czy i do „Panny Marji” kogo nie odwożo. Świadki już poniekąd schlane, że zazdrość bierze patrzeć. Długo będą ludzie o tych krzcinach mówili. Tak zwierzały się sobie sąsiadki stojące przed bramą domu przy ulicy Rocha w pamiętne styczniowe popołudnie. (Słowo Częstochowskie z nr 208 z 13 września 1934 r.).*

Niedobitki tej „górkowej” kultury spotkać można było jeszcze w latach 80. na ul. Wieluńskiej, choć już nie było targu końskiego, a na dawny rynek wlewał się coraz większy ruch samochodowy. Trwał jeszcze „Pokrzep się”, z atmosferą w której kufle w powietrzu wisiały. W niektórych piwniczkach na sztacach tłukło się medaliki, „trójki” sąsiedzkie przypinały je przestraszonym pielgrzymom, żądając w zamian „dychy” na piwo. Młódź po wytrąbieniu siarkowanego wina, potrafiła jeszcze odśpiewać hymn częstochowski ze znanym ogółowi refrenem: „włóż sobie chamię medalik na szyję, nic ci się nie stanie, tramwaj nie zabije...”

Tego już nie ma. Miasto wchłonęło Częstochówkę, „Górkę” spłaszczone, nawet Ziut nie odnajduje się w nowych klimatach. Jest jeszcze „rezerwat” na św. Barbary, ale na Wieluńskiej to już tylko rzędy eleganckich knajpek... Aborygenów, tych którzy przeżyli, wprowadzono daleko, w miejsca gdzie nikt nie zagląda, by nie psuli klimatu nowoczesnego otoczenia starego Sanktuarium. Świat przemija... ■

# Ks. dr Gustaw Klapuch (1929–2006) Kapłan praw człowieka

KRYSTIAN KRZEMIŃSKI

Wielu tarnogórzan, tak jak ja, spotkało kiedyś po raz pierwszy księdza doktora Gustawa Klapucha. Być może odnieśli wtedy podobne wrażenie: niepowtarzalna energia, precyzja wypowiedzi, kunszt oratorski, mistrzostwo słowa. Takie pierwsze i następne spotkania były uczcą duchową. Kapłan ten miał w sobie umiejętność tłumaczenia zasad wiary, kładł bowiem nacisk na szacunek dla drugiego człowieka, na to, że trzeba go wprawdzie polubić.

## Rodzice i dziadkowie

Gustaw Klapuch urodził się 27 sierpnia 1929 roku w Wodzisławiu. W tym czasie jego ojciec Wincenty zamieszkał u swego brata w Wodzisławiu, gdyż budował jednorodzinny dom w oddalonych o 4 kilometry Czyżowicach. Z Czyżowic bowiem pochodziła matka Paulina z rolniczej rodziny Zbieszczaków, zaś rodzina Klapuchów od XVIII wieku mieszkała na terenie sąsiednich Kokoszyc. Były to rodziny z polskim rodowodem. Dziadek Teofil Zbieszczyk współpracował ze swoim kuzynem ks. Pawłem Pośpiechem, działaczem narodowym na Górnym Śląsku i polskim posłem do niemieckiego parlamentu. Ojciec Wincenty brał udział w powstaniu śląskim w 1921 roku.

4 listopada 1992 roku miałem zaszczyt prowadzić „Wieczór pod renesansowym stropem” w tarnogórskim Muzeum z księdzem Klapuchem. Był to jeden z najdłuższych „Wieczorów”, organizowanych przez dyrektora Zofię Krzykowską; trwał przeszło 3 godziny, późniejszym zaś pytaniom zadawanym księdzu nie było końca. Gość spotkania bardzo ciepło i serdecznie wspominał swój rodzinny dom oraz młodszą siostrę Małgorzatę. Opowiadał też o okresie najwcześniejszej edukacji, kiedy chodził do przedszkola i już uczył się czytać, o nauczycielach i szkolnych przyjaciół.

## Nauka

Gustaw Klapuch był zdolnym i bardzo ambitnym uczniem. Do 1939 roku chodził do polskiej szkoły powszechnej w Czyżowicach, przekształconej w czasie wojny w szkołę niemiecką. Nie mógł rozpocząć następnie nauki w gimnazjum państwowym, gdyż rodzice odmawiali przyjęcia odpowiedniej listy narodowej. W 1943 roku za namową kierownika niemieckiej szkoły Klemensa Wienkego, rodzice wysyłają 14-letniego Gustawa do niemieckiego prywatnego gimnazjum w przygranicznym miastecz-

ku Kietrz niedaleko Raciborza. Trzeba zaznaczyć, że gimnazjalista Gustaw od razu „przeskoczył” kilka klas, gdyż wcześniej przez rok pobierał prywatne lekcje z łaciny właśnie u Klemensa Wienkego oraz z języka angielskiego u jego żony. Gimnazjum prywatne prowadził doktor Funke, o którym ks. Klapuch tak napisał w swojej książce zatytułowanej „Ścieżka na wspólnej drodze”, wydanej w 2005 roku nakładem Urzędu Miejskiego w Tarnowskich Górach: „Doktor Funke pochodził z Turynгии i odnosił wrażenie, że chyba coś miał wspólnego z teologią. W szkole zatrudniał świetnych nauczycieli; także takich, którzy z różnych przyczyn nie znajdowali zatrudnienia w państwowym szkolnictwie Trzeciej Rzeszy. Lekcje były ciekawe; mieszkaliśmy u sympatycznych starszych pań w pobliżu szkoły, a na soboty i niedziele wyjeżdżałem do domu”.

Po zakończeniu wojny, w maju 1945 roku, 16-letni Gustaw wraz z kolegami pieszo ruszył z Czyżowic do Rybnika, aby zapisać się do polskiego gimnazjum i liceum. Wspomina, że przez kilka miesięcy codziennie pokonywał pieszo 6 kilometrów z Czyżowic do Wodzisławia, a dopiero stamtąd wagonami towarowymi dojeżdżał do Rybnika.

## Powołanie

Z licznego grona pedagogicznego przybyłego z różnych stron Polski, wspominał szczególnie wychowawcę klasy – doktora Waława Wałka, nauczyciela łaciny, oraz katechetę – ks. Antoniego Gasza. Za pierwsze publiczne głoszenie słowa uznał szkolne przemówienie na temat: „Jak należy czytać książki”, które wygłosił z polecenia ks. Antoniego 2 maja 1947 roku na akademii z okazji Dnia Książki. Po kilku tygodniach od tego wydarzenia, zdał maturę. Czytamy we wspomnieniach: „Zgłosiłem się do Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, które przygotowywało księży do służby na Górnym Śląsku w diecezji katowickiej”. Ani słowem nie napisał o budzeniu się powołania kapłańskiego, tylko tak prosto i zwyczajnie: „zgłosiłem się”.

29 lat temu, kiedy przygotowywałem się do „Wieczoru pod renesansowym stropem”, rozmawiałem najpierw z księdzem Gustawem na jego plebani przy ulicy Pomorskiej. Zapytałem wtedy również o jego powołanie kapłańskie oraz chwile wahań. Po krótkim zastanowieniu, powiedział: „Nigdy nie żałowałem tej decyzji”.



## Studia teologiczne

Czytamy w książce „Ścieżka na wspólnej drodze”: „W połowie ostatniego – piątego – roku książd rektor Józef Baron wezwał mnie na rozmowę. Oświadczył, że obserwując u mnie pewne wahania, on sam nie ma niezbędnej pewności w decyzji dopuszczenia mnie do święceń kapłańskich; radzi mi zatem opuszczenie tego seminarium i przeniesienie się do innych seminarium, wskazanych konkretnie. Nie zamierzałem jednak przenieść się do innych seminariów; chciałem w seminarium śląskim pozostać lub wrócić do niego. Opuściłem seminarium i powróciłem do domu z zamiarem dokończenia najpierw studium teologicznego. Jestem pełen podziwu dla postawy rodziców: nie zadawali wtedy pytań, milczeli, ale z pewnością wiele się modlili”.

Gustaw Klapuch był klerikiem wyjątkowym. Wygłaszał na zlecenie przełożonych liczne przemówienia, pogadanki, referaty, wykłady. Latem 1952 roku, po zdaniu ostatnich egzaminów, przejął katechizację dzieci i młodzieży w Jedłowniku i w Turzy, równocześnie podejmując roczną pracę w Rybnickim Zjednoczeniu Materiałów Budowlanych jako asystent kierownika jednego z zakładów w Wodzisławiu. Owa wyjątkowość polegała przede wszystkim na napisaniu pracy naukowej o stosunku niemieckiej frakcji parlamentarnej „Centrum” do polskiej mniejszości narodowej w drugiej Rzeszy Niemieckiej w okresie „Kulturkampf” – walki z Kościołem, prowadzonej w latach 1870–1878. Praca ta została przyjęta na wydziale teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego jako praca doktorska. Promocja doktorska odbyła się 12 marca 1954 roku, to znaczy przed święceniami kapłańskimi. Trzeba zaznaczyć, że nieco wcześniej sztuki tej dokonał jeszcze jeden ówczesny kleryk Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego: ks. Remigiusz Sobański, profesor prawa kanonicznego, zmarły w 2010 roku, którego też gościli-



śmy w tarnogórskim Muzeum 17 stycznia 1997 roku.

Gustaw Klapuch święcenia kapłańskie przyjął w ogłoszonym przez Piusa XII „roku maryjnym”, w uroczystość apostołów Piotra i Pawła, 29 czerwca 1954 roku przed cudownym obrazem Matki Bożej Piekarskiej z rąk biskupa stolicy maryjnej Polski – Częstochowy, Zdzisława Golińskiego. Mszę prymicyjną odprawił w niedzielę 4 lipca w rodzinnych Czyżowicach, zaś kazanie na niej wygłosił jego katecheta z rybnickiego gimnazjum, ks. Antoni Gasz.

### Praca duszpasterska

Po otrzymaniu święceń przez rok był wikarym w parafii św. Antoniego w Szopienicach – Dąbrówce Małej. Potem został wikarym w Katowicach Piotrowicach. W 1957 roku biskup katowicki skierował ks. Klapucha do pracy katechetycznej w średnich szkołach katowickich. W październiku 1959 roku zlecono ks. Klapuchowi prowadzenie wykładów z historii powszechnej Kościoła w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie, przy równoczesnym prowadzeniu katechezy w szkole muzycznej w Katowicach. Po likwidacji nauki religii w szkołach w 1960 roku, rozpoczyna wykłady z nowego kierunku, a mianowicie z religioznawstwa dla alumnów śląskiego seminarium. Powołuje pismo naukowe – „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne”.

W 1967 roku biskup katowicki Herbert Bednorz zezwolił ks. dr. Gustawowi Klapuchowi na prowadzenie wykładów z początków Kościoła i jego starożytnej historii w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Akademia ta była uczelnią państwową, utworzoną po usunięciu wydziału teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dlatego w wielu środowiskach kościelnych uchodziła za trefną. Odtąd podróżuje między Krakowem a Warszawą, ponadto prowadzi wykłady i rekolekcje w Poznaniu – u ojców dominikanów, w Łodzi – przy katedrze, w Warszawie – w akademickim kościele św. Anny. Zaczął też gromadzić materiały do pracy habilitacyjnej o rozwoju struktur kościelnych na Górnym Śląsku. Pracę tę ks. Klapuch przerwał, gdy opuścił Akademię w 1970 roku. Pytanie kluczowe: dlaczego opuścił Akademię?

### Powszechna Deklaracja Praw Człowieka

W 1948 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych uchwaliła Powszechną Deklarację Praw Człowieka, która w kontekście współczesności najlepiej wyrażała podstawowe prawa człowieka, przysługujące mu z racji jego godności. Do czasu II Soboru Watykańskiego obradującego w latach 1962–1965, całość praw człowieka, zawartych w Deklaracji, wydawała się sprzeczna z nauką Kościoła. W swojej książce ks. Klapuch pisze: „Powodem sprzeczności było prawo do wolności sło-

wa; a w większym jeszcze stopniu prawo do wolności sumienia. Wolność słowa i sumienia potępione zostały w XIX wieku przez papieża Grzegorza XVI oraz Piusa IX. Ale II Sobór Watykański, w soborowej deklaracji o wolności religijnej – moim zdaniem najbardziej przełomowym i najważniejszym dokumencie Soboru – opowiadając się za prawem do wolności religijnej, usunął sprzeczności, stojące na drodze do pełnej zgodności podstawowych praw człowieka, ujętych w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, a nauką Kościoła”.

### Grupy dialogowe

Już w połowie lat sześćdziesiątych prowadzone przez ks. Klapucha spotkania ze środowiskiem inteligencji odeszły od zwyczajowej formy konferencyjnej, przyjmując postać dialogu i dyskusji ze swobodą wypowiedzi. Uczestnicy tych spotkań sami wybierali tematykę, dyskutując o jej wyborze bez udziału księdza. Nieformalny charakter zebrań, nieorganizowanych przez hierarchię kościelną, był w owym czasie nowatorski, jednak przez różne kręgi duchownych i świeckich, przyjmowany nieufnie. Uczestnicy grup dialogowych sformułowali „49 zadań” wyrażających ich wizję rozwoju Kościoła. Tezy przesłano do redakcji pism katolickich i do biskupów diecezji, na terenie których odbywały się spotkania grup dialogowych. Nie spotkały się



for. Gabriel Wilk



one z przychylnym przyjęciem i zostały przemilczane. „49 zadań” nie zostało jednak uznanych za jakąś herezję, jakkolwiek wobec ich autorów padł zarzut, że za mocno zaakcentowali człowieka i jego rolę w dochodzeniu do Boga.

Uczestnicy spotkań dialogowych uważali, że rozwój Kościoła powinien się odbywać poprzez nadanie właściwej rangi prawom człowieka, które w Kościele powinny być bardziej przestrzegane, niż w instytucjach politycznych; między innymi: wolność słowa, krytyka, liczenie się z opinią świeckich, obsadzanie stanowisk kościelnych, warunki pracy i płacy dla ludzi zatrudnionych w Kościele, możliwość wystąpień z Kościoła. Uczestnicy spotkań dialogowych uważali też, że poprzez przestrzeganie praw człowieka można zapewnić nie tylko rozwój Kościoła, ale pozwoli to na emancypację całego społeczeństwa, w zdecydowanej większości katolickiego, żyjącego w programowo totalitarnym, ateistycznym państwie.

Hierarchia kościelna zapewne obawiała się, że przyjęcie postulatów grup dialogowych, może wywołać wolnościowe rozprężenie, a tym samym zagrożenie zwartości i jedności Kościoła oraz zwiększoną infiltrację przez władze komunistyczne.

Wobec negatywnego stosunku hierarchii kościelnej, uczestnicy grup dialogowych zwrócili się o ocenę swych postulatów do około 50 najwybitniejszych teologów świata (między innymi 2 maja 1970 roku do ks. prof. Josepha Ratzingera). Otrzymane odpowiedzi umocniły ich w przekonaniu o słuszności głoszonych przez nich tez.

### Cofnięcie misji kościelnej

W książce ks. Klapucha, czytamy: „29 marca 1970 roku bp Herbert Bednorz w czasie rozmowy postawił mnie przed wyborem: albo odwołania poglądów dotyczących praw człowieka, albo cofnięcia mi misji kościelnej, która uprawniała do prowadzenia wykładów na uczelniach kościelnych. Odparłem, że poglądy zmieniam nie pod wpływem gróźb, ale argumentów. Przykro mi było, że na tle praw człowieka doszło do konfliktu z biskupem Bednorzem. Nigdy nie żywiłem do niego niechęci; po latach – po jego przejściu na emeryturę – doszło w Tarnowskich Górach do spotkania z nim przy wspólnym stole.

W czerwcu tamtego – 1970 – roku, po przeprowadzeniu ostatniego egzaminu, wręczono mi pismo zwalniające mnie z zajęć wykładowych do czasu zaprzestania prowadzonej działalności”.

W 1974 roku papież Paweł VI wypowiedział się orędziem Synodalnym na temat praw człowieka w Kościele. Uznał, że prawa człowieka, jako normy ogólnoludzkie, winny obowiązywać w jego strukturach.

### Tarnogórska parafia

Można zatem powiedzieć, że nie byłoby ks. dra Gustawa Klapucha w Tarnowskich Górach od września 1970 roku, gdyby nie jego głębokie przekonanie o przysługujących w Kościele katolickim prawach człowieka, rozpoczęte wprawdzie na płaszczyźnie dialogu z wiernymi i zakończone sprawiedliwym rozstrzygnięciem, to znaczy ogólnie obowiązującą normą, partią najwyższym autorytetem Kościoła. Nakazu objęcia tarnogórskiej placówki duszpasterskiej św. Józefa Robotnika nigdy nie traktował jako kary czy zesłania. W swojej książce pisze: „Przesunięcie mnie z pracy naukowej, dydaktycznej na uczelniach do pracy duszpasterskiej i to w placówce małej, łatwej do ogarnięcia, otwierało przede mną szansę: mogłem przejść od teorii do praktyki, do wcielenia w życie głoszonych zasad”.

Takich „możliwości” ks. Klapuch stworzył wiele, na przykład: comiesięczne zgromadzenia parafialne otwarte dla każdego, wybór Rady Wiernych w sposób demokratyczny, przyjmowanie propozycji i uwag (także krytycznych) w czasie kolędy, powstanie w latach 90. z inicjatywy prof. Józefa Dzielickiego Klubu Dyskusyjnego. W połowie lat 70. ks. Klapuch nawiązał kontakty z parafianami w Niemieckiej Republice Federalnej, dzięki czemu od 1980 roku napływały wielotonne transporty żywności, konfekcji, butów, środków kosmetycznych, chemii gospodarczej, a także leków. Przyjmowaniem i rozdzielaniem tej pomocy zajął się zespół pod kierunkiem Anieli Bosek. W okresie stanu wojennego parafia św. Józefa Robotnika stała się ośrodkiem pomocy represjonowanym, internowanym i uwięzionym. W kościele odbywały się comiesięczne msze za ojczyznę aż do zniesienia stanu wojennego w 1983 roku. Przy parafii powstała apteka pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana – największa przyparafialna apteka na Górnym Śląsku. Od połowy lat 80., w ciągu kilkunastu lat, ks. Klapuch zorganizował 3 pielgrzymki zagraniczne.

### „Ścieżka na wspólnej drodze”

Wiele można by jeszcze wymienić dokonania ks. proboszcza Klapucha i jego parafian; znalazły one swój wyraz w „Ścieżce na wspólnej drodze” z przejmującym słowem wstępnym prof. Jana Miodka. W książce tej prawdziwą ucztę intelektualną, duchową, stanowią wybrane i niepublikowane dotąd pogadanki, referaty, kazania, przemówienia, homilie i konferencje wybitnego teologa i kaznodziei o osobowości niezwyklej.

W ostatnim dniu sierpnia 2002 roku, na własną prośbę, ks. dr Gustaw Klapuch został zwolniony z obowiązków proboszcza parafii św. Józefa Robotnika. Miał wtedy 73 lata. Jesienią tego samego roku ks. Klapucha wyróżniono statuetką „Srebrnego Skrzydła” za wieloletnią działalność

na rzecz rozwoju Tarnowskich Gór oraz obronę jego mieszkańców w okresie stanu wojennego. W 2003 roku otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Tarnowskich Gór za wybitne osiągnięcia w dziedzinie praw człowieka.

3 marca 2006 roku gościliśmy ks. Gustawa Klapucha w mieście gwarków z okazji wydania jego przywoływanej książki „Ścieżka na wspólnej drodze”. Na spotkanie, prowadzone przez prof. Jana Miodka, przybyło tak wielu tarnogórzan, że trzeba je było przenieść z Muzeum do Tarnogórskiego Centrum Kultury. Wszyscy bez wyjątku uczestnicy spotkania przeszli z Rynku na ulicę Sobieskiego. Tę sytuację można dziś odczytać jako znak, symboliczny znak. Wtedy nic nie zapowiadało bowiem, że widzimy księdza Gustawa w Tarnowskich Górach po raz ostatni.

W posłowie, jesienią 2005 roku, Autor owej książki napisał między innymi: „Przeszedłem – wspominając – ścieżkę mojego dotychczasowego życia. Była to ścieżka dojrzewania na naszej polskiej ziemi, służby Słowu we wspólnocie Chrystusowego Kościoła, udzielania pomocy ludziom oraz obronie ich godności i przysługujących im praw – praw człowieka.

Moja ścieżka wiodła wspólnym szlakiem narodu polskiego, w którym się urodziłem, Kościoła katolickiego, którego jestem od dzieciństwa członkiem i naszej wielkiej wspólnej rodzinie człowieczej, w której jestem człowiekiem – jednym z wielu.

Tym, którzy na tym szlaku szli obok własną ścieżką, dziękuję w Bogu za obecność, wsparcie i pomoc, z których wielokrotnie korzystałem. Słowa podziękowań dla tych, którzy na najwęższym odcinku wspomnianej ścieżki zwracali się do mnie o wydanie tej książki i przy jej publikacji pomagali mi”.

Ks. dr Gustaw Klapuch zmarł po ciężkiej chorobie 12 sierpnia 2006 roku; do 77. rocznicy urodzin zabrakło piętnastu dni. Został pochowany na cmentarzu w rodzinnych Czyżowicach; wśród żałobników było wielu tarnogórzan.

Jakże mocno i wyraźnie brzmiały w piętnastą rocznicę Jego śmierci, zamieszczone w rozdziale książki zatytułowanym „W parafialnej rodzinie”, słowa Koheleta z ksiąg Pisma św. Starego Przymierza:

*Wszystko ma swój czas  
i jest wyznaczona godzina  
na wszystkie sprawy pod niebem...*

*Jest czas sadzenia  
i czas wyrwania tego, co zasadzono...  
Jest czas budowania  
i czas burzenia...  
Jest czas rodzenia  
i czas umierania...*

*Wszystko ma swój czas  
I jest wyznaczona godzina  
Na wszystkie sprawy pod niebem...  
(Koh 3, 1–3)*

\*\*\*

gdy przysłaś nie oponowałem  
byś szła dalej. trochę moja wina  
choć faryzeusze milknąc głośno  
mówili tym samym głosem.

czy należało żyć  
nam wbrew? należało.  
rozważałem wtedy o śmierci.

teraz wiem że nie byłaś  
skąd mówiłaś. źle  
czekałem. mogłem się domyślić  
słyszac wokół stare dusze. źle  
znalazłem. gdy zamilkły  
zmartwychwstałem.

**(Limeryk dla Joasi)**

lęk mnie ogarnia  
gdy pomysle  
że nie znalazłbym ciebie  
że mogłabyś nie istnieć.

\*\*\*

(do Joasi)

nie przyniosłem kwiatów  
nie przyniosłem ci kolacji.  
przeszłość moja twoja  
nie należy do mnie do nas.  
tutaj zima jest jak była  
poza wiosną w tobie.

\*\*\*

powiedziano

nie zostaniesz ukarany za swój gniew  
zostaniesz ukarany przez swój gniew.  
a ja przecież długo kręciłem na siebie  
ten pejcz więc wiem.

głupcy mają swoją mądrość i ja też mam  
mądrość głupią. nie mówię o tym wcale  
tylko gdy wiersz muszę oddać. niczym stolec.

trzymał się mocno słów  
bo to słowa lecz niezbyt jego  
były to idee i slogany. był więc  
skąd był zamiast być  
skąd jest.

pamięta strach zasypiania. lęk  
że po przebudzeniu nie będzie  
wiedział kim jest.

\*\*\*

wyglądam i jestem inaczej niż mnie pamiętasz.  
a patrząc teraz, nie widzisz mnie wcale. długo  
byłem wbrew słowom, które karmią się wierszem.

może to było coś o tym szczęściu, w którym  
z rzadka praktykuje się poezję? może narkotyki  
lub buddyjskie antydoktryny? dojrzewałem jak ser  
lub zwłoki parmeńskiej świni.

kiedyś galeria znaczyła sztukę. dziś prawo  
do powietrza, natury i jej darów przedawniło się  
zyskiem i listami posiadania. trwa więc wojna.  
smętni biesiadnicy przy zestawie drwała.

\*\*\*

zdarzało mi się nienawidzić tak  
by życzyć śmierci. teraz wiem że jest  
kolejnym początkiem. bywa karą i nagrodą.

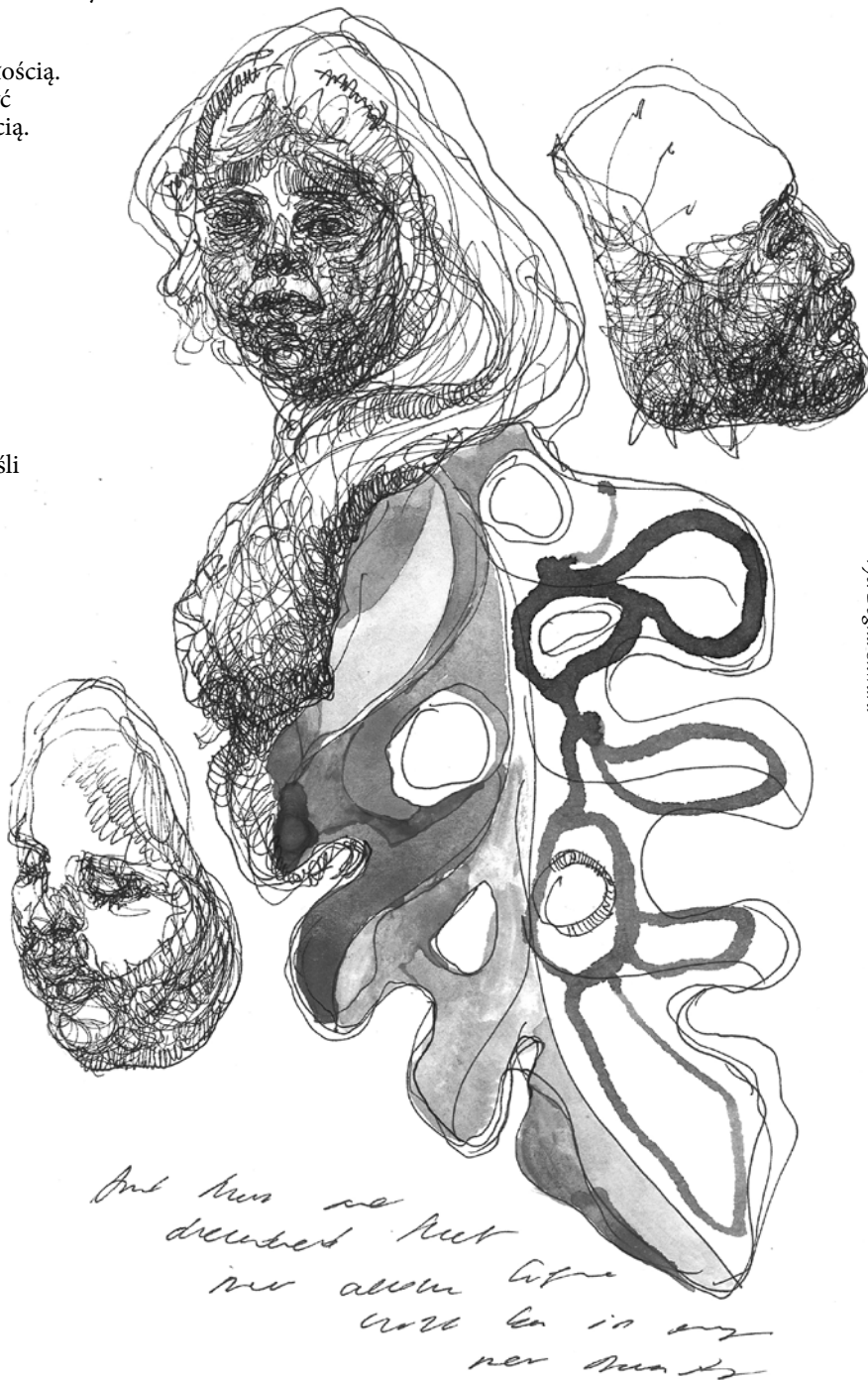
a pamiętasz Byrona? czy pamiętam?  
wskoczyłem nawet w jego zburzone fale  
lecz wyrzuciło mnie po czasie bym gnił  
chyba jeszcze na tej skale.

krzychałem głośno o tym ale tamci byli  
głusi. już wtedy paradowały orszakami  
królowe świata postępowej ciemnoty.

próbuję więc  
nie być gniewem, nie być złością.  
teraz dzięki tobie łatwiej być  
w tym co nazywa się miłością.

\*\*\*

gdybym był niektórą z myśli  
w głowie  
nie podałbym ręki  
sobie.



rys. Bogna Skwara



## Pamiętnik (5)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

### **Poniedziałek, 10 sierpnia [cd.]**

#### **Mój dzień w Świerklańcu. Opowiedziane w pierwszej osobie.**

Malutki pokoić, mansarda schowana na poddaszu małego, pięknie prezentującego się domku, budzi się ze świtem. Niebieskie ściany nabierają słonecznych odcieni, dewocjonalia rozwieszona na ścianach witają mnie poważnym uśmiechem.

Jest piąta. Łóżko zaczyna skrzypieć. W kącie pochrząkuje kulawa szafa. Słomkowe krzesło również hałas<sup>[1]</sup>.

Oczy leniwie pełzają po ścianach. Ranne słońce pozawieszało na ścianach złote wycinanki. Wycinanki po chwili zachodzą mgłą. Wiadomo: ranne słońca a babski płacz – to jedno i to samo.

Myśli ciężko rozwijają kłębek poprzednich wrażeń. Wrażenia tworzą wspomnienia. Wspomnienia przechowują się w pamięci. A ponieważ mam zdrową pamięć, wobec tego mogę sobie zdać sprawę z tego, że leżę w łóżku Riji. Że łóżko było już wczoraj różowe. Że pokój sprawił na mnie od razu wrażenie miłej, sympatycznej, panińskiej bombonierki.

Trudno jest wstać. W łóżku jest miękko i w ogóle dobrze. Ręce można położyć pod głowę. Oczami utkwic w suficie. I myśleć. A nawet można marzyć. Przecież wszystko naokoło pachnie Nią. Bo to jest Jej pokój. Bo ja korzystam z Jej gościnności.

Nad łóżkiem wisi obrazek, przedstawiający jakieś święte dziecko. Patrząc na tę rozkoszną idyllę, kurczę się pamięcią aż do tamtych czasów. Do czasów mej najdalszej młodości. Ale to było dawno. A teraz jest co innego.

Tak. Co innego. – Słońce zaczyna powoli grymasić. Wyskakuję z łóżka i wciągam spodnie. (Prozaiczna czynność ubierania się najwięcej mnie wyczerpuje).

Na stole leżą książki. Otwieram pierwszą lepszą i czytam. Potem piszę pamiętnik.

Okno podaje mi nudny, wiejski widok. Kawalek zarośniętego chwastami ogrodu, studnia, brudny plac, jakaś stodoła psująca szlachetną linię horyzontu i kilka domów wybudowanych w szpetnym koszarowo-familijnym stylu.

Firanka zasnuwa mi wzrok cienką gazą. Oczom łatwiej się zamknąć. Głowa pochyla się biernie ku dołowi, ale wnet energiczna myśl rozpędza resztki snu.

Słońce już powinno być wysoko, ale niebo spuściło przed sobą ciemną kurtynę chmur. Wycinanki na ścianach dawno już poznikały i dlatego patrzę się teraz na głupie kreski i [na] coś, co ma być imitacją kwiatów.

Zaczyna być nudno. Każdy dzień potrzebuje wiele wrażeń. Każde wrażenie jest ściśle zależne od zmysłów. I dlatego, aby zmysły nie były w zastoju, wstaję z krzesła. Przekraczam próg i wchodzę do sąsiedniego pokoju salonu. Cichutko przechodzę przez pokój. Dywany tłumią kroki. Szerokie okno, przez całą noc otwarte, wpuszcza do wnętrza dużo świeżości. Cichutko otwieram drzwi i wychodzę na strych. Po prawej spadają się w głąb strome schody.

Powoli i jak najciszej staram się wystukać moje zejście. Czasem mi się to udaje, a czasem nie. Malutka sień, wycementowana, twardo podwaja, jak na złość, echo każdego, choćby najmniejszego kroku.

– Dzień dobry – mówię do tych, którzy są w kuchni.

– Dzień dobry. Dobrze ci się spało? – odpowiada ktoś.

– Dziękuję. Bardzo dobrze.

Potem parę uśmiechów, wzajemna lustracja fizjonomii i trochę podobnych zdawkowych słów.

Odświeżam się w zimnej, źródlanej wodzie i wychodzę przed dom.

Powietrze jest czyste. Panuje trochę chłód. Z piekarni dołatują zapachy świeżego chleba. Ze studni ktoś z hałasem wyciąga kubeł wody. Zaczynam mocno oddychać.

– Proszę do śniadania – wywołuje mnie czyjś głos z domu.

Na stole ustawiono stos chleba z masłem. Filiżanka kawy przyciąga mnie aromatycznym zapachem. Siadam [n]a skrzyżniętym, słomkowym zydelku i zaczynam jeść.

Przedpołudnie jest nudne. Czyta się troszeczkę gazetę, której z zasady brakuje wiele właśnie najciekawszych wiadomości.

W pokoju gra radio. Wywodzi jakieś smętne korowody melodyj z dawno zapomnianych oper. Snuje się ta muzyka po pokoju dyskretnie, ale nachalnie. Mimo woli poddają się jej posuwistej melancholii.

Wyrывa mnie z tego stanu Ona:

– Cos taki dziwny?

– Zamyśliłem się.

– O czym?

– Nawet sam nie wiem.

Rzeczywiście zamyśliłem się nad byle czym, nawet nad byle jaką błahostką, o której potem naturalnie nawet śmiesznie mówić.

Co parę sekund chwytam na wędkę ócz Jej uśmiech. Co parę minut wyczuwam jej obecność. Co parę godzin czuje się szczęśliwy.

Za oknami wiatr sunie po ulicy. Słońce prześwieca blado i na krótko. Deszcz bębni po szybach w pewnych dokładnych odstępach. Sierpień – – –

Południe nadchodzi prędko. Na stole zjawiają się dania. Pachnąca zupa mile łaskocze węch. Mięso podrażnia nasze zwierzące instynkty.

– Smacznego!

– Dziękuję. Nawzajem.

Jedzenie jest rzeczą nudną i męczącą. A przede wszystkim głupią – chociaż pożyteczną. Załatwiam się jak najprędzej z potrawami i zadowolony rozpieram się na krześle.

Po pokoju biega kot, oczekując podania mu resztek obiadu. Pod oknami szczeka pies, również czekając na ucztę.

Radio gra w dalszym ciągu. Z poważnej muzyki przeszło do lekkiej. Rozlegają się teraz ładne walce, dzikie foxy<sup>[2]</sup> i smutnawe tanga. Bezcześnie beczy saksofon, irytująco brząka gitara, usypiająco odzywa się bęben i cichy, daleki werbel.

Wychodzimy przed dom. Siadamy na ławce. Nad nami roz-wieszają się liściowe koronki. Nad nami wiszą sliwy.

Wiatr dmie ostro. Skóra cierpnie. Przechodzi dreszcz jak przed burzą.

Ona siedzi blisko. Odczuwam prawie ciepło Jej panińskie-go ciała. Uśmiechy krzyżują się jak szpady. Ale niegroźnie.

Kot wyleguje się na kupie ogrzanego piachu. Kury z uporem drapią ziemię. Kaczki flegmatycznie człapią po podwórku.

– Kiepski dzień – mówię banalne, tysiąc razy niepotrzebnie wymawiane słowo.

– Tak – odpowiada Ona. Rozmowa albo urywa się, albo przechodzi w całkiem osobistą dyskusję, w jakąś całkiem innymą dyskusję.

Ostatecznie kończy się ją zawsze tym samym.

– Wszystko będzie dobrze.

To wypowiada albo Ona, albo ja. Zależy od okoliczności, jakie towarzyszą naszym dyskusjom.

Spacer wśród ściśniętych na kupę chałup, wśród kiepskich płotów jest nieciekawym. Kobiety należące do jednej i tej samej grupy rasowej przypominają okolice górskie. Ale budownictwo za bardzo krzycząco odróżnia się od tego kolorytu.

Popołudnia są już krótkie. Wieczór nadchodzi szybko. Radio gra nadal coraz skoczniej, coraz weselej i dopiero późnym wieczorem przechodzi znów do muzyki poważnej.

Jeszcze trochę rozmowy. Trochę westchnień, trochę uśmiechów.

– Dobranoc – mówię i zaczynam się piąć po stromych schodach. Pochłania mnie ciemny kwadrat powały<sup>[3]</sup>. Po omacku szukam drzwi prowadzących do pokoju. Otwieram je i ciicho zamykam.

Pokoje są przeraźliwie ciemne. Wszystkie sprzęty są ruchome i przy każdym moim stąpieniu wydawają<sup>[4]</sup> najbardziej niepotrzebne hałasy.

Po omacku natrafiam na świeczkę. Zapalam ją. Żółte, porgrzebne światło mdło oświeca jasny zwykle pokój. Po kątach mrugają rzęsy ogromnych cieni. Mrok wiesza się u sufitu ruchoma pajęczyna.

I znów głupia i denerwująca czynność rozbierania się. Niepotrzebne na noc części garderoby rozrzucam dookoła po podłodze.

Modlitwa wieczorna bywa zawsze szczerą. Pokój usposabia do tego. Obrazy święte wyglądają w mroku jeszcze poważniej niż zwykle.

Łóżko podskakuje pod naporem mej osoby. Przykrywam się ciężką pierzyną, zdmuchuję gasnący już i tak płomień świeczki, i już nie myślę, nie marzę.

Już śpię – – –

---

– Mam jakieś przykre przeczucie. Czuję, że zajdzie coś niedobrego – powiedziała mi dziś.

– Pluj na to. Przeczucia rzadko się spełniają – uspokajałem ją.

Wprawdzie powiedziałem to z pewnością siebie, ale mimo to i ja odczuwam czasem takie przeczucia. Oczywiście, że nie można od razu się tym przejmować, jednakowoż trzeba być w każdym pociągnięciu ostrożnym. Trzeba każdy krok dokładnie obliczyć. – No, zobaczymy czy te przeczucia choć w kilku procentach się spełnią.

### **Wtorek, 11 sierpnia.**

Taki szary dzień. Wrażenia takie codzienne. Rozmowy takie banalne. Jak wczoraj, jak przedwczoraj...

### **Środa, 12 sierpnia.**

Rija jest jednak mimo wszystko trochę naiwna. To właśnie sprawia, że niewiele brakuje, a moglibyśmy się co parę

minut kłócić. Właściwie sama swym zachowaniem wywołuje u mnie draniowskie<sup>[5]</sup> zachowanie, a potem – gniewa się. O co? Nie wiem i dlatego pierwszy zwykle ustępuję. Ta naiwność jest bądź co bądź rozbijająca.

Było coś błędnego na pożegnanie. Ponieważ chcę jutro wyjechać i ponieważ byliśmy sami – chwila ta była wzruszająca o tyle, o ile przedstawiliśmy sobie ją w perspektywie długiego okresu, przez jaki nie będziemy się widywali.

Smutno mi, Boże!...

Tak powiedział Słowacki, a ja muszę powtórzyć jego rezygnacyjne słowa. Bo smutek jest niczym innym, jak stwierdzeniem swej bezsilności wobec losu, jest rezygnacją z radości. Smutek jest właściwie niegodny prawdziwie męskiego charakteru. Ale właśnie mnie się on najczęściej i najbardziej chwytą. We mnie chyba musi być dla smutku coś szczególnie pociągającego. Smutek, smętek, melancholia, tęsknota – to jest tylko niepotrzebnie przez poetów (a więc i przeze mnie) uprawiana gra słów. Najważniejsze jest to, że w takim stanie człowiek czuje się strasznie mały na tym ogromnym świecie, strasznie osamotniony ze swoim usposobieniem.

A jednak smutno mi, Boże! Bo wydaje mi się, że tu znalazłem szczęście, a oto muszę się z nim pożegnać. Może na chwil parę, a może na zawsze. Któż to wie? Smutno mi, Boże!...

Smutno mi Boże – to najulubieńszy wiersz Riji. To jest prawdziwy hymn o zachodzie słońca, to jest prawdziwy zmierzch radości. Bo radość jest zawsze krótkotrwała. I radość – choć krótkotrwała – to jednak daje pełnię dosytu.

*Jak puste kłosa z podniesioną głową,  
Stoję rozkoszy próżen i dosytu...  
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,  
Ciszę błękitu.  
Ale przed Tobą głębi serca otworzę:  
Smutno mi, Boże!*

Przesuwa mi się moje życie jak w kalejdoskopie. Miga przed moimi oczyma jak jakiś ciekawy, ale potargany film.

Była szkoła. I to całkiem nieszkolne zachowanie się. Była niby – miłość. I ta wielka awantura. Z tych dwóch faktów wysnuwa się tysiące różnych zamierzeń, pociągnięć, a to wszystko tworzy bryłę zniekształconych lat młodości. Niejako poza tym stała nauka. Trzymała się ona na uboczu od tego życia. I utrzymała się. Zwyciężyła życie.

Smutno mi, Boże!

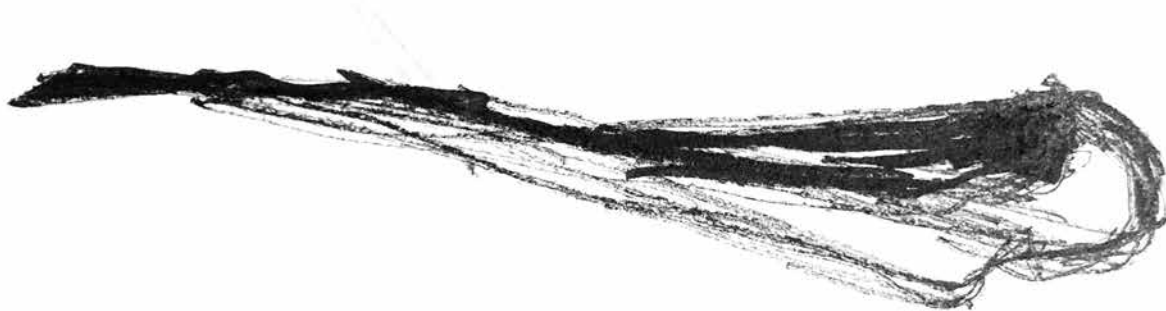
*Nim się przed moją nicością ukorzę,  
Smutno mi, Boże!*

### **Czwartek, 13 sierpnia.**

I jeszcze ostatni dzień. Jeszcze ostatnia noc. A jutro już muszę koniecznie wyruszyć. Coś mnie woła. Nie wiem jeszcze co to jest, ale wkrótce się dowiem.

Brzydki dzień. Deszcz, wiatr, zimno... Żeby tylko jutro było słonecznie. Lepiej by mi się jechało.

Wprawdzie trudno będzie mi się rozstać z Riją. Trudno będzie mi pożegnać na czas nie wiadomo który te chwile sło-





neczne i pełne wzruszeń. Moc wrażeń, jaką przyniosły mi spędzone tutaj, będzie dla mnie szczególnie mocnym bodźcem do kształtowania przyszłych losów mego życia.

Kiedy spoglądam dziś na minione co dopiero dni, to – chociaż trudno mi to jeszcze ostatecznie zdefiniować – były one dla mnie czymś zgoła cudownym, tym cudowniejszym, że niespodziewanym szczęściem. Wakacje te pozostaną mi bezwzględnie na zawsze w pamięci. Bo nawet będąc trochę materialistą i pomijając te kwestie „ideowe”, czuję się o wiele zdrowszy również i fizycznie. Przecież jadałem dobrze i regularnie, odpoczywałem dużo, sypiałem zupełnie wystarczająco.

Trzeba będzie znów powrócić do mojej szarej, codziennej pracy. Trzeba będzie znów zabrać się do heksametrów i sinusów. Trzeba będzie znów zacząć marzyć o dalekim szczęściu.

Żegnaj mi Świerkłańcu!  
Żegnaj mi Rijciu!  
Żegnajcie dobrzy ludzie.  
Smutno mi, Boże!

### **Piątek, 14 sierpnia.**

A więc jestem znowu w domu.

Dzień zapowiadał się bezwzględnie lepiej. Wstałem z dobrym humorem.

Z Świerkłańca wyjechałem o dziesiątej. Rija odprowadziła mnie rowerem aż do Kozłowej Góry<sup>[6]</sup>. Posipywał<sup>[7]</sup> lekki deszcz. Zimne krople mroziły odsłonięte kolana. Trzymałem w palcach jej ciepłą dłoń.

- Pamiętaj – szepnęła cicho i jakby boleśnie.
- Kocham – odrzekłem trochę melancholijnie.

I jeszcze serdeczny, smutny, najlepszy pocałunek naszych oczu. (Takie ładne, tak pełne dobroci i uroku są Jej oczy).

- Do widzenia i przyjeżdż znowu jak najprędzej.
- Dobrze – postaram się.
- Z Panem Bogiem.

Rozstaliśmy się ciężko. Rozeszliśmy się smutno. Rozeszliśmy się na czas nie wiadomo jaki.

A potem aż do domu przesładował mnie deszcz. O drugiej byłem w Czerwonice.

A w ogródku powitały mnie astry. Astry przypomniały mi jesień. Jesień – – – nadejdzie prędko.

Potem chaotyczna rozmowa, banały najgorszego rodzaju i powitanie się z Władkiem oraz Rysiem (przychodzili do domu co dzień, nie mogąc się mnie doczekać).

Zastałem w domu parę listów. A więc był również miły liścik od Helci i zdjęcie. Jest to jedyne zdjęcie Helci, jakie mam.

– Nie wiem zresztą, co zrobić. Rija koniecznie żąda, że przede wszystkim powinienem skończyć z wszelkimi znajomościami. A więc jest zazdrosna, co nawet ciocia stwierdziła. A z drugiej strony, skończyć tak bez powodu z bądź co bądź sympatyczną Helcią – nie ma sensu. Zresztą zobaczymy.

Coś mnie ciągnęło do domu. Co? Książki.

### **Sobota, 15 sierpnia.**

Jeżeli dziś chcę sobie przypomnieć niedawne, kochane dni, to muszę być przygotowany na to, że wspomnienia wystąpią trochę blade i niewyraźne. Tak już jest, że każde wrażenie, choćby najsilniejsze, wydaje się zaraz potem czymś, co nie jest w żadnym związku z ustalonym biegiem życia, wydaje się abstrakcją. I cały ten mój pobyt w Świerkłańcu, całe te nasze rozmowy, wydają się być czymś abstrakcyjnym lub wręcz niemożliwym. To szalone szczęście, jakie rozpierało przed paroma chwilami moją pierś, rozwiało się nagle i pozostało coś, co daje pewność, co daje święta nadzieję tego

szczęścia. Z chwilą, gdy Jej osoba usunęła się z kręgu mego spojrzenia, przyszedł jakiś nieodgadnięty smutek. Przyszła tęsknota – – –

Jeszcze teraz czuję w głowie straszny chaos. Nie mogę sobie przypomnieć, co i gdzie kiedyś położyłem, nie wiem, czego się najpierw chwycić. Ciągłe jeszcze żyję tamtymi wrażeniami, nadal staram się odświeżać tamte chwile.

Ale smutek, zdaje się, oświadczył mną teraz na długi czas. Bo – 1° – porywam się na studia, nie mając żadnego materialnego zabezpieczenia. A jeżeli nie dam rady, jeżeli złamię mnie los? Nie mógłbym wtedy powiedzieć: „Kocham Cię, Rijciu i będziesz moją”. Mimo wszystko straciłbym wiele w Jej oczach. Kobiety nie lubią mężczyzn przegrywających. 2° – Jeżeli jednak zdołam jakoś dostać się na uniwersytet, to – czy życie studenckie nie złamię mego zdrowia? Czy mimo szalonej chęci do nauki, zdołam skończyć studia w najkrótszym terminie? I czy potem mogę być pewny otrzymania natychmiastowej posady?

To są dwie najważniejsze wątpliwości, które już zaczynają rozsiewać naokoło mnie atmosferę smutku. Smutek stanie się odtąd moim całkiem naturalnym sprzymierzeńcem.

*Podpreść głowę rękoma i oczy rozewrzeć szeroko,  
na życie okrutne w wspomnieniach poszukać najdroższych odtrutek –  
tęsknota zaraz burzliwa pod Twoim przewali się oknem  
a serce przeleje się cicho, boleśnie przeleje się w smutek.*

Przeczytałem sobie to, co napisałem w owe dni. Chwyciło mnie takie mocne wzruszenie, do oczu starały się gwałtem napłynąć łzy, że nie dokończyłem czytania. Jestem zmuszony cicho przetrwać zaleźność nas obojga oraz to, czy nasz stosunek w niczym nie koliduje z Bogiem. Bo przecież pomoc boska jest najważniejsza, a tu tym bardziej potrzebna.

Kocham Cię, Rijciu!

Napisałem Jej długi list. Ponieważ list ten prawdopodobnie będzie czytała i ciocia, stąd nie powypisywałem w nim żadnych wynurzeń o charakterze osobistym. Spodziewam się rychłej odpowiedzi, przyrzekła przecież prędko odpisywać.

Dziś jest święto Wniebowzięcia NP Maryi. Czyli jest dzień świąteczny. Ale nie o to chodzi. Mianowicie całkiem niespodziewanie spadła na mnie wieczorem istna lawina wrażeń. Jeszcze do godziny przecież żyłem świerkłańceckimi wspomnieniami, a potem nagle przrzuciłem się na zupełnie odmienny tor życia. Zdobyłem zupełnie niespodziewanie koszyk najbardziej ciekawych owoców, których nie można w nijaki sposób przetrwać. Tak ostatecznie można metaforycznie nazwać moje dzisiejsze wieczorowe i nocne wrażenia.

Władek przybył jak zwykle po południu.

– Chodź do mnie – mówi. – Wprawdzie jest dziś w Czuchowie odpust, ale my go sobie w domu odprawimy.

– Dobra. Nie ma to jak w domu.

Posłaliśmy po kielbasę i flaszkę koniaku. Ja, mając słabą głowę, po dwóch kieliszkach byłem w najbardziej różowym nastroju. Potem świat naturalnie staje się bliższy, życie radośniejsze, jest bardzo dużo ochoty do śpiewu i do śmiechu.

Wyszliśmy na spacer. Chodzenie zresztą zmęczyło mnie prędko, toteż chciałem się pożegnać i pójść do domu. Jednakowoż Władek postanowił mnie odprowadzić. I tu się zaczęło coś...

Niedaleko domu spotkaliśmy grupę dwóch chłopców i dwóch dziewcząt. Przeszlibyśmy mimo, gdyby nie to, że z tamtej grupy doleciał mnie głos:

– Willi.

Co jest? Oglądam się i dostrzegam Stefę. A więc była Stefa, Marysia, Fojcik i Grzegorzcyk.

– Zateśkniliśmy za Panem – wytłumaczyła Stefa krótko to całkiem niespodziewane najście. – Zresztą później okazało się, że cała ta eskapada była pomysłem Stefki. Że chciała koniecznie zobaczyć Wila.

Zaczęliśmy więc spacerować. Powoli koniak uleciał mi z głowy, pozostawiając wspomnienie w postaci dobrego humoru.

Stefa chwyciła mnie pod rękę i przytuliła się do mnie całym ciałem.

– Jest ci zimno? – zapytałem.

– Tak – odparła.

Starła się czynić tak, żebyśmy mogli ciągle iść tylko we dwoje.

W pewnym momencie zapytała:

– Kto to jest Rija? Słyszałam, jak to imię przed chwilą ktoś wymówił i zauważyłam, jak przy tym drgnął.

– Rija? Przecież to moja kuzynka.

– Kuzynka?

– Naturalnie – poparł mnie Władek.

Stefa zaczęła mi więc natychmiast tłumaczyć, dlaczego się o to zapytała.

– Ja – mówiła – nie chcę Ci krępować życia. Jeżeli miałbyś jakieś plany gdzie indziej, to lepiej wygadaj się szczerze. Tyś mnie ujął całkowicie swoją ukochaną Ukrainą. Rozbudziłeś we mnie stepowe instynkty. I dlatego nie mogę się obronić przed ogromem sympatii, jaką odczuwam w stosunku do Ciebie.

– A kawaler?

– Jeżelibym nawet za niego wyszła, to na pewno nie będę się czuła szczęśliwą. Za wielka jest między nami różnica zdań.

Przytulała się do mnie coraz mocniej. Wreszcie w ciemnej poczekalni dworca nastawiła mi usta do pocałunku. – –

Stefa całuje sucho, ale dziko. Całuje namiętnie. Ma zmysłowe usta i w miłości platonicznej nie znajduje żadnego uroku. Jest rzeczywiście dziką. Nie znosi uległości, kocha się w swobodzie. Stefa może być miłą towarzyszką, ale nie żoną. Można z nią iść przez życie, ale tylko w charakterze przyjaciół. Potem odprowadziliśmy je do Jaśkowic<sup>[8]</sup>. Fojcik zabujany w Marysi na serio, miał wiele zadowolenia z tego wieczoru. Ja czułem się wprawdzie trochę niewyraźnie, ale wybijały temperament Stefy zrobił swoje i pozwoliłem unieść się tam moim myśłom najczystszy, jak i żądom.

Państwa Pyrchałów nie było w domu. Byliśmy więc w tym pokoju, w którym widziałem zwłoki śp. Erwina, sami. Ale Stefie to nie odpowiadało, bo poprosiła mnie na górę, chciała mi pokazać swój pokoik.

Owszem miły. Nawet bardzo miły. Zresztą tu nastąpiła nowa seria pocałunków, tym razem znowu spowodowana przez Stefę. Przytuliła się do mnie tak mocno, że aż dech mi w piersi zaparło. Przyłgnęła do mnie każdą wypukłością

swego kształtnego ciała. I przyznam się, że nawiedziła mnie wtedy wariacka myśl: szkoda, że mam tak mało czasu do następnego pociągu.

Pożegnaliśmy się równie bardzo ciepło. Musiałem obiecać, że przyjadę znowu z Fojcikiem – jutro. Naturalnie za jastrzębie dostałem lekką burę. – Wszyscy jesteśmy już na „ty”.

Stanąłem na takim strasznym rozdrożu. Rija może mi dać dużo szczęścia. Helcia jest bardzo miła. Stefa też ujdzie. Zresztą wszystkie trzy są we mnie zabujane aż po uszy. Walkę na trzy fronty prowadzić jest trudno. A jednak będę musiał do pewnego czasu (nie wiem jak długo) prowadzić grę na trzy oblicza. Jestem bałamut.<sup>[9]</sup>

### 16 sierpnia.

I znowu nieprzespana noc. I znowu zmarnowana niedziela. Zmarnowana, gdyż przestawanie ze Stefą nie ma najmniejszego sensu. Przecież nie mam, ba – nie mogę względem niej mieć jakichkolwiek poważnych zamiarów. Inna rzecz, że nigdy bym jej nie potrafił pokochać. Chyba zmysłowo.

Lubi dużo słuchać o Ukrainie. Mówię więc często o stepach i o stepowej swobodzie. Wtedy jej dzikie oczy płoną jakimś tajemniczym ogniem, wtedy jej nozdrza rozdymają się szeroko i cała chciałaby się do mnie przytulić, a nawet, jak było poznać z jej mowy i ruchów, chciałaby mi się oddać. Taka jest Stefa. I jeśli do niej czuje sympatię, to tylko dlatego, że ma taki stepowy temperament, no i że chce mi dać chwile szczęścia.

– Otumanieś mnie tą Ukrainą. Muszę o niej ciągle myśleć. I za te twoje ukraińsko-stepowe uczucia odczuwam do ciebie moc sympatii – mówiła mi.

Kawaler<sup>[10]</sup> jej też był wczoraj. Stefa naturalnie przebywała częściej w moim towarzystwie. I w ogóle starała się go doprowadzić do wściekłości.

– Niech się to już raz skończy – mówiła mi.

Jest źle. Nie mam odwagi powiedzieć jej otwarcie prawdy, a z drugiej strony nie chcę zdradzać kochanej Riji.<sup>[11]</sup>

Władek wziął z sobą flaszkę koniaku. Ugotowaliśmy tam groku<sup>[12]</sup>. Ja się do tego właściwie w ogóle nie wtykałem. Inna rzecz, że potem byłem w takim niezbyt wybrednym humorze. W każdym razie pamiętam dokładnie ten nasz dialog:

– Czy – powiedziałem – mogłabyś w jakiś sposób dać mi dowody swojej silnej sympatii do mnie?

– Tak.

– Jakie? Chyba nie platoniczne?

– Nie – zamyśliła się i po chwili rzekła powoli – Ale ty zaproponujesz?

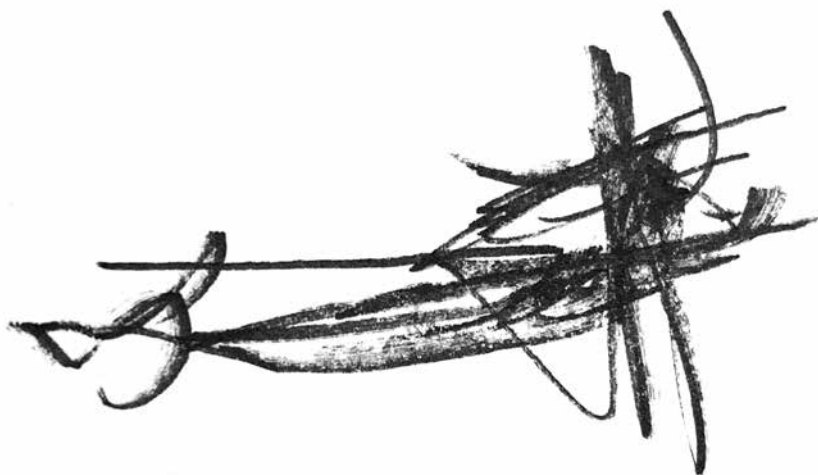
A ja nie chcę. Nie potrzebuję. Za zbyt łatwa to zdobycz dla moich zmysłów. Zresztą po co? Czy ja akurat muszę być taki, jak wszyscy chłopcy<sup>[13]</sup>. Nie. Ja właśnie będę inny. Mimo szalone podniecenie, na jakie Stefa mnie naraziła swym swobodnym zachowaniem się, mimo szaloną pokusę i tę dziką radość [udowodnienia jej mej męskości]<sup>[14]</sup>, mimo to wszystko chcę być inny.

Szkoda twoich słów dziewczyno<sup>[15]</sup>.

### Poniedziałek, 17 sierpnia.

Ojciec pojechał z wujkiem Janią do Świerklańca.

Ja miałem pójść do Leszczyn. Poszedłem chętnie, gdyż dowiedziałem się, że w[e] wtorek ubiegły wybuchnął w domu dziadków pożar. Rzeczywiście. Cała Jonderkowa część domu jest do połowy zburzona. Stoi tylko dzied-





kowa strona. Dookoła chałupy rozchodzi się niemiły zapach spalenizny. Przepalone mury, sterczące nago ku górze, przypominają ruiny jakiegoś zamku. Na górze panuje taki gorąc, że człowiekowi się mdło robi.

– Całe pranie, kiere się suszyło na górze, jest zmentelole – mówi babka. – Szkody mamy na półtora tysiąca złotych.

Spisałem im cały wykaz szkód, które towarzystwo ubezpieczeń „Vesta” powinno pokryć.

### **Wtorek, 18 sierpnia.**

Dostałem list od Riji. Pisze, że z listu mojego ucieszyła się naprawdę szczerze. Poza tym zauważa, że oprócz moich listów, które powinny często przychodzić, zaczyna ją nawiedzać tęsknota. – List jest trochę chaotyczny, ale na usprawiedliwienie ma to, że jej ciągle przeszkadzano w pisaniu. Napisałem jej, że na pewno pokoik u góry jest teraz pusty, tymczasem ona przesiaduje w nim całe dni[e] i pisze dzienniczek.

Zastanowiłem się poważnie nad tym, czy warto pisać dzienniczek. Tylu jest dziś przeciwników tego przeżytku z czasów romantycznych, a nawet pewna gazeta ogłosiła na ten temat wśród młodzieży ankietę. I okazało się, że większość młodzieży nie ma na takie „głupstwa” czasu, a jedni nawet twierdzą, że pisanie dzienniczka, rozczulanie się nad całością dnia, sentymentalne ujmowanie nawet prostych zdarzeń, to wszystko nie jest godne prawdziwego mężczyzny. Gazeta zaznaczyła więc na marginesie ankiety, że dzienniczek zaginął bezpowrotnie i pozostał jedynie formą spisywania wrażeń u sportowców oraz podróżników.

W świetle tego wszystkiego pisanie pamiętnika jest właściwie rzeczą głupią i najbardziej niepotrzebną. Jest czymś rażąco kolidującym z prędkością biegu dzisiejszego życia. Przecież wszystkich wrażeń i tak nie można zanotować, a więc oblicze ubiegłych dni mimo wszystko pozostanie trochę niewyraźne.

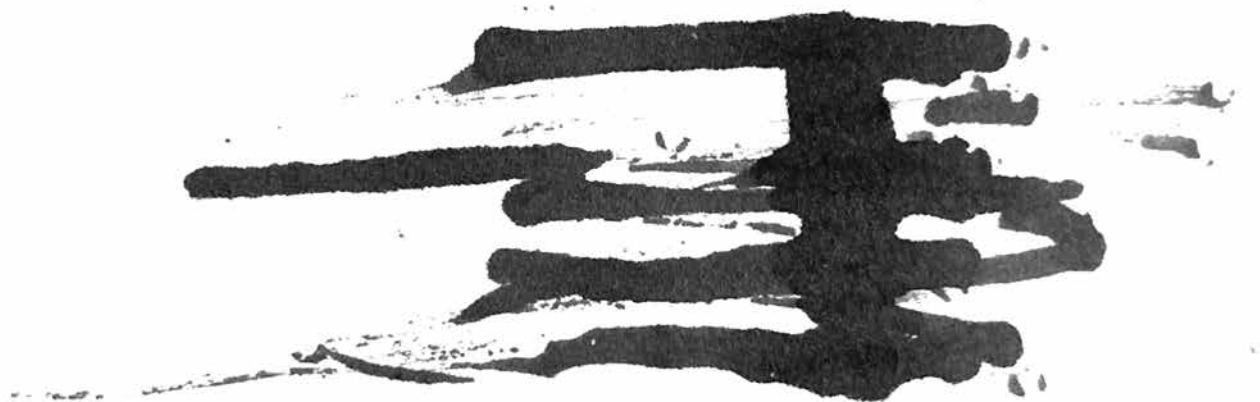
A jednak. A jednak dzienniczek jest godny każdego człowieka, jest koniecznością każdego dnia, jest podsumowaniem codziennych wrażeń i ostateczną konkluzją całodziennego życia. Jest wiernym zwierciadłem (o ile jest szczerzy) prawdziwego charakteru człowieka. A więc jest tym samym konieczny. Pozostaje tylko kwestia sposobów, jakimi się te wrażenia spisuje. Tu już ankietę przyniosła pewne racje. Jest prawdą, że romantyzm jest dziś nierealny i dlatego każde zetknięcie się dzienniczka z romantyzmem jest bądź co bądź stwierdzeniem „babienia”<sup>[16]</sup> się dzisiejszej postępowej młodzieży. I dlatego dzienniczek powinien być przez przeciętnego człowieka pisany słowami takimi, jakie się w nim i dookoła niego znajdują. Czy-

li prostymi, ekonomicznymi. Ale tylko dla przeciętnego człowieka jest taka rada, ba – taka konieczność przeznaczona. Człowiek, który żyje wielu uczuciami, który obraca się w świecie ideałów, który służy Prawdzie i Pięknu, może i powinien pisać tak, jak mu dyktuje jego uczuciowa dusza. To na pewno nie jest pompatość ani sztuczność, to jest szczerść. Bo takie charaktery nawet dziś się trafiają. – A takim też jestem ja. I dlatego muszę pisać stylem i słowami, które mi najlepiej odpowiadają – i muszę pisać o rzeczach, które są mi najbliższe i które jedynie doprowadzają do całkowitego poznania siebie samego.

Miałem z Władkiem oraz Fojcikiem ostrą dyskusję na tematy, jakie dzisiejszej młodzieży nie są obce. Poznałem więc Władka całkiem dobrze. Wylazło sztydło z worka. A więc on pochwała spółkowanie, uważa to za potrzebę naturalną każdego młodzieńca. W dowodzeniach swoich jest jednak tak rozbijającą naiwny, że doprawdy nie wie się, czy jest to rozmowa z człowiekiem poważnym czy z dzieckiem przemądrzałym. Fojcik nie gadał dużo, ale i on jest sympatykiem takiego stosunku. Owszem, ja nie pochwalam platonizmu, ale co za dużo to niezdrowo. Radzą mi tak skończyć ze Stefą. Twierdzą, że ona dąży do tego. Cóż z tego? Ja wycofam się z tej całej awantury z honorem i nie chcę z jej strony więcej impulsów do tego, co nie jest konieczne, co jest grzeszne.

### **Przypisy**

- [1] Hałasi, tu w znaczeniu: hałasuje.
- [2] Foxy, tu w znaczeniu: fokstrotty.
- [3] Powala – drewniany strop, pułap, sufit.
- [4] Wydawają (gwar.) wydają.
- [5] Draniowskie, tu w znaczeniu: dokuczliwe, nieznośne.
- [6] Kozłowa Góra, dzisiaj dzielnica Piekar Śląskich, wcześniej samodzielna miejscowość, w której znajdował się zespół pałacowy von Donnersmarcków.
- [7] Posipywał, tu w znaczeniu: siąpił, padał.
- [8] Jaśkowice, dzisiaj dzielnica Orzesza, wtedy osobna wieś.
- [9] W rękopisie ten akapit został przekreślony.
- [10] Słowo: Kawaler zostało przekreślone, nadpisano: Naręczony.
- [11] W rękopisie ten akapit został przekreślony.
- [12] Grok (daw.) grog, tu: koniak zmieszany z gorącą wodą i ostudzony.
- [13] Przekreślono: chłopcy, nadpisano: inni.
- [14] To, co w nawiasie kwadratowym, zostało przekreślone.
- [15] Aluzja do popularnego tanga Andrzeja Własta i Artura Golda *Szkoda twoich łez* (1929).
- [16] Babienie, tu w znaczeniu: zniewieścienie.



# Pokolenie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

STEFAN ZABIEROWSKI

1

Omawiając biografię Baczyńskiego, historycy literatury dość często rozpatrywali życiorys poety w związku z jego przynależnością pokoleniową. Baczyński bowiem zaliczony być musi do pierwszego pokolenia urodzonego i ukształtowanego w niepodległym – po 123 latach zaborów – państwie polskim.

Na ogół przedstawiciele tej generacji urodzili się około roku 1920. Ich przeżyciem pokoleniowym, czyli wydarzeniem, które wypadło w momencie ich wejścia w dorosłe życie, stała się II wojna światowa, która wybuchła we wrześniu 1939 roku, a także – następujące po niej – okupacja niemiecka i sowiecka. Tak o tym pisał jeden z przedstawicieli tej generacji Jan Józef Szczepański w esejju *W służbie Wielkiego Armatora*:

Więc kiedy mówię „moje pokolenie”, myślę o przeszłości. Myślę o narodzie dwudziestolatków, wytrąconych z kolejiny zaplanowanej dla nich normalnego życia postawionych w obliczu dramatycznych wyborów. Myślę o okupacji. Bo tylko tamte lata ujawniają znamiona naszej inności, ukazują nas wyraźnie jako odrębną falę na rzece historii.

Pokolenie to występuje w krytyce literackiej i historii literatury pod różnymi nazwami. Najpopularniejszym jest określenie „pokolenie Kolumbów”, zaczerpnięte z powieści jednego z przedstawicieli tej generacji – Romana Bratnego *Kolumbowie rocznik 20*, z roku 1957. Używany jest też – zaproponowany przez Andrzeja Trzebińskiego jeszcze w latach okupacji – termin „pokolenie dramatyczne”. Spotkać też można określenie – „pokolenie stracone”, co jest o tyle niedogodne, że kojarzy się z angielskim terminem „lost generation”, którym nazywano amerykańskich pisarzy, między innymi Ernesta Hemingway`a, którzy stracili młodość w latach I wojny światowej.

Pojawia się też metaforyczny termin „pokolenie meteorów”, który ma oznaczać krótkotrwałe istnienie tej generacji. Znajdziemy też inny termin – zaproponowany przez Normana Daviesa w jego monografii powstania warszawskiego *Powstanie '44* – „dzieci Conrada”. Termin ten nawiązywał do charakterystycznego dla przedstawicieli tej generacji, etosu, który zachęcał ich do twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego, przede wszystkim z powieści *Lord Jim*.

Ostatnio, w czerwcu 2022, przy okazji wystawy fotograficznej prezentującej twórców tej generacji na Zamku Królewskim w Warszawie, pojawiło się nowe określenie – „pokolenie Baczyńskiego”.

Wydaje się jednak, że najlepszymi są terminy neutralne – takie jak – „pokolenie 1920”, lub też – „pokolenie wojenne”.

Pokolenie to było dość liczne i należeli do niego, między innymi tacy twórcy jak – Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński, Gustaw Herling-Grudziński, Lesław Bartelski, Jan Józef Szczepański, Tadeusz Borowski, Roman Bratny, Tadeusz Różewicz, czy Bogdan Czeszko.

Rysem znamionym przedstawicieli tego pokolenia w literaturze był fakt, że brali oni udział w zbrojnej konspiracji przeciw okupantom. Często ów fakt uczestnictwa w podziemiu zbrojnym poprzedzał twórczość literacką.

2

Krzysztof Kamil Baczyński uznany był za czołowego przedstawiciela tej generacji. W literaturze tak go zaklasyfikował

Kazimierz Wyka w *Liście do Jana Bugaja*, opublikowanym w roku 1943 w krakowskim, konspiracyjnym „Miesięczniku Literackim”: Przywołajmy stosowny fragment tego tekstu:

Nie każdemu tak wcześnie jest dana pełna dojrzałość artystyczna. Jest pan pierwszy i życzylibym Panu, by nie tylko w chronologii wystąpień pozostał Pan pierwszy. Nie życzylibym wszakże Panu, by Pan p o z o s t a ł s a m o t n y n y. Chciałbym, mam nadzieję, że wszystko co żywotne i świeże w liryce odczuwane będzie przez Pana rówieśników jako podobnie ich dotycząca zadanie poetyckie.

Kolega Baczyńskiego z konspiracyjnej polonistyki, Zbigniew Wasilewski wspominał, że ów tekst:

Przysłany mu w postaci listu – znany potem jako *List do Jana Bugaja* [...]. Wzbudził szczere zadowolenie adresata i jego połowicy. Pamiętam, Basia oświadczyła mi wyraźnie, że jest to „pierwsza i na pewno nie ostatnia” poważna ocena twórczości Krzysztofa przez wybitnego krytyka, że Wyka „p i e r w s z y p o z n a ł s i ę na Krzysiu”...

Rzecz godna szczególnej uwagi. – tezę o prymacie Baczyńskiego w jego pokoleniu powtórzył Wyka w roku 1961 w swojej monografii *Krzysztof Baczyński (1921–1944)* Pisał tam:

Ten wybuch zagadnień i poszukiwanie dla nich nowych środków wypowiedzi, który najwcześniej dokonał się u Baczyńskiego, był natomiast pierwszą wypowiedzią nowego pokolenia. Był świadectwem tego zespołu podniet historycznych i ideowych, jakie wypada nazywać p r z e ż y c i e m p o k o l e n i o w y m [...] Jakiego pokolenia? Pokolenia młodzieży okupacyjnej, w literaturze generacji Baczyńskiego, Gajcego, Borowskiego, Różewicza i tych wielu, którzy w większości na skutek przedczesnej śmierci pozostawili jedynie fragmentaryczne i ułomne świadectwo swojej obecności we wspólnym szeregu. Pokolenia, które miało trzy ośrodki skupienia – Warszawę, partyzantki las i obóz koncentracyjny.

3

Ale świadomość pokoleniowa manifestowała się bezpośrednio u Baczyńskiego zarówno w jego twórczości plastycznej, jak i w utworach literackich. Znany jest jego rysunek z roku 1940, zatytułowany „Pokolenie”. Przedstawia on trzech młodych ludzi, w cywilnych ubraniach, stojących przed lustrem. Z tym, że ich odbicie w lustrze podlega znamiennej modyfikacji. Ubrani są w mundury wojskowe, a na głowach mają hełmy. Zapewne w ten sposób poeta chciał ukazać, że jego pokolenie skazane zostało na walkę.

Baczyński należał do tych twórców, którzy w istotny sposób ułatwiali historykom literatury interpretację swojej poezji, bowiem przy większości utworów podawał on daty ich powstania. Tak więc mamy w dorobku Baczyńskiego dwa wiersze oznaczone identycznym tytułem *Pokolenie*. Pierwszy z listopada roku 1941, drugi zaś – oznaczony dokładnie – na 22 lipca 1943 roku.





Łuku Kurskim. W tym samym roku wybuchło i upadło powstanie w getcie warszawskim. Był to rok tak ważnych wydarzeń podziemia, jak akcja pod Arsenalem, czy zamach na gen. SS Franza Kutscherę. W tym samym roku ukazała się – w wydawnictwie podziemnym – książka Aleksandra Kamińskiego (piszącego pod pseudonimem Juliusza Góreckiego) *Kamienie na szaniec*, przedstawiająca tragiczne wojenne losy bojowników podziemia i kolegów Baczyńskiego z Liceum Batorego.

Tyle w planie ogólnym. Zaś w biografii indywidualnej Baczyńskiego też miała miejsce zasadnicza zmiana. Bowiem pod koniec czerwca tego roku poeta rezygnuje z uczestnictwa w podziemnych studiach polonistycznych i zostaje żołnierzem Grup Szturmowych Szarych Szeregów i – pod pseudonimem Krzysztof Zieliński – przejmując w plutonie „Sad” dowództwo sekcji.

W tym roku także ważne wydarzenia mają miejsce w życiu artystycznym Krzysztofa. W ostatnim numerze krakowskiego „Miesięcznika Literackiego” ukazuje się ów słynny *List do Jana Bugaja* Kazimierza Wyki i w tym samym numerze zamieszczone są wiersze Baczyńskiego – *Legenda*, *Młot* i *Historia*.

Tak wyglądał historyczny i biograficzny kontekst dla drugiego wiersza *Pokolenie*. Na jedną kwestię należy tu zwrócić uwagę. Pierwszy wiersz *Pokolenie* oddawał stan przerażenia, jaki u reprezentantów tej grupy społecznej wywoływała wojna – przede wszystkim – porażenie psychiczne.

Inny charakter miał drugi utwór, zatytułowany również – *Pokolenie*. Tekst ten pokazywał w jakim stopniu udział w wojnie zubażał pod względem psychologicznym i moralnym przedstawicieli tej generacji. Jak wojna sprawiła, że podważone zostały podstawowe wartości etyczne, jakie ceniła dotąd ludzkość. Zacytujmy:

Nas nauczono. Nie ma litości.  
[.....]  
Nas nauczono. Nie ma sumienia.  
[.....]  
Nas nauczono. Nie ma miłości.  
[.....]  
Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,  
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.

A zarazem, jak wynika z rozważań Jana Strzeleckiego

Wartości w świecie – a więc miłość, jasność, ład, uznanie praw drogiego człowieka, pojmowanie jego istnienia nie jako łupu lub roboczej siły, lecz jakopola życia, któremu przyświadczamy i mamy ochotę pomóc – leżą za tamą, wzniesioną przeciwko nieustannie grożącemu morzu. Ich uznanie jest samo częścią składową tej tamy.

Misją tego pokolenia było – wbrew naciskom Wielkiej Historii – służenie owym wartościom. Jak pisał Strzelecki:

Czas był nam dany nie na życie – ale na świadczenie temu, co cenimy wyżej. Nasz stosunek do wartości nasycony był ostatecznym charakterem wyboru.

Warto zwrócić uwagę, że obraz wojny, wpisany w twórczość Baczyńskiego, wolny jest od wszelkiego tryumfalizmu, często napotykanego w poezji o charakterze patriotycznym. Przeciwnie – poeta stawia zasadnicze pytanie: jak po zakończeniu działań wojennych przyszłe pokolenia ocenią wkład jego generacji. Zacytujmy:

I tak staniemy na wozach, czołgach,  
na samolotach, na rumowisku,  
gdzie po nas wąż się ciszy przeczłołga  
gdzie zimny potop omyje nas,

nie wiedząc: stoi czy płynie czas.  
Jak obce miasta z głębin kopane,  
popielejące ludzkie pokłady  
na wznak leżące, stojące wzwyz,  
nie wiedząc, czy my karty iliady  
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,  
czy nam postawią, z litości chociaż,  
nad grobem krzyż.

Można powiedzieć, że wiersz ów miał charakter proroctwa. Jego Autor przedstawił dwa różne podejścia, jakie miały miejsce w Polsce w stosunku do pokolenia wojennego, generacji Armii Krajowej, po zakończeniu II wojny światowej. Po pierwsze, represje, jakie w stosunku do byłych partyzantów stosowano bezpośrednio po wojnie, a szczególnie w latach stalinowskich. Jak wiadomo, także po Baczyńskiemu zgłosili się – już po zakończeniu działań wojennych – funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, by go aresztować, ale poeta już nie żył.

Faza druga, zapoczątkowana po przemianach roku 1956, a szczególnie nasiloną po roku 1989 – to narastający kult owych bojowników pokolenia wojennego. To oni wówczas stają się obiektem epepei („księgi iliady”).

**5** Postawmy sobie na zakończenie tych wywodów pytanie: dlaczego na przestrzeni kilkudziesięciu lat właśnie Krzysztof Baczyński urosł do roli czołowego przedstawiciela generacji 1920, dlaczego mówi się dziś o „pokoleniu Baczyńskiego”?

Stało się tak z kilku powodów. Po pierwsze, Baczyński związany był z najważniejszym ośrodkiem skupienia jego generacji, jakim była Warszawa. Tu się urodził, tu się uczył, tu konspirował i tutaj poległ.

Po wtóre, w biografii Baczyńskiego były skumulowane składniki, które u innych przedstawicieli tej generacji były bardziej rozproszone. Przede wszystkim była to patriotyczna tradycja rodzinna. Bowiem dziadek poety, lwowski krawiec, Zygmunt Baczyński był uczestnikiem powstania styczniowego. Ojciec Krzysztofa – Stanisław Baczyński był oficerem kawalerii legionowej, a także – jako dowódca oddziałów dywersyjnych – brał udział w powstaniach śląskich.

Baczyński chodził do słynnego warszawskiego gimnazjum Stefana Batorego, z którego rekrutowali się bohaterzy bojownicy podziemia, opisywani przez Aleksandra Kamińskiego w kultowych *Kamieniach na szaniec*. Byli to Tadeusz Zawadzki („Zośka”), Aleksy Dawidowski („Alek”) i Jan Bytnar („Rudy”). Wszyscy oni, podobnie jak Krzysztof, zdali maturę w roku 1939. Ale byli też i inni koledzy, których wspominał Andrzej Józef Kamiński:

I Wojtek Karaś, jeden z pierwszych rozstrzelanych, i Zbyszek Iskrzyński, co leży ponoć pod Faleise, i wielu innych, co nie wrócili z Powstania, z Oświęcimia, spod Tobruku – Jurek Madziar, Andrzej Zawadzki, Maciek Kwiatużyński, Ryś Pomirowski...

Krzysztof był też studentem tajnej polonistyki warszawskiej, gdzie miał zajęcia z elitą ówczesnych historyków literatury i językoznawców. Był żołnierzem elitarnych oddziałów Armii Krajowej – batalionów: „Zośka” i „Parasol”.

A niezależnie od tego Krzysztof był wielkiej miary poetą o olbrzymim, jak na młody wiek, dorobku. Budził podziw u najwybitniejszych ówczesnych twórców i znawców literatury. Nie przypadkowo Jerzy Zagórski i Kazimierz Wyka zestawiali go ze Słowackim.

Baczyński zginął śmiercią żołnierza w Pałacu Blanka w czwartym dniu Powstania Warszawskiego. Udział w powstaniu i żołnierska śmierć były istotnym składnikiem biografii Baczyńskiego, który kwalifikował go jako wybitnego reprezentanta generacji 1920.

Swoim życiem i twórczością Baczyński – jak niewiele – zrealizował romantyczny wzorzec „poety-żołnierza”.



# Paul Celan

## Żyd, emigrant, wieczny tułacz

ADAM LIZAKOWSKI

Historii życia emigranta, poety, literata, tłumacza i nauczyciela akademickiego, urodzonego w Czerniowcach, Paula Celana, autorstwa Anny Arno, w książce *Tam, za kasztanami, jest świat. Paul Celan. Biografia*, przypomina wyrwanie „zębów na żywca”. Nie jest to lektura ani łatwa, ani przyjemna, ale szalenie interesująca i świetnie napisana, a przede wszystkim – pomimo trudnych i bardzo bolesnych doświadczeń – bohater książki jest bliski wszystkim emigrantom, twórcom, poetom, którzy – tak jak on – z podobnych powodów opuścili swoje miejsca urodzenia w poszukiwaniu szczęścia i lepszego życia.

### Wiersz

Biografia Celana rozpoczyna się wierszem *Fuga śmierci* w przekładzie Julii Juryś. Wiersz napisany w 1944 lub 1945 roku, (co do daty jego powstania nie ma zgody), zaczyna się oksymoronom: „Czarne mleko świtu pijemy cię w mroku”. Celan zastosował też przerażającą metaforę: „grób kopimy w powietrzu”, czyli dym spalonych ciał, wydostający się poprzez kominy i rozwiewany przez wiatr, czyni powietrze jednym wielkim grobem pomordowanych. Jednak najbardziej przemawia do nas ostatnia zwrotka wiersza;

Czarne mleko świtu pijemy cię nocą  
pijemy w południe śmierć jest  
mistrzem z Niemiec  
pijemy cię w mroku i brzasku pijemy  
pijemy  
śmierć jest mistrzem z Niemiec  
oko ma błękitne  
ołów kuli Cię trafi położy Cię celnie

„Śmierć jest mistrzem z Niemiec” – o tym nie trzeba nikomu mówić. Ci, co przeżyli II wojnę światową, ich dzieci urodzone jeszcze wiele dekad po jej zakończeniu – wszyscy nią żyli. Dzieci miały traumę swoich rodziców, która trzymała ich, nie opuszczała nawet w chwilach dla nich najszcześniejszych. Dla nich bał jest tak oczywisty i tak przejmujący zarazem, chwytający za serca i gardła, gdy się wie, że ten „mistrz z Niemiec” wymordował miliony istnień ludzkich, podał rękę Stalinowi, który wymordował jeszcze więcej ludzi. Już po tej lekturze wiersza czytelnik może domyśleć się, z jakim poetą ma do czynienia. Jak się później z lektury dowiemy, wiersz

ten został zadedykowany matce, która wraz z resztą rodziny została zamordowana przez Niemców. Co ma zrobić w takim przypadku poeta, urodzony w rodzinie żydowskiej, który wybrał język niemiecki za swój własny? Który prawdopodobnie nigdy nie przypuszczał, że Niemcy wymordują jego rodzinę, bliskich i znajomych.

W czasie wojny pracował przy budowie drogi w Mołdawii, gdzie otrzymywał rację głodową składającą się z porcji chleba i rozwodnionej zupy kukurydzianej (s. 74). Pisał wiersze, broniąc w ten sposób swojej godności, godności wszystkich żywych i zmarłych poetów wszystkich wieków, a także godności całej ludzkości. Mimo tego, że pisanie wierszy może być wspaniałą terapią uzdrawiającą to jego pisanie i rozmyślanie, nie było jednak terapią, wręcz przeciwnie, było utrapieniem, wyrzutem sumienia, że przeżył, że gdyby został, czy był w pobliżu rodziców, oni by też przeżyli wojnę. To uporczywe myślenie doprowadziło go z czasem do obłądzenia i myśli samobójczych. Jest poetą – broni nie tylko swojej godności, ale i godności całej ludzkości.

Zbrodnie reżimu hitlerowskiego na bezbronnej ludności podbitych krajów polegały także na tym, że cały naród niemieckich został nimi splamiony i stał się współodpowiedzialny za nie. Paul Celan zdawał sobie z tego w pełni sprawę, gdy pisał do Maxa Rychnera, redaktora wspomnianej już gazety: „Kiedy ukażą się moje wiersze, z pewnością dotrą do Niemiec i – pozwoli Pan, że powiem te straszliwe słowa – ręka, która otworzy moją książkę, być może ścisnęła dłoń mordercy mojej Matki” (s. 133).

Niemcy uważane za wielki naród kulturalny, tworzący piękną kulturę, literaturę i muzykę, poprzez swoje czyny stały się narodem barbarzyńców i morderców i nie ma żadnego usprawiedliwienia, dlaczego słuchali szaleńca rozkazującego zabijać inne narody. Podczas licznych podróży do RFN Celan umacniał się w wierzeniu, że Niemcy wciąż są antysemitami i neonazizm się odradza (s. 417). Bał się tych myśli, bał się tego, że w Niemczech Żydów przestano nazywać Żydami (s. 414). Bacznie śledził w mass mediach procesy zbrodniarzy hitlerowskich, zarówno w Niemczech jak i Izraelu, będąc w Berlinie w 1967 roku oglądał więzienie Plötzensee, gdzie straco-

na została część uczestników nieudanego zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku (s. 523). To wszystko inspirowało go do pisania, ale także powodowało lęki, które mąciły mu umysł, choroba podbijała myśli. W pełni zdawał sobie z tego sprawę, że „swoją prawdę można wypowiedzieć tylko we własnym języku”, jak napisał do Ruth Kraft (s. 133). Ten własny język to jest język niemiecki. Dalej Anna Arno cytuje list Celana do redaktora szwajcarskiego dziennika „Die Tat”: „muszę Panu powiedzieć, jak trudno jest, będąc Żydem, tworzyć poezję po niemiecku” (s. 133). Emigranci o tym wiedzą, że nie łatwo pisać o krajobrazach i ludziach dla czytelników, którzy są oddaleni od miejsca, w którym poeta się urodził setki kilometrów, i wiele granic państwowych.

### Celan – emigrant

Z Bukaresztu uciekł poprzez Budapeszt do Wiednia, poprzez zieloną granicę w 1947 roku (s. 135). W stolicy Austrii zatrzymuje się na kilka miesięcy i już czytelnikowi jego biografii mogłoby się wydawać, że poeta znalazł się w przyjaznym środowisku w miejscu, gdzie mógłby swobodnie mówić i pisać po niemiecku. On jednak wybiera Paryż i Francję, czyli obszar innego języka i kultury, która jest zdecydowanie bardziej mu obca niż niemiecka. Nie wybrał też Niemiec, bo nie widział siebie tam jako Żyda piszącego po niemiecku. W dodatku był cierpiącym emigrantem, który przeżył, gdy wielu jego bliskich nie miało tyle szczęścia.

Poeta-emigrant przekracza granice wielu państw, poznaje wielu ludzi, ale zawsze trzyma pióro w ręku i pisze. Wyidealizowany Paryż, jak się dowiemy z dalszych stron biografii, też nie spełnił jego oczekiwań. Po raz kolejny skazał się na bezpaństwowca i na tułacza, bo przecież w walizce poza wierszami i książkami miał niewiele więcej. W Paryżu staje się po raz kolejny emigrantem i wygnańcem, jak tysiące przed nim i po nim, praktycznie zaczyna od zera. Dlaczego wybrał Paryż? Przecież to szaleństwo, które może być dowodem na to, że w tym szaleństwie jest metoda, jako forma protestu, niepodległości się z rzeczywistością, jako odmowa zamieszkania w kraju/krajach języka jego poezji. Wykonał ruch, w którym w radykalny sposób wyraził swój



wstręt/niechęć do rzeczywistości po II wojnie światowej, a przede wszystkim do Niemiec i Niemców. Protestuje jego pięć zmysłów, rodzi się nieufność i lęk, poeta wybierając swój los w Paryżu świadomie wybiera szaleństwo. (Podobne uczucie miał Czesław Miłosz, gdy wybrał wolność, też w Paryżu). Z czasem dotarło do niego to, co wszyscy piszący wiedzą od pierwszego wiersza, że „trudno jest być poetą pośród żywiołu obcego języka, bez zakotwiczenia w środowisku czytelników” (s. 381). Dalej snuł swoją myśl dodając: „Wy jesteście u siebie, w swoim języku, z własnymi punktami odniesienia, macie swoje książki, bliskie wam dzieła” (s. 381). Jest to prawda tak oczywista i tak gorzka, że nie trzeba więcej o tym pisać, tym bardziej, że właściwie wszyscy poeci-emigranci dokładnie czuli to samo i pisali to samo, łącznie z Norwidem i Miłoszem.

Takie banały dnia codziennego, jak staranie się o pracę, o dach nad głową, o jakieś dokumenty potwierdzające tożsamość, o adaptację w nowych warunkach... poza tym jest poetą, który, jak każdy poeta, czuje się niedoceniony, nieodkryty, a w szczególności, gdy jest się poetą piszącym w obcym języku i nie ma obok drugiego poety, któremu można by przeczytać najnowszy wiersz, bo nie znają języka, w którym on został napisany i z przymrużeniem oka wierzą, że jest to wiersz genialny. Poeta-emigrant uwięziony w szklanej klatce własnych wierszy i myśli, marzący o wielkiej sławie i pieniądzach, którego jedyną towarzyszką jest samotność. W liście do Maxa Rychnera, wiosną 1949 roku, napisał, że czuje się „bardzo samotny i bezradny w środku wspaniałego miasta, gdzie nie mam niczego oprócz liści platanów”

(s. 203). Uczucie to jest znane milionom emigrantów, nic nowego pod słońcem. Dorywcza praca, mało płatna, niedojądanie, całe szczęście w tym, że potrafił mówić i pisać w kilku językach, które wykorzystał jako narzędzia do pracy, żmudnej i ciężkiej, ale zawsze pracy, za którą będzie miał zapłacone.

#### **Poezja i twórczość, życie i przeżywanie**

Za kilka tygodni, gdy piszę te słowa, będzie równe pół wieku od jego samobójczej śmierci, która uwolniła go od cierpienia, które – jak mawiali starożytni Rzymianie – uszlachetnia, ale czy cierpienie uszlachetniło emigranta/poetę Paula Celana? A jeśli tak, to na ile go uszlachetniło? Tego nie potrafię w tej chwili powiedzieć, bo wiem, że emigranci poprzez cierpienie gorzknieją, nękają ich choroby i to, co dzieje się we wnętrzu duszy emigranta, w jego wnętrzu, w jego systemie nerwowym, ma kolosalne znaczenie dla jego samopoczucia, a więc również dla odbioru tego wszystkiego, co się dzieje wokół niego, czyli ludzi i świata. Długoletnie cierpienie duszy nie czyni człowieka ani miłszym, ani uprzejmiejszym dla otoczenia.

Próba zrozumienia i wglębnienia się w poezję Celana, trudną i hermetyczną, nowatorską i bardzo piękną, mroczną w swojej ukrytej głębi, tak ciemną, że przy jej analizowaniu można nawet zęby połamać. Dla przeciętnego miłośnika poezji Celan i jego twórczość sprawiają niemały kłopot, bo poezja poety z Czerniowców może być dla nich antypoezją lub – nawet mogą powiedzieć – że to żadna poezja, bełkot chorego człowieka. Wszystko to sprawia, że lektura książki nie jest łatwa, chociaż jej klimat wielu krajów i miast jest czarujący.

Celan nie był „świętym”, ale też nie mógł uzalać się na brak uznania dla swojej twórczości. O tym jest też książka Arno, a można ją podzielić na kilka części: Paul Celan, jako poeta przeklęty (za takiego się sam uważał, s. 481); jako tłumacz z kilku języków; jako Żyd, który mocno okaleczony na duszy, ocalił życie z zagłady; jako emigrant szukający szczęścia pod francuskim niebem. Poeta przez cały czas pamięta, że język jego matki jej też językiem jej morderców. Celan – jak pisze Arno – pozostał mu wierny i bardzo go przekształcił (s. 298). Jednak co dzień posługiwał się językiem francuskim, z żoną, kobietą, która przygarnęła tułacza emigranta. To dzięki niej żył w uporządkowanym rytmie, a nawet mieszczańskiej wygodzie (s. 267).

Arno opisuje człowieka i poetę, uciekiniera i emigranta od chwili jego narodzin aż do samobójczej śmierci. Biografia nie jest napisana chronologicznie, autorka w dowolnym jej punkcie, według potrzeb i chwili, czy własnego uznania, pisze o artyście skupionym przede wszystkim na sobie samym, kochanku, który jest zdolny nawet zażądać zwrotu pierścionka od byłej kochanki (s. 173), a także rzucić się z nożem na własną żonę, która dla niego zrobiła właściwie wszystko.

Jednym z najpiękniejszych rozdziałów tej książki jest *Paolo i Francesca*, w nim Arno odkrywa kopalnię uczuć Celana do żony, a także do jego kochanek, jedną z nich jest poetka Ingeborg Bachmann. W tym fragmencie, napisanym bardzo lirycznie, dowiemy się o narodzinach dwóch synów poetów (pierwszy, Franciszek, umrze zaraz po narodzeniu). Jest to rozdział o mężu kochającym ponad życie żonę w „poetycki sposób”, czyli narażając



ją na przeżywanie dramatów zdrad i zarzutów, że nie rozumie jego i jego poezji. Ona, aby lepiej go zrozumieć, wczytuje się w jego poezję powstałą zanim jeszcze byli razem, krok po kroku odkrywa dawne miłości, które niekoniecznie zostały definitywnie zakończone. Jest dla niego aniołem, rozumiejącym, tolerującym jego kochanki i skoki w bok, a także chorobę psychiczną. Jest to huśtawka emocjonalna, na której żona czuje się winna wobec poety, oskarża się o cierpienia kochanki (Ingeborg Bachmann). Jest tak bardzo kochającą żoną, że pisze do kochanki; „Od tego wieczoru wydaje mi się, że znam Panią trochę lepiej. Rozumiem, ile musiały Pani wycierpieć przez tych sześć lat” (s. 190). Te sześć lat to czas małżeństwa poety z francuską arystokratką i malarką Lestrangle Gisele (z katolickiej rodziny). Matka i siostry widziały w Paulu jeden wielki problem: mężczyzna bez pracy, bez stałego zajęcia, bez dokumentów, przybysz z zupełnie innego świata, o którym one tak naprawdę nie miały większego pojęcia, tym bardziej, że był Żydem, a Żydów nie darzyły sympatią.

Ingeborg prosi swojego kochanka, aby nie porzucił żony; „Ale proszę, nie porzuć jej. Czy mam to uzasadnić?” (s. 190). Uzasadnić nie trzeba, wystarczy zacytować: „trudno kochać poetę, wspianego poetę. Czuję się niegodna Twojego życia, Twojej poezji, Twojej miłości – i już prawie nic dla mnie nie istnieje poza Tobą” (s. 233). Jednym krótkim zdaniem można powiedzieć, że pomiędzy kochankami wybuchł wulkan uczuć, spadła na nich lawina pocałunków i morze miłości. Dla Celana jego poezja była częścią życia osobistego, on nie potrafił oddzielić jednego od drugiego.

### Przekleństwo Claire Goll

Jesienią tego roku poznał swoje największe nieszczęście od zakończenia wojny, ale o tym jeszcze wtedy nie wiedział, małżeństwo Yvana i Claire Gollów. Poznał go z nimi przyjaciel Yves Bonnefoy. Na początku znajomości następuje wzajemna fascynacja do tego stopnia, że starszy poeta Goll zaproponował młodszemu, że go zaadaptuje jako syna, aby mu pomóc w stawianiu pierwszych kroków we Francji. Kilka miesięcy od pierwszego spotkania, w lutym 1950 roku umiera Goll, a w swoim testamentie wyznacza młodemu poetę na swojego jedyne go opiekuna jego spuścizny. W niecałe dwa lata później następuje niesamowity zwrot w przyjaźni z wdową, starszą do Celana o trzydzieści lat, która z bliżej nieznanymi powodami oskarża Celana o wszystko co najgorsze, łącznie z tym, że młody poeta plagiatował twórczość jej męża. Oskarżenie to, i wiele innych, z czasem załamują Celana tak bardzo, że słaby psychicznie poeta pada w depresję i przygnębienie, które

kilkanaście lat później może być przyczyną jego samobójczej śmierci. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że małżeństwo Gollów było Żydami, tak samo jak Celan, więc nie możemy posądzać ich o antysemityzm. Wdowa „na wszystkich frontach literacko-poetyckich” próbuje niszczyć wciąż młodego poetę (s. 391). Z zawziętością zawiedzionej zwariowanej kochanki, zdradzonej kobiety, pisze do redaktorów gazet, wydawnictw, krytyków literackich, zaprzyjaźnionych z nią poetów o plagiacie Celana, szydzi z niego i pomniejsza jego twórczość. Co gorsza, ta kobieta, która gdy była – jak podają różne źródła – zaręczona w 1917 roku z Gollem, nawiązała rok później romans z innym poetą, Rainerem Marią Rilke, i była jego kochanką aż do jego śmierci w 1926 roku. Za Gollę wyszła za mąż w 1921 roku. Czy faktycznie Paul Celan odrzucił miłość Clarie Goll, a ta za tę „zniewagę” tak okrutnie na nim się zemściła, tego nigdy się nie dowiemy. Ta kobieta, która by muchy nie zabiła, okazała się osobą bardzo okrutną, w najdrobniejszych szczegółach planowała swoją zemstę nie tylko na poecie, ale i człowieku.

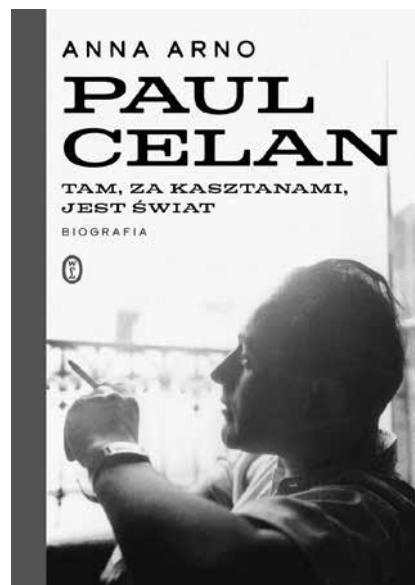
Prześladowni poety z Bukowiny przeżyła go o siedem lat, umarła w 1977 roku i nawet po samobójczej śmierci Celana wciąż „wytaczała przeciwko jemu ogromne działa nienawiści”. Nie tylko nie wycofała swoich oskarżeń, ale jeszcze je ponowiła i podkreśliła w swoich pośmiertnych wspomnieniach: „Ich verziehe keinem” („Nie wybaczam nikomu”). Czy ta kobieta spowodowała, że Celan jeszcze bardziej popadł w chorobę psychiczną, tracił swoje siły życiowe, że jej insynuacje zabrały mu radość życia, zburzyły spokój wewnętrzny? Przez osiemnaście lat autor *Fugi* walczył z cieniem Golla, przez osiemnaście lat walczył z wiatrakami Clarie, które w pewnym momencie uznał nawet za spisek przeciwko niemu. Nie ma wątpliwości, że ataki tej kobiety były przyczyną jego depresji, jego lęków. Z powodu jej ataków stawał się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej bezbronny, udręka była przyczyną, że odsuwał się od świata, zamykał w sobie, zamykał się lub go zamykano w szpitalach psychiatrycznych. Jego chorobliwa wrażliwość i skłonności do depresji nie mogły znieść ciężaru oskarżeń.

Życie w ciągłym stresie spowodowało szybszy proces starzenia się i wewnętrzną gorycz, która zatruwała życie, łącznie z rozpadem rodziny i rozstanie z żoną. Czy medycyna, terapia, lekarze psychiatrzy byli w stanie mu pomóc na tyle, aby zobaczył na niebie słońce? Przecież jego drzewo życia wydawało piękne owoce, mógł z nich korzystać do woli, jako emigrantowi udało mu się, poślubił kobietę, która kochała go nad życie, z czasem rodzina żony zaakceptowała go, był ojcem. Był wzorem sukcesu dla emigran-

tów z każdego kąta świata, o takim życiu, jak jego, wielu marzyło, zazdrościło, bardzo by chciało mieć. Dlaczego na drzewie życia, ucinął gałąź, na której siedział? Dlaczego tak bardzo przejął się oskarżeniami Goll, przecież był laureatem wielu międzynarodowych nagród poetyckich, uczył literatury na najlepszych uczelniach Francji, miał spotkania z czytelnikami, na których przedstawiono go jako jednego z najwybitniejszych poetów języka niemieckiego.

Można się zastanowić, czy Clarie Goll była tą osobą, która skierowała kroki poety z Czerniowców pod most Mirabeau, czy tylko jedną z wielu jego manii prześladowczych, które pchnęły go do desperackiego gestu jak skok do Sekwany w nocy z 19 na 20 kwietnia 1970 roku (s. 530). A może, gdy bliżej przyjrzymy się wierszom poety, zauważymy, że przygotowywał się do śmierci od dawna. Jeśli powiemy, że jego życie było przygotowywaniem się do skoku do wody, to będzie prawda czy fałsz? Czy w pewnym momencie Celan zdał sobie sprawę z tego, że jest bezsilny wobec rzeczywistości, że go przerosła? Szaleństwem jest to, że emigrant, czyli człowiek nikąd, pragnie spokoju duszy, sukcesu i uznania oraz słodczy życia, gdy faktycznie jest targany przez rzymskie siostry Furie. Tego już nigdy się nie dowiemy, tajemnicę swojego istnienia bólu i lęków, radości i szczęścia zabrał ze sobą. Nieuleczalny wirus śmierci najpierw pozbawił go radości, a następnie zabrał mu życie, tak kończą emigranci, którzy mieli marzenia o tym, aby na nowej ziemi zapaść korzenie i pić z niej życiodajne soki. ■

**Anna Arno, Paul Celan. Tam, za kasztanami, jest świat. Biografia, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021, s. 672.**





# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Listy ze Śląska

Niedawno, i to wskutek koniecznego poszukiwania fotografii mojej babci po kądzieli Marii fotografii z 1920 roku, natrafiłem też na pudełko z innymi zdjęciami. Tyimi najstarszymi, z lat międzywojnia, a więc z katowickich Piotrowic, Piekar Śląskich, Chorzowa, ale i przykładowo z Wisły, Krakowa, czy Lwowa. I było też to ostatnie, przedwojenne, konkretnie z września 1939 roku, Konkretnie z Buska Zdroju; oczywiście niż tam pojawił się niemiecki desant. Ale natrafiłem też na dawne listy rodziny, przyjaciół, znajomych, wreszcie kopie listów wysyłanych do niektórych osób. W tym te do syna, żołnierza Andersa pisane do Anglii. Wtedy uświadomiłem sobie, że piękny zwyczaj pisania listów dziś dramatycznie się zakończył, bezgłośnie obumarł. Obecnie wystarczą większości z nas krótkie, niekiedy nawet standardowe smsy. A przecież sztuka epistolograficzna zawsze określała specyfikę epoki, naszej kultury, naszych międzyludzkich relacji. Listy prezentowały nasze przeżycia, doświadczenia, bolączki, radości, ale i myśli, opinie, czy poglądy.

Powróćmy do tej tradycji, zachowujmy też wszelkie rodzinne pamiątki. Określają przecież naszą tożsamość. Warto też sięgnąć do publikacji zwierających dawne listy osób znanych i nieznanymi. Owe wydawnictwa są przecież nader interesujące; niezwykle dokumenty przeszłości. Interesujące są także listy pochodzące z terenu Śląska, zarówno Górnego, jak i Dolnego, czyli owej, jak powiadano w dobie oświecenia „najstarszej oderwy od Korony”. Zerknijmy do nich wybiórczo, przykładowo tych z lipca sprzed 200 lat; i więcej, i mniej. W owym znacym gronie podróżujących po naszej ziemi i piszących stąd listy byli przykładowo: Kazimierz Brodziński, Izabela Czartoryska, Zygmunt Krasiński, Józef Ignacy Kraszewski. Ale i inni, których tu przy-

wołamy. Niekiedy z precyzją podawali datę dzienną swojego pobytu w danej miejscowości. A bywało, że i porę dnia, a nawet godzinę. Owe relacje nasycone są emocjami, przeżyciami i przemysleniami, często – uwagami patriotycznymi. Autorzy listów dokonują też porównania z innymi ziemiami polskimi. Owe listy przede wszystkim dotyczą Dolnego Śląska, lecz są i te dotyczące Górnego, także jego części przemysłowej. Spróbujmy zatem – jako że pora letnia, lipcowa – przywołać te dotyczące właśnie aktualnego miesiąca. I z tego okresu, z 1784 roku, pochodzi przykładowo list Stanisława Poniatowskiego, bratanka ostatniego polskiego króla, ale i marszałka Rady Nieustającej. Od 12 do 15 lipca przebywał na terenie Wałbrzycha, ale już niedługo później był w górnośląskim Raciborzu. Tu zachwycały go „wielkie fabryki sukienne”. Pisze: „Wszystkie w tej części Śląska są mizerne, miasto Racibórz jest nieco okazalsze, ale przemysłu daleko więcej niżli w Śląsku cesarskim...”. Natomiast Tadeusz Wasilewski znany z tego, że był wicemarszałkiem Stanu królestwa Galicji i Lodomerii także w lipcu, ale 1820 roku kategorycznie pisał: „Śląsk utwierdzi we mnie dawne przekonanie, że daremne są usiłowania tych, którzy chcą narodowi jakiemu bądź odjąć jego narodowość, a osobliwie mowę”. I dodaje, że mimo istotnych zmian lud tutejszy „język zachował”. O tym samym dwadzieścia lat później, czyli w 1840 roku, także w okresie letnim pisał słynny rosyjski sławista Izmail Srezniewski. Z kolei Franciszek Anielewski, polemizując z nacjonalistycznymi niemieckimi poglądami, pisał w 1842 roku o mowie polskiej na Śląsku. Stwierdził: „Począwszy od Opola szedłem traktem na Strzelec, Toszek, Pyskowice, Gliwice, Królewską Hutę, Bytom (...), Lubliniec, Dobrodzień, Ozimek; na powrót przez Opól do Brzegu (...). Wymowa ludu po wsiach wyraźna, lecz zgrubia-

ła, podobnie jak w Księstwie...” (czyli Wielkim Księstwie Poznańskim – przyp. MGG). Natomiast o ośrodkach miejskich notuje: „Po miastach już język mieszany; klasa niższa, wyjąwszy przychodniów, mówi wyłącznie po polsku, a lubo rozumie po niemiecku...”. A list swój kończy: „Bronić i miłować nad życie co swojego; szanować i nie pognębiać co cudzego – jest to świętą powinnością tak każdego człowieka, jak i każdego narodu, który do moralnego poznania siebie i swego przeznaczenia doszedł”. Przyznajmy. Myśl dowodząca poszanowania tego, co swoje, i akceptująca inność, aktualna i ważna do dziś. Myśl uniwersalna sformułowana zaś na konkretnym przykładzie śląskim. Natomiast sławny Wincenty Pol, poeta i geograf, nadto za zasługi w powstaniu listopadowym kawaler Orderu Virtuti Militari peregrynował po Śląsku w 1847 roku. W swych listach pisze także o przemysłowej części Śląska. Zauważa że, „Okolice Gliwic i Królewskiej Huty należą na Śląsku do najbardziej ożywionych przemysłem. Gdzie tylko okiem rzucisz wnoszą się po polach samotne domy fabryczne, kuźnie i warsztaty, i wysokie kominy parowych maszyn i długie koszary robotników...”. Z kolei poeta Juliusz Słowacki w liście z 8 lipca 1848 roku po kilkutygodniowym pobycie żegna intrygujący go Wrocław – tak, jak i kilkanaście lat wcześniej emigrant Chopin – i z przerażeniem pisze do matki, iż od niej się oddala jadąc do Paryża. A przykładowo Władysław Syrokomla, zwany często „lirnikiem wioskowym” w zapomnianym wierszu „Wrażenia pielgrzyma po swojej ziemi” z 1858 roku pisał:

„Tutaj Śląsk, starych Piastów odwieczna dziedzina (...),

Dopóki żyje Chrystus, nie zginącej tej mowie,

Nie zginie, kto go w mowie proaiców wysławia”.

## Sarna i tygrys

Sarna powiedziała, że tygrys jest krwio pijcą, więc oddano ją pod sąd i oskarżono o to, że swoim szybkim biegiem wzniecała wiatr, który zdmuchiwał z liści biedronki.

– Nikomu nie pozwolimy krzywdzić naszych biedronek! – grzmiał wilk-prokurator.

## Lew liberal

Zająca oskarżono o to, że przebiegł leśną ścieżkę w niedozwolonym miejscu. Sąd zwierzęcy wydał następujący wyrok: „Zająca zabić, obedrzeć ze skóry i upiec”. Zając złożył apelację. Lew liberal wykreślił z wyroku nikczemne słowo „zabić”, po czym zająca żywcem obdarło ze skóry i upieczono.

## Do wieczora

Jakiś owadzi zwierchnik pewnego pięknego dnia zabronił latać motyłom jednodniówkom. Wzburzyło to skrzydlaty naród. Zabraniać latać? Jeszcze czego! Wieczorem zakaz został uchylony. I wszyscy się ucieszyli. Dopięli swego. Motyłom jednodniówkom jednak to nie pomogło. W chwili, kiedy zniesiono zakaz, ich czas się skończył.

## Dobra gęś

Pewnym ptasim królestwem rządziła gęś. To była bardzo zła gęś. Szczególnie krzywdziła łabędzie. Rozkazała bezlitośnie je tępic za to, że miały za bardzo wygięte szyje.

– Co to za szyje wykrętasy – syczała. – Odkręcić je!

Lecz nastały nowe czasy i zła gęś zastąpiła gęś dobra.

– Dobra gęś! – mówiono o niej. – Wcale nie myśli odkręcać szyi łabędziom. Ona rozkazała je cierpliwie prostować. Tylko tyle.

## Skóra

Lew chciał rozszarpać hienę, ponieważ spodobała mu się jej skóra. Umyślił sobie, że ją rozłoży przed wejściem do jaskini.

– Och, po cóż masz się trudzić – zatrzymała władcę niedoszła ofiara – przecież i tak możesz wycierać o mnie nogi.

## Stary żubr

Zając przybiegł do starego żubra.

– Ratuj mnie, jestem zgubiony! Lisica wywęszyła moją norkę. Wróć do domu – złapie mnie. Zostanę na noc w lesie – zagryzą mnie wilki. Co robić? Już się ściemnia, a ja nie mam gdzie przenoćować...

– Przyjdź jutro – odpowiedział stary żubr. – Na pewno coś wspólnie wymyślimy.

## Recenzja wiosny

Jedna z pierwszych recenzji jednej z pierwszych wiosen, napisana przez jednego z pierwszych krytyków, była negatywna. Nijako, wilgotnie, galimatias, chwiejnie. A mimo to wiosna nie przestaje się pojawiać i pojawia się wciąż z wielkim sukcesem.

## Serce w klatce

Był czas, kiedy ludzkie serce hasało na wolności. Lecz zawiñiło i zamknęli je do klatki – piersiowej.

Co było jego winą? Ano to, że wszystkim pomagało w biedzie. Cóż w tym złego – zapytacie. Ano to, że wam, dajmy na to, pomogło, ale wsi wrogowie nie chcieli, żeby wam pomagać – i są obrażeni.

Tak więc zebrali się tacy obrażeni, złapali serce i zamknęli do klatki – piersiowej.

Lecz chociaż jest odtąd pozbawione wolności, to wciąż znajduje sposób, żeby pomagać ludziom.

Dlatego jest sercem!

## Podarunek

Pewnego razu usłyszała go, jak w niej płacze.

– Podaruj mi życie. Och, proszę cię, podaruj!

I z radością podarowała mu życie.

Kiedy pojawił się na świecie, ponownie zapłakał:

– Zatrósz się o mnie, zanim dorosnę i okrzepnę.

I znów z radością obdarowała go czułą troską i miłością. Na całe życie.

Kiedy dorósł i okrzepł, pewnego dnia się pokłócili.

I chcąc zadać jej ból, najboleśniej, oddał jej podarunek z dnia narodzin.

– Nie chcę od ciebie żadnych podarunków! – powiedział.

## Na pustyni

Wiatr na pustyni komenderuje piaskami. Manewruje dzień i noc. Wznosi wzgórze i zaraz je burzy, namiata ogromne kopce, kopie głębokie bruzdy, ryje dziwaczne kanały, zasypuje je, żeby wszystko zacząć od nowa.

Piaski łatwo się poddają, pozwalają z sobą robić wszystko, co tylko się podoba. Pojedyncze ziarenko piasku jest słabe i nic nie znaczy. Dlatego poruszają się razem i ślepo podporządkowują wiatrowi. Każdemu wiatrowi z każdej strony.

Z powodu posłuszeństwa piasków wiatr wścieka się, podnosi piaskową burzę, szarpie i zacina. Lecz piaskom to jest obojętne. Składają się z małych ziarenek, które nie mają nic do stracenia.

Piaski płyną bezustannie, jak czas. Są kurzem czasu – czasu bez odliczania. Zatrzymać piaski mogą tylko drzewa, lasy – to, co zapuszcza głębokie korzenie. I wtedy zaczyna się odliczanie czasu: od korzeni w górę, do pni i wierzchołków.

Drzewa mają swój wiek. A piaski nie mają wieku. Piaski nie mają oblicza i w tym jest ich moc. Ślepa moc, którą komenderuje wiatr. Wiatr, który także jest ślepy i bez swojego oblicza.

## Pomarańcze i cytryny

Na początku były tylko pomarańcze. Cytryny nie było. Drzewa pomarańczowe cieszyły się słońcem. Lecz były i takie drzewa, które nie lubiły słońca i chowały przed nim swoje owoce w gęstym listowiu.

Pomarańcze rosnące w cieniu z czasem pobladły i stały się kwaśne. Zaczęto je nazywać cytrynami.

## Król i kwiat

Król pochylił się, żeby powąchać kwiat i z głowy spadła mu korona.

Wtedy rozkazał pozbawić życia wszystkich swoich dworzan, którzy byli świadkami jego hańby.

Potem rozkazał, by zgładzono lud, który dowiedział się, że król stracił swoich dworzan.

Potem pochylił się i, przytrzymując koronę, powąchał kwiat.

## Uczona mysz

Lubiła książki i ciszę, jak każdy uczony. A w bibliotece było cicho i mnóstwo książek. Wśród ciągnących się wzdłuż ścian i do sufitu półek, wypełnionych tomami, wydawała się prawie pozbawiona ciała. Dzień i noc wgryzała się w pokłady wiedzy. Była w tym niezmordowana.

Lecz pewnego razu jej samotność została zakłócona. W bibliotece zaczął się bowiem pojawiać człowiek z zyletką w ręce. Wcisnąwszy głowę w ramiona, kartkował książki i tu i tam wycinał jakieś nazwiska, jakieś fotografie.

Z początku mysz bała się intruza, ale potem do niego przywykła. Nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Ostatecznie oboje wykonywali tę samą pracę. Byli nie myszką i człowiekiem, ale myszą i człowieczkiem, ponieważ z czasem ona przekształ-



ciła się w zdrową mysz, a człowiek, choć ta jego praca dawała mu zarobek, podupał i przekszttałcił się w człowieczka.

Być może gryzło go sumienie?  
Skąd to wiedzieć!

\* W bibliotekach radzieckich co jakiś czas wycinano z książek, antologii, encyklopedii, podręczników, czasopism i gazet fotografie, nazwiska i prace autorów, którzy popadli w niełaskę władzy (przyp. tłum.).

### **Żeby nie przespać**

– Dlaczego piejesz wczesnym rankiem, a nie przed zmierzchem – zapytano pewnego razu koguta.

– Dlatego, że każdy sam widzi nadejście ciemności, a świt można łatwo przespać – odpowiedział kogut.

### **Borsuk i nora**

Pewnego razu borsuk, rozgrzebując w lesie chrust, znalazł opuszczoną norę. Postanowił wprowadzić się do niej, lecz nora nie chciała go wpuścić i powiedziała:

– Po co tu włączysz? Tutaj jest pusto, ciemno i zimno.

Lecz borsuk odgrzebał przy wejściu suche gałązki i powiedział:

– Teraz już nie jest ciemno.

Potem wlaź do nory i powiedział:

– Teraz już nie jest pusto.

I, poleżawszy chwilę, dodał:

– I wcale nie jest zimno.

### **Rybak dziwak**

– Rybaku, rybaku dlaczegoś ryby nie złowił?

– Przecież ją złowiłem, ale ona jak na mnie nie krzyknie, więc ją wypuściłem z powrotem do rzeki.

– Ryba krzyczeć nie może, nie ma przecież głosu. – Rybaku, rybaku dlaczegoś ryby nie złowił?

– Przecież ją złowiłem, ale ona mi pogroziła palcem, więc ją wypuściłem z powrotem do rzeki.

– Nieprawda, ryba nie może grozić palcem, przecież nie ma rąk. – Rybaku, rybaku dlaczegoś ryby nie złowił?

– Przecież ją złowiłem, ale ona na mnie zatupała nogami, więc ją wypuściłem z powrotem do rzeki.

– Znowu kręcisz, ryba nie może tupać nogami, przecież nie ma nóg. – Rybaku, rybaku dlaczegoś ryby nie złowił?

– Przecież ją złowiłem, ale jak zobaczyłem, że nie ma ani rąk, ani nóg, ani nie mówi, to ją z wypuściłem z powrotem do rzeki.

### **Skrzydła**

Dwaj chłopcy pochylili się nad gałązką krzaka i uważnie przyglądali się biedronce. A ona zamachała skrzydełkami i odleciała.

– Ech, żeby tak mieć skrzydła – westchnął jeden z chłopców.

– I ja bym chciał mieć skrzydła – powiedział drugi. – Poleciałbym wtedy do fabryki cukierków, która jest na przedmieściach. Ależ bym się tam najadł słodyczy! A ty?

– Ja – powiedział pierwszy chłopiec – chciałbym polecieć wysoko, wysoko ponad chmury.

I jak to często bywa w bajkach, pragnienie obu chłopców zaraz się spełniło. Boża krówka nie była zwyczajną bożą krówką, ale czarodziejską. Odlatując, usłyszała rozmowę dwóch małych i zrobiła tak, że od razu wyrosły im skrzydła.

Ale cóż – ten, który marzył o słodyczach, stał się muchą, a ten, który chciał dosięgnąć słońca, stał się ptakiem.

Są bowiem różne skrzydła.

### **Nie ma innego języka**

Lew powiedział:

– Król zwierząt powinien znać język każdej istoty, żyjącej w jego lasach. Nawet najmniejszej. Jaki dźwięk wydaje, na przykład, komar? Niech mi dzisiaj do wieczora o tym zameldują!

Poszedł niedźwiedź z rozkazem lwa do wilka, wilk do żaby, żaba do komara.

– Jaki dźwięk wydajesz, komarze? – zapytała żaba. – Sam lew o to pyta.

– „Zzz” – cieniuteńko zadźwięczał komar.

– No, jaki dźwięk wydaje komar? – zapytał wilk żaby.

– „Kum-kum-kum” – odpowiedziała żabka.

– Jak mówi komar? – zapytał niedźwiedź wilka.

– „Uuu!” – zawył wilk. – Tak mówi.

Poszedł misiek do lwa. Na progu lwiej jaskini spotkała go lwica.

– Lew teraz odpoczywa – powiedziała. – Co mu przekazać?

– Proszę przekazać – powiedział niedźwiedź – że spełniłem jego rozkaz i dowiedziałem się, jaki dźwięk wydaje komar. Komar mówi tak: „Buu!” – I niedźwiedź zaryczał.

Poszła lwica do lwa i powiedziała:

– Przybył Misiek Dreptacz i oznajmił, że komary tak mówią: „Rrr!” – Głos lwicy rozdarł ciszę jaskini.

– Widzisz, moja droga – ucieszył się lew – najmniejsze istoty w lesie, komary, a i one rozmawiają w moim języku. Dlatego, że innego języka nie ma i być nie może, ot, co ci powiem!

I, przewróciwszy się na drugi bok, zachrapał.

### **Ogórek i kapusta**

Pewnego razu główka kapusty i ogórek poszli się kąpać nad rzekę. Ogórek od razu rzucił się do wody. A główka kapusty zaczęła się na brzegu rozbierać i rozbierała się do samego wieczora. Ogórek oczekiwał na nią w wodzie i od zimna cały pokrył się pryszczkami.

### **Dwie mrówki**

Dwie mrówki pelzły obok siebie po arbuzie.

– U mnie jest lato, wszystko wkoło jest zielone – powiedziała jedna mrówka.

– A ja nie wiem, lato czy zima, dlatego że u mnie noc, wszystko wkoło jest czarne – powiedziała druga.

I dalej pelzły – jedna po zielonym, druga po czarnym pasku arbuza.

### **Ni-To-Ni-Sio**

Ni-To-Ni-Sio wybrało się na spacer. Idzie sobie lasem, widzi po trawie rozrzucone słoneczne zajączki. Podniosło Ni-To-Ni-Sio te zajączki i nalepiło na siebie.

Idzie dalej. A leśny ludek się dziwi.

Jeden mówi:

– Popatrzcie, żyrafa do nas zawitała.

Inni mówią:

– Jaka tam żyrafa! Żyrafa ma długą szyję. A to tutaj – ni to, ni sio.

Idzie sobie lasem Ni-To-Ni-Sio, spaceruje. Widzi drzewko z cudacznymi gałązkami. Wzięło Ni-To-Ni-Sio dwie gałązki i przyczepiło do głowy.

Idzie dalej. A leśny ludek się dziwi.

Jeden mówi:

– Patrzcie, jeleń do nas zawitał!

Inni mówią:

– Jaki tam jeleń. Jeleń ma smukłe nogi, a to tutaj – ni to, ni sio.

Idzie sobie lasem Ni-To-Ni-Sio, rozgląda się na wszystkie strony. Widzi, że wśród zieleni lśnią szmaragdowe listki. Zerwało Ni-To-Ni-Sio dwa takie listki i nalepiło sobie na oczy.

Idzie dalej. A leśny ludek się dziwi.

Jeden mówi:

– Patrzcie, tygrys do nas zawitał!

Inni mówią:

– Jaki tam tygrys! Tygrys ma pręgowaną skórę. A to tutaj – ni to, ni sio.

Usiadło Ni-To-Ni-Sio na pieńku i sobie siedzi.

Pytają je:

– Smutno ci?

– Nie – odpowiedziało.

Pytają je:

– Wesoło ci?

- Nie.
- Więc co ci jest?
- Ni to, ni sio – odpowiedziało.

### Nagi komar

Kiedys komar nosił ubranko. Pewnego razu postanowił do- prowadzić je do porządku i poleciał do znajomego żuka.

Siedzi żuk na bzie i ma ze skrzydeł zdjętą pokrywę.

- Pożycz mi, żuku, proszę, twoją pokrywę, żebym mógł ubranko uprać – prosi komar.

- Z radością bym pożyczył, ale pokrywa moja jest potrza- skana, nie nadaje się do prania.

Żuk poruszał skrzydełkami i pokrywa rozpadła się na dwie połowy.

Poleciał komar do pająka:

- Pająku, pająku pożycz mi nitkę, żebym mógł ubranko zeszyć.

A pajak mu odpowiada:

- A masz igielkę? Najpierw zdobądź igielkę, a potem proś o nitkę.

Poleciał komar do jeża:

- Jeżu, języku daj mi, proszę, igielkę, żebym mógł ubran- ko zeszyć.

A jeż mu odpowiedział:

- Z radością dałbym, ale w mojej igielce nie ma oczka. Jak ty nitkę nawleciesz?

Komar latał i latał od jednego do drugiego, dopóki cał- kiem nie wytarło się na nim ubranko. A kiedy już się wytar- ło, zaczął latać nago.

Lecz jemu i nago nie jest źle – dlatego jest też komarem.

### Odbicie

- Mamusiu – spytała malutka zielona żabka, patrząc na siebie w wodzie, – kim jest ta śmieszna zielona istotka z wyłupiasty- mi oczkami, z rozkraczonymi łapkami i gębą od ucha do ucha?

- To jest twoje odbicie, córeczko – odpowiedziała matka żaba.

Niezadowolona żabka odwróciła się od wody i szybko za- częła skakać po trawie. Wkrótce znów zawołała swoją matkę:

- Popatrz, a to jest znowu moje odbicie w trawie, lecz takie cudowne. Nóżki wysmukłe, ciało piękne...

- To nie jest twoje odbicie, to konik polny – powiedziała stara żaba. – W trawie nic się nie odbija.

Żabka zrobiła minę, jakby nie usłyszała, znowu zwróciła się w stronę wody, a za nią i jej matka.

- No, a teraz widzisz w wodzie moje odbicie? – nie dawała za wygraną żabka. – Jakie jest ono wspaniałe: ciało srebrzy- ste, gibkie, przezroczyste wachlarzyki po bokach, a ogonek, jaki piękny mam ten ogonek.

- To nie jest twoje odbicie, to rybka pływa w wodzie – cierpli- wie objaśniła matka.

- Jak jest coś pięknego, to mówisz, że to nie ja – obraziła się żabka. – Ty, mamusiu, wcale mnie nie kochasz!

- Kocham i cieszę się, że jesteś podobna do mnie – zakum- kała wielka żaba.

A malutka spojrzała na nią i zalała się łzami.

### Kamień i strumyk

Oto oni – wielki kamień i malutki strumyk.

- Powiedz coś! – prosi kamień.

- Plum plum plum – mówi strumyk.

- No, proszę, jeszcze coś powiedz...

- Plum plum bul bul...

- A ja nic nie mogę wymyślić – wzdycha kamień, błyszcząc gładką powierzchnią.

Strumyk przybiega z daleka, wijącą się strużką z lekka mu- ska zorstki policzek kamienia i biegnie, biegnie dalej.

Kamień, przylgnął ogromnym szarym uchem do strumie- nia, słucha.

- Plask plask plusk.

Znów coś nowego!

### Robak i orzech

Zapukał robak w skorupkę orzecha.

- Hej, przyjacielu! Ciemno masz w swoim domu. Ani świa- ła, ani powietrza. Pozwól, wywiercę ci okienka.

Ocknęło się jąderko ze słodziutkiego snu i mówi:

- Dobrze, wywierć.

Włazł robak do orzecha i bardzo gorzko zrobiło się jąder- ku. A potem i mnie.

### Wiewiórka i sroka

Sroka uczepiła się wiewiórki:

- Powiedz, jak ty przechodzisz w powietrzu z jednego drze- wa na drugie? Przecież w powietrzu można tylko latać, a nie chodzić. A ty nie masz skrzydeł.

- Wiem, że nie mam – powiedziała wiewiórka. – Ale ja prze- chodzę po własnym ogonie, jak po moście.

- No właśnie! – uspokoiła się na chwilę głupia sroka, a po- tem znowu zaskrzeczała:

- Poczekaj, przecież ogon masz z tyłu, a nie z przodu. Jak- że więc możesz chodzić po nim, jak po moście? – dociekała.

- Wiem, że z tyłu – odpowiedziała wiewiórka. – Ale prze- cież chodzę po ogonie tylko wtedy, kiedy się wracam.

- No właśnie! – powiedziała sroka i zrozumiałwszy, że nicze- go więcej już od niej się nie dowie, poleciała dalej.

### Po deszczu

Słońce zaczęło nizać na swoje promienie kropłe deszczu. Pra- gnęło zrobić z nich korale. Lecz wszystkie kropłe – co do jed- nej – upadły na ziemię.

Wtedy słońce powiedziało:

- Obejdę się bez koralu. Mam przecież wstążki...

I rozwinęło nad ziemią tęczę.

### Nowe mieszkanie

Przyjechaliśmy do nowego mieszkania. Kiedy weszliśmy do pokoju, zadomowili się już w nim: pajaczek, łuska topoli i sło- neczny zajaczek.

Pajaczek – w kącie okna, łuska za szybą, między ramami, a słoneczny zajaczek na suficie.

Kiedy otworzyliśmy okno, łuska topoli wyleciała, pajaczek szybko opuścił się na swojej pajęczynie i uciekł po para- pecie do sadu, i tylko słoneczny zajaczek zamieszkał z nami na stałe.

### Dziwna pestka

Wszyscy chcieli się dowiedzieć, co jest napisane na wielkiej, jasnej pestce.

Żaba powiedziała:

- Wystarczy tylko oczy wybałuszyć i można przeczytać.

Gąsienica powiedziała:

- Wystarczy tylko podpełznąć i można przeczytać.

Konik polny powiedział:

- Wystarczy tylko podskoczyć i można przeczytać.

Wróbel powiedział:

- Z góry widać lepiej. Wystarczy wzlecieć nad pestkę i prze- czytać.

A pestka powiedziała:

- Po co czytać, kiedy nic nie jest napisane. Mam taki wzo- rek. Jestem pestką brzoskwini.

### Gwóźdź i ściana

Nie wiadomo po co w ścianie sterczał wielki gwóźdź. Każdy, kto przechodził obok, zahaczał o niego.

- Jaki ty jesteś niezgrabny – powiedziała kiedyś ściana – po- patrz, ja jestem równa i gładka, nikogo nie dotykam.

- Ty to ty, a ja, to ja! Ciebie tynkarze równali, wygładza- li, a mnie bili po głowie – odpowiedział gwóźdź i porwał na kimś rękaw od góry do dołu.

### Pierwsza lekcja

Sikorce wykluło się ptaszę. Było jeszcze mokre, z kawałat-

kiem skorupki na głowie, lecz już uznało się za dorosłe. I powiedziało:

– Chcę opuścić gniazdo.

– Co ty, co ty – spłoszyła się matka sikorka. – Na dworze pada deszcz.

– Nie ma żadnego deszczu – oznajmiło ptaszę, które jeszcze nigdy nie widziało deszczu, i zaczęło wychodzić.

A wtedy wielka kropla uderzyła je w miękki dziubek.

Malec stracił równowagę i poturlał się na samo dno gniazda.

– Co to? – spytał przestraszony, przytulając się do swojej mamusi.

– To pierwszy prztyczek w nos, jaki otrzymałeś – odpowiedziała sikorka.

### Stary jeź

W starym lesie, przy starym stawie żyje stary jeź. Wszystko umie zrobić: i żyć, i czyścić, i gładzić. Położy się plamkami na polance cień z liści – stary jeź przyniesie wodę ze stawu i czyści, czyści godzinę, dwie. Spojrzysz – a plamek już nie ma; cień przeniósł się na inne miejsce.

Pomnie wietrzyk jedwabistą trawę, stary jeź znów potupta: przytaszczy gładki, pojaśniały w słońcu kamyczek i gładzi nim trawę. Ledwie dotknie – i trawa już jest gładziutka; wietrzyk odleciał.

Porwie się na stawie rzęsa – stary jeź bierze sosnową igielkę, nawleka na nią długą pajęczą nitkę i zaczyna cerować. Jak skończy cerować, igielkę wetknie w swoją kamizelkę, a potem znaleźć nie może wśród swoich własnych igielek.

### Dobry słuch

– Jaki ty masz dobry słuch! Ktoś powinien nauczyć cię śpiewać! – powiedział pewnego razu słowik do zająca.

– Słuch to mi tylko przeszkadza – odpowiedział zając. – Kiedy usłyszę jakiś dźwięk, ze strachu tracę głos.

### Wiadro z wodą

Szła babcia w ogrodzie na ławce i zgubiła naparstek, ale podnieść go zapomniała, a potem poszła do domu.

Naparstek upadł w trawę denkiem do dołu. Wtedy zaczął mżyć deszczyk, ale taki malutki, że po tylu upalnych dniach wcale nikogo nie obmył, tylko lekko przysnął i szybciułko wsiąkł w suchą ziemię.

I nagle w trawie zabrzęczał trzmieł:

– Popatrzcie, jakieś wiadro z wodą!

Zebrały się wokół pełnego naparstka robaczki, karaluszki. Chrząszcz zaczerpnął długą trąbką wody i każdemu rozdał po półkropelce: pijcie, wody starczy dla wszystkich. Jedna trawka nawet głowę zanurzyła w naparstku:

– Och i ja się odświeżyłam. Jak dobrze!

A wybredna biedronka zatrzepotała skrzydełkami:

– Wybaczcie, czy to się godzi, żeby każdy wkładał głowę do wiadra?

Wtedy mądre mrówki pomyślały: nakryły naparstek listkiem – teraz woda nie wyschnie i nie zakurzy się.

Cały upalny dzień tłoczył się muszy ludek przy wiadrze z wodą. A w nocy zawiął silny wiatr z grzmotem i błyskawicami.

Wiatr przewrócił naparstek, woda, jaka w nim była, wyłała się, lecz już nikomu nie była potrzebna. Z nieba lały się gęste strumienie, gałązki na drzewach pokrzykiwały. Wiatr

wywracał liście to na jedną, to na drugą stronę, uderzał w nie potokami wody. Błyskawice, niczym ogromna zapalka, cały czas gwałtownie rozjaśniały niebo. Oświetlały na chwilę ogród, żeby zobaczyć, czy już wszystko dobrze zostało umyte, i gasły.

Nazajutrz do ogrodu przyszła babcia, a pod ławką leży naparstek. Błyszczą się w słońcu, prosi się na palec, ponieważ wiadrem z wodą nigdy nie był.

### Potoczek

Płynął potok daleko, daleko. Przez gaj, przez łączkę, przez wieś i jeszcze gdzieś. Płynął przez gaj – brzozy się w nim przegładały, jak w zwierciadle. Przez łączkę płynął – kaczki i gęsi w nim się pływały. Przez wieś płynął – dzieci się w nim pluskały, bosymi nogami plaskały po wodzie. Czy było źle? Wszyscy byli zadowoleni, wszyscy potok chwalili. Lecz potok nagle stał się dumny. Powiedział do siebie:

„To dla mnie ważne, by brzozy się we mnie wpatrywały, by kaczki i gęsi pływały w mej wodzie, a dzieci się w niej pluskały. Ale dlaczego ja mam do nich płynąć? Kto chce – sam do mnie przyjdzie!”

Tak postanowił. I zatrzymał się.

Stoi dzień, stoi drugi. Zaczął pokrywać się rzęsą, by brzozy nie wpatrywały się w niego. Znudzony tak trwał, aż wysechł.

A potem chlusnął deszcz. Na miejsce dawnego potoku pojawiło się bardzo wiele maleńkich potoczków. A z każdym nowym potoczkiem zjawiała się całkiem nowa bajka.

### Słońce i księżyc

Słońce posprzeczało się z księżycem.

Słońce mówi, że liście na drzewach są zielone, a księżyc mówi, że są srebrzyste. Księżyc mówi, że ludzie na ziemi cały czas śpią. A słońce mówi, że ludzie są ciągle na nogach.

– Więc dlaczego jest teraz na ziemi taka cisza? – pyta księżyc.

– Cisza? A któż ci o tym powiedział? – denerwuje się słońce. – Na ziemi jest teraz gwar.

Sprzeczały się, sprzeczały i do niczego nie doszły.

– Ty widzisz jedno, ja drugie – powiedział księżyc. – A dlaczego tak jest, sam nie rozumiem.

I wtedy przyleciał wietrzyk. Usłyszał tę rozmowę i zaśmiał się, lecz tak, że patrząc na niego, zatrząsnęły się od śmiechu kwiaty i trawy, a drzewa – nawet one się zakołysały. Jedna malutka śmieszka szyszeczka tak chichotała, aż spadła. Spadła z choinki i poturlała się ze śmiechu pod górkę.

Kiedy wszyscy przestali się śmiać, wiatr powiedział:

– Dlaczego się kłóćcie? Latam i przy słońcu, i przy księżycu. Za dnia w słońcu liście są zielone, ludzie są gołsi i wścibscy. Nocą, kiedy świeci księżyc, wszystko jest inaczej: ludzie śpią, wkoło jest cisza i liście na drzewach wydają się srebrzyste. A kiedy ja na księżyc zasnuwam chmury, wszystko staje się czarne. Tego ani ty, słońcu, ani ty, księżycu, widzieć nie możecie. Do widzenia! – I wiatr odleciał.

Od tego czasu, zanim osadzi się słońce na niebie, wstaje księżyc: jest ciekawy, jak wygląda dzień na ziemi. I księżycowi czasami udaje się to zobaczyć. Ale słońce nigdy nie może zobaczyć nocy. Może tylko pokazać się wtedy, kiedy przychodzi dzień. ■

**Rachela Bojmwol** urodziła się 4 marca 1914 roku w Odessie, zmarła 16 czerwca 2000 roku w Jerozolimie. Była wybitną poetką języka jidysz, w czasach stalinowskich i później, dla celów zarobkowych, pisała bajki dla dzieci w języku rosyjskim, które osiągały milionowe nakłady. Po emigracji do Izraela w roku 1971, oprócz pisania wierszy zajęła się także idiomatyką języka jidysz. Przez współczesnych została nazwana „strażniczką żydowskiego słowa”. Larysa Rozina napisała o niej: „Życie Racheli Bojmwol układało się nielekkko. Przyszło jej płynąć pod prąd. W sytuacji, kiedy żydostwo traktowano jak piętno, kiedy wielu pisarzy żydowskich szczerze uważało, że jedynym wyjściem dla Żydów jest pełna asymilacja, Rachela samookreśliła się jako żydowska poetka, strażniczka żydowskiego słowa, krwiożwiązana ze swoim ludem, rozmawiająca ze swoimi czytelnikami w ich ojczystym języku”. W Polsce znanych jest kilka jej wierszy w przekładach Hadasy Rubin oraz Belli Szwarcmann-Czarnoty.



# Mało komu znane, a warto odwiedzenia Na szańcach jabłonkowskich

TOMASZ BIENEK

Obszar Śląska Cieszyńskiego, w szczególności Zaolzia oraz pogranicze czesko-słowackie w rejonie granicy z Polską to szalenie ciekawy, choć wciąż nie w pełni odkryty przez turystów teren. Jedną z niesamowitych atrakcji tego rejonu są rozciągające się w granicznym trójstyk górskie twierdze, które przed wiekami broniły przejść przez strategicznie ważną Przełęcz Jabłonkowską. Modernizowane na przestrzeni wieków, w końcu zostały uznane za przestarzałe, a następnie niepotrzebne i na kolejne wieki popadły w zapomnienie. Obecnie, m.in. dzięki staraniom lokalnych władz, są odkrywane na nowo.

Podróżując w rejonie, gdzie łączą się granice Polski, Republiki Czeskiej i Słowacji podziwiać można piękno dzikiej przyrody i zapierające dech górskie panoramy, jednak oko uważnego wędrowca przyciągają co jakiś czas ukryte w leśnej gęstwinie dziwne formy ziemne – regularne rowy, wały i nasypy. Nie są one bynajmniej tworem natury, ale efektem celowych działań rąk ludzkich, a konkretnie XVI-wiecznych budowniczych, którzy pokryli ten teren siecią twierdz, strażnic i posterunków. Ciągący się w górach łańcuch umocnień znajduje się głównie na terenie obu naszych południowych sąsiadów, ale jego fragmenty można odnaleźć też na terenie Polski, w rejonie Koniakowa czy Istebnej. Okazuje się, że pomimo upływu ponad pięciuset lat, umocnienia zachowały się całkiem niezłe. Przetrwwały ich struktury, schowane w beskidzkich lasach, jak i pamięć o nich – zapisana w lokalnych nazwach. Aby się o tym przekonać wystarczy dokładniej przejrzeć się mapie – po słowackiej stronie w górach nad miejscowością Świerczynowiec są Staré šance, po czeskiej stronie jest osada Šance, działa tam nawet sklep spożywczy o swojskiej nazwie Potravinu na Šancích, a w Koniakowie znajdziemy Chatę na Szańcach i Koczy Zamek; jest także wyciąg narciarski Szańce.

Wszystko zaczęło się w 1526 roku, gdy w bitwie pod Mohaczem armia dowodzona przez króla Czech i Węgier Ludwika II Jagiellończyka została rozbita przez armię osmańską sułtana Sulejmana Wspaniałego. Chrześcijański król zginął w tej batalii, a groźba tureckiej inwazji na Księstwo Cieszyńskie stała się bardzo realna. By jej zapobiec, początkowo zawalono górskie przejścia i ścieżki prowadzące na południe ścietymi pniami drzew, a na Przełęczy Jabłonkowskiej, przez którą wiodła jedyna

solidna droga z Węgier na Śląsk – wybudowano drewnianą strażnicę, zaopatrzoną w amunicję i żywność, której załogę stanowiło prawie stu zbrojnych. Po obiekcie tym nie zachował się, niestety, już żaden ślad i zadaniem archeologów pozostaje wskazanie, gdzie dokładnie się znajdował.

Szeroko zakrojona budowa fortyfikacji, mogących powstrzymać turecką nawałę, na wielką skalę ruszyła w 1578 roku, gdy książę cieszyński Waclaw III Adam na wzgórzu Dejůvka, na obecnej granicy słowacko-czeskiej, ulokował prawdziwą górską fortecę. Dostępu do niej broniły trzy pasy przeszkód – drewniana palisada, głęboka fosa i wał ziemny. Za nimi ulokowano budynki mieszkalne załogi wraz z magazynami, pozwalającymi na długą obronę w warunkach oblężenia. obrońcy poza solidnymi kwaterami i zbrojownią mieli do dyspozycji warsztaty, kuźnię, kuchnię, studnię, a nawet kaplicę. Zewnętrzny pas obrony stanowiły posterunki na okolicznych wzgórzach, ostrzegające o zbliżającym się niebezpieczeństwie. To właśnie ta twierdza, obecnie znajdująca się w lasach po słowackiej stronie, nosi nazwę Stare Szańce.

Gdy w 1618 roku wybuchła wojna trzydziestoletnia, niebezpieczeństwo połączenia się protestanckich wojsk z północy z tureckimi oddziałami na południu było dla monarchii austriackiej na tyle istotne, że podjęto decyzję o budowie nowej, silniejszej twierdzy – ok. dwóch kilometrów na północny zachód od Starych Szańców, obecnie na terenie Republiki Czeskiej. Umocnienia były wykonane już w dużej mierze z murów kamiennych. Pojawiło się też kilka dział, przysłanych z Cieszyna. Z inicjatywy księżnej cieszyńskiej Elżbiety Lukrecji fortyfikacje znacznie rozwinęto; pod szyttem Girowej powstał szaniec na tzw. Bażynach, szaniec Dziołek w Herczawie, a także szańce: W Suszu (Bukowiec na Kępie), Kikula, Mały Szaniec (Wzgórze Wały) oraz

Wołowy Szaniec pod Ochodzitą w Polsce.

Na przestrzeni kolejnych dekad i wieków losy beskidzkich fortyfikacji, zgodnie ze specyfiką tamtej epoki, przypominały fabulę powieści spod znaku płaszcza i szpady. Były dzielnie brnione, ale i zdobywane. Ich załogi raz pozostawały wierne rozkazom, innym razem zdradzały i przechodziły na stronę agresora. Szańce raz oblegali, raz zdobywali Węgrzy i Prusacy, a ich najemne załogi stanowiła nieraz mozaika żołnierzy z różnych królestw i księstw ówczesnej Europy, mówiąca różnymi językami.

Ostatnia większa rozbudowa szańców miała miejsce w latach 1724–1729. Później modernizowane je wkrótce potem w związku z wojnami austriacko-pruskimi. Na niektórych wzgórzach pojawiły się kilkupiętrowe budowle obronne, przybito podziemnych chodników i korytarzy, jednak koniec XVIII wieku był schyłkiem świetności szańców. Ostatnie działania zbrojne – choć raczej o randze epizodu – miały tu miejsce w czasie Wiosny Ludów w 1848. Potem nie utrzymywano tu już nawet załóg. Na przełomie XIX i XX wieku większość kamiennych fortyfikacji rozebrała okoliczna ludność, traktując szańce jako źródło materiałów budowlanych. Fosi i okopy zarósł las.

Kilka lat temu pamięć o szańcach powróciła; gdy pojawiła się idea wykorzystania ich jako turystycznej atrakcji. Dzięki staraniom władz czeskiego województwa morawsko-śląskiego i samorządu słowackiej Żyliny udaje się wydobyc niesamowite górskie fortyfikacje i ich historię na światło dzienne. W twierdzy nad Mostami Jabłonkowskimi od dwóch lat trwają prace archeologiczne i renowacyjne, dzięki którym stara forteca przynajmniej w zarysie odzyskuje dawny kształt. Działa tu także małe muzeum, a przy nim punkt informacyjny, gdzie można kupić wydawnictwa lub mapy poświęcone systemowi fortyfikacji. ■

Osoby zainteresowane zwiedzaniem lub odnajdywaniem w terenie fortyfikacji, wchodzących w skład systemu ogólnie nazywanych „szańców”, mogą uzyskać informacje w samym muzeum w głównej twierdzy na terenie Republiki Czeskiej, do której najłatwiej dojść z przystanku autobusowego: Mosty u Jablunkova, Šance, opevnění. Dotrzeć można też na piechotę ze stacji kolejowej Mosty u Jablunkova – Przystanek, lub, nieco dłuższą trasą, ze Słowacji, ze stacji kolejowej Świerczynowiec (Svrčinovec), szlakiem zielonym.

Przy stacji Mosty u Jablunkova działa centrum informacji turystycznej „Gorolské turistické informační centrum”, znajdujące się w zabytkowej góralskiej chałupie obok kościoła niecałe 200 metrów od stacji kolejowej.



Dziedziniec „Wielkich Szańców”, tu niegdyś odbywały się przeglądy załóg



„Stare szańce” po stronie słowackiej – widoczny zachowany fragment ziemnych umocnień



Odkopywana twierdza powoli odsłania swoje tajemnice – na zdjęciu wlot do systemu odwadniającego



Kamienne fosy szańców po czeskiej stronie – i piękny widok na góry



Fragment oryginalnego muru z XVIII wieku



Po lewej stronie oryginalny mur, po prawej – przygotowywana rekonstrukcja w miejscu unicestwionego przez przyrodę oryginału





*Mikolajki – żeglarze na mazurskim jeziorze Tałty mogą oglądać potężny hotel w pełnej krasie*



*Pobierowo, hotel „Gołębiewski” w budowie*



*Wisła – budowa wśród drzew na beskidzkim stoku*



# Od wytwórni wafli do sieci hoteli Beskidzkie perypetie Gołębiewskiego

– *Nie jeżdżę na wakacje, bo ciągle na nich jestem* – żartował często Tadeusz Gołębiewski w rozmowach z dziennikarzami. Przedsiębiorca, nazywany „hotelarzem XXL” lub magnatem hotelowym z Wołomina, był właścicielem sieci eleganckich obiektów noclegowych w Beskidach, Sudetach i na Mazurach. Pod koniec czerwca zmarł na zawał serca w wieku 79 lat.

Należał do pokolenia wojennego (1943). Urodził się w mazowieckiej wsi Lipiny na obrzeżach Wołomina. Ukończył technikum cukiernicze, a następnie – prestiżową Szkołę Główną Planowania i Statystyki (dzisiejsza Szkoła Główna Handlowa). Jeszcze na trzecim roku studiów postanowił założyć swój pierwszy biznes – małą wytwórnię wafli do lodów. Ówczesne realia PRL nie sprzyjały prywatnej inicjatywie, ale pomimo przeszkód rozwijał wytrwale firmę. Przez pewien czas sam rozwoził wafle na rowerze, pokonując w jedną stronę dystans nawet 30 km.

## Słodko-gorzkie inwestycje

Utworzone przez niego Przedsiębiorstwo Przemysłu Cukierniczego TAGO stało się z czasem popularnym w kraju producentem ciastek i słodczy. Branżą hotelową zainteresował się dopiero po przełomie ustrojowym w Polsce. Uznał, że w warunkach rodzącego się kapitalizmu może to być atrakcyjny interes. Ale każda kolejna jego hotelowa inwestycja była chwytliwym materiałem literackim na powieść sensacyjną: konflikty z urzędnikami i ekologami, poważne starcia sądowe, zmiany w projektach, nakazy roz-

biórki, solidne grzywny, a nawet oskarżenia o łapówki. Samo życie!

Hotelowa epopeja Gołębiewskiego zaczęła się na Mazurach w roku 1989. Kupił ziemię w Mikołajkach nad jeziorem Tały. Wybudował tam olbrzymi obiekt na ok. 1300 miejsc noclegowych. Pięciogwiazdkowy gigant hotelowy został oddany do użytku przed 31 laty. Potem powstała sieć podobnych (czterogwiazdkowych) obiektów w innych zakątkach kraju: Białymstoku (1999), Wiśle (2003), Karpaczu (2010).

Ciągle trwa budowa nadmorskiego hotelu w Pobierowie, który ma być największą inwestycją Gołębiewskiego. Na głą śmierć kreatywnego przedsiębiorcy nie wstrzymała bowiem prac budowlanych na bałtyckiej plaży, a gotowy obiekt o ponadstandardowych gabarytach (ok. 3000 miejsc noclegowych) może zostać przekazany do eksploatacji jeszcze w tym roku, jak przekonują specjaliści z branży.

## Niespodzianki na górskim stoku

Beskidzką wizytówką Tadeusza Gołębiewskiego jest efektowny pod względem architektonicznym obiekt w Wiśle. Na początku XXI wieku kupił on niedokończony hotel od Ogólnopolskiej Spółdzielni Turystycznej „Gromada”, która nie miała środków finansowych na sfinalizowanie inwestycji rozpoczętej jeszcze w 1999 roku.

Zrobił to więc we własnym zakresie, kosztem wielomilionowych nakładów pieniężnych. Obiekt został udostępniony turystom przed 19 laty. Znajduje się na stoku Bukowej (713 m n.p.m.), „na prawym brzegu królowej polskich rzek”,

jak głosi anons reklamowy w wiślańskiej broszurze turystycznej.

Dzieje hotelu były bardzo burzliwe. Trwał długotrwały spór z urzędnikami wojewody śląskiego, którzy uznali obiekt za samowolę budowlaną. Gołębiewski otrzymał nawet zakaz dalszej działalności beskidzkiej placówki noclegowej. Na domiar złego w 2005 roku spłonął dach budynku (konsekwencja robót dekarckich na poddaszu). Na szczęście nikomu nic się nie stało. Konflikt z wojewodą załagodzony. Przed 15 laty wiślański hotel został wydawnie rozbudowany. Czterogwiazdkowy obiekt dysponuje obecnie pulą ok. 1200 miejsc noclegowych.

## Helikopterowe zarządzanie

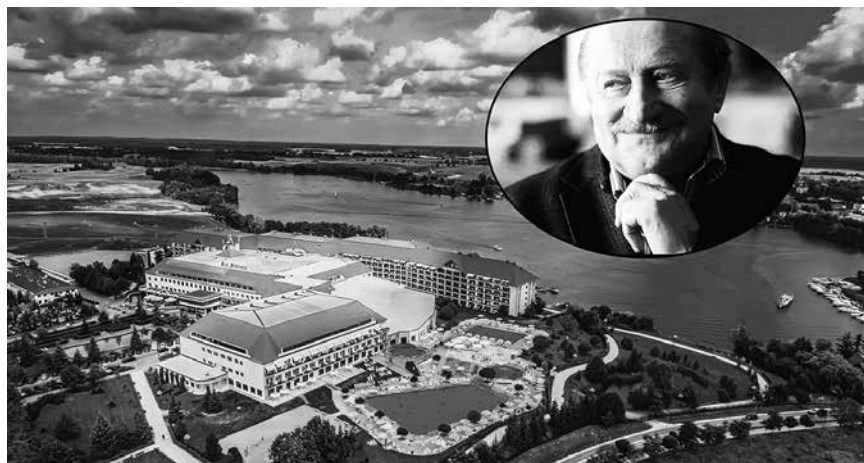
Za swojego życia Gołębiewski odwiedzał Wisłę średnio raz na półtora tygodnia. Czasami wpadał bez zapowiedzi i po kilku godzinach wyjeżdżał. Uwielbiał po prostu takie życie. W każdym ze swoich hoteli miał specjalny apartament. W Wiśle był to kompleks złożony z sypialni, pokoju gościnnego, dwóch łazienek i małej kuchni, z której biznesmeni nigdy nie jednak nie korzystał, bo jadał tylko w restauracji.

Nigdy nie ukrywał, że wielce kłopotliwe i męczące były dla niego podróże między hotelami, usytuowanymi w różnych regionach kraju, a fabryką cukierniczą TAGO w Radzyminie pod Warszawą. Dlatego właśnie kupił helikopter, którym latał w interesach. – *Wziąłem go na 10 lat w leasing. Kosztował mnie 2 mln euro – wyznał szczerze w jednym z licznych wywiadów prasowych. – Mamy tak fatalne drogi, że helikopter to konieczność. Sam zdobywam uprawnienia do latania. Z Mikołajek na lotnisko w bielskich Aleksandrowicach dotrę w dwie godziny* – opowiadał Gołębiewski zainteresowanym dziennikarzom.

## Spadkobiercy przejęli imperium

Do wszystkiego doszedł własną pracą i pomysłowością. Efekty swojej działalności mógł zawdzięczać tylko sobie. Nie czekał nigdy na mannę z nieba. Życie dawało mu jednak niekiedy mocno w kość.

Firmy działające pod marką „Gołębiewski” zostały przejęte przez rodzinę kreatywnego przedsiębiorcy, który zasłynął niecodziennym przydomkiem „hotelarzem XXL”. Tadeusz Gołębiewski pozostawił troje dorosłych dzieci. Będą one kontynuatorami ojcowskiego dzieła. ■



Nostalgiczna wizytówka mazurskiego hotelu Tadeusza Gołębiewskiego w Mikołajkach

# Czytała, więc była Anna Węgrzyniak 6 września 1951 – 6 lipca 2022

MARIAN KISIEL

Ania Węgrzyniak należała (o, jak trudno zgodzić się na ten czas przeszły) do grona uczonych piszących rzeczy ważne. Na rzeczy nieważne czasu nie miała, ponieważ marnować go nie zamierzała na coś, do czego nie miała przekonania. Rzeczami ważnymi nie były jednak, jak mogłoby się wydawać, tematy literackie, co do których mamy pewność, że stanowią o obliczu literatury, ale takie tematy, o których istotności jesteśmy przekonani. Chcę przez to powiedzieć, że Ania wybierając przedmiot (i podmiot) swoich rozważań każdorazowo była pewna, że nie pisząc o nim, nie zatrzymując się na jego znaczeniu, popełniłaby jakiś nie tyle literaturoznawczy grzech, ile grzech istotnościowy. *Czytam, więc jestem* – tak brzmiał tytuł jednego zbioru jej szkiców.

Czytała literaturę przez pryzmat swego czasu. A ten czas był zmienny tak samo, jak zmienne są rozmaite wykładanie literatury. Nie możemy ich lekceważyć, ale zaufać im byłoby szaleństwem. Otwierając się na możliwe światy teorii, Ania postulowała, żebyśmy otwierali się na zapisane w nas doświadczenie. W tym sensie lektura, której jesteśmy wzajemnymi odbiorcami, utrwala jedno z kilku możliwych pięter poznania. Może to być literatura, może świat, może somatyczne przeżycie doświadczenia Innego. „Czytam, więc jestem” na którymś z tych pięter.

Czytała zachłannie. Miała niezwykłą umiejętność czytania głębokiego, wnikającego w sensy niejawne, wydobywającego z metafory prawdę o świecie. Lektura ją cieszyła, Ania przenosiła ją później na błyskotliwą narrację. Pisała eseje. Nie zacierała znaków własności, upodmiotowiała swoją lekturę, nadawała jej lekkość. Pisała tak – powiem za wierszem Ewy Lipskiej – że „nędzarz myślał, że pieniądze. A ci co umierają, że to urodziny”. W jej narracji nie było meandrycznych zakrętów myśli, sprawna ręka prowadziła nas do pointy w taki sposób, że nie zauważyliśmy nawet, że byliśmy prowadzeni za rękę.

Oglądany już z perspektywy „zamknięcia”, dorobek Ani imponuje swoim rozmiarem i rozmachem interpretacyjnym, rozpiętością podejmowanych

tematów i gatunków naukowych, a także sposobów i metod lektury. Jej żywiołem była od początku sztuka interpretacji. W pracach wczesnych praktykom analityczno-interpretacyjnym patronowała warszawska szkoła strukturalistów, w okresie późniejszym Ania stopniowo przechodziła na pozycje hermeneutyki tekstu, lektury rozumiejącej. Tę zmianę zainteresowań metodologicznych widać wyraźnie w ogłaszanych kolejno tomach autorskich. Strukturaliści dominowali w tekstach pisanych do połowy lat 80. przeszłego stulecia (ich wpływ był ogromny jeszcze w pracy doktorskiej), później jednak, dzięki ściślejszemu wykorzystaniu instrumentarium krytycznoliterackiego, po przemyśleniu prac Paula Ricoeura, Georges-a Pouleta i G rarda Genette’a, Ania prowadziła dialog z wybranym poetą tak, by nie zgubić jego indywidualności. Nie było tu konfliktu postaw teoretycznych. Mówiąc za Genettem, zamiast „mechanicznej separacji i wykluczania”, mieliśmy do czynienia ze „związkiem uzupełnienia”. Innymi s łowy: u podstaw sztuki interpretacji Ani Węgrzyniak zawsze stało wielopoziomowe wyczulenie na poetyckie jakości, a droga lektury każdorazowo prowadziła od tekstu do kontekstu (filozoficznego czy socjologicznego), nigdy odwrotnie. Strukturalizm podsuwał sposób opisu wiersza (poezji), hermeneutyka jego (jej) rozumienie.

Początkowe zainteresowania twórczością Skamandra zaowocowały monografią *Dialektyka językowej organizacji tekstu w poezji Tuwima* (1987) oraz błyskotliwymi studiami o poezji m.in. Stanisława Balińskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia czy Kazimierza Wierzyńskiego. Analizując twórczość Juliana Tuwima w kilku ujęciach (socjologicznym, genologicznym, estetycznym), Ania dowodziła, że o specyfice jego języka artystycznego decydowała równoczesność uprawianych ról poety i tekściarza. Pod wpływem technik satyry i kabaretu monologowy lub dialogowy związek kodów artystycznych z imitacjami języków rzeczywistości został przedstawiony jako sposób na odświeżenie i uproszczenie języka poetyckiego.

Kody stylowe tradycji „wysokiej” i przejawianie się zjawisk imitacyjnych (stylizowanych) miały wpływ na formowanie się satyrycznej i estradowej poetyki Juliana Tuwima. Ania przekonująco pokazała, jak w liryce „wysokiej” poeta wykorzystał chwyt stosowane w tekstach satyrycznych i kabaretowych. Z jednej strony interesowała ją parodystyczna gry z frazeologią romantyczno-patriotyczną (obecną np. w popularnej  wczesnie piosence legionowej), bądź ze „słowem gazety”; z drugiej natomiast – reguły socjolingwistycznej poetyki wykorzystwała do interpretacji zorientowanej na kwestie związane z **istnieniem**. Tej ostatniej problematyce szczególnie konsekwentnie przyglądała się w studiach przekrojowych i interpretacyjnych o Stanisławie Balińskim, Jarosławie Iwaszkiewiczu, Janie Lechoni i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Jest to wszakże g łowna optyka badawcza w książce *Egzystencjalne i metafizyczne. Od Leśmiana do Maja* (1999), której bohaterami stali się: Bolesław Leśmian, Jan Lechoń, Antoni S onimski, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Świrszczyńska, Wisława Szymborska, Stanisław Barańczak i Bronisław Maj. Pojęcia „egzystencji” i „metafizyki” zostały tu użyte swobodnie, albowiem Ania nie odwołała się do konkretnych systemów filozoficznych i estetycznych (skądinąd słusznie), twierdząc, że „do poetyckiej metafizyki dochodzi się poprzez rekonstrukcję obrazu świata, który jest zależny od estetyki, od swoistości języka (przez poetykę do światopoglądu)”, jak czytamy we wstępie do tomu.

Można powiedzieć, że w centrum jej pracy legło **doświadczenie czytania**. Z lektury konkretnych wierszy i praktyk lirycznych wysnuła wnioski tyleż estetycznej, co filozoficznej natury. Z jednej strony mamy zatem refleksję, która dotyczy swoistości badanego zjawiska, z drugiej natomiast rozważania nad pozęją jako świadectwem kryzysu metafizyki nowożytnej i kultury judeochrześcijańskiej. Przeczytamy: „Metafizyczne poszukiwania poetów (lęki, olśnienia, różnorako formułowane pytania o Sens) są poetycko zaszyfrowane, za-



wierają się w kompozycji, rytmie, topice, w napięciach wewnątrztekstowych, w relacjach intertekstualnych”. „Pytania egzystencjalno-metafizyczne [...] w literaturze [...] wymagają oglądu swoistości języka”). Zdaniem badaczki, poeci tworzą swe osobnicze idiolekty po to, by zaprzeczyć przypadkowości istnienia. Leśmian pytał o widzenie „nieokreślonego”, Szymborska o „byty niepewne”, Świrszczyńska o „metafizykę ciała”, Iwaszkiewicz o „porządku przeciwstawne” (pogański i chrześcijański), Słonimski o to, „co ponad człowieczą naturą”, Lechoń o metafizyczną iluminację, Barańczak o metafizyczny „mrok”, Maj o „metafizykę światła”... Wszystkich połączył horyzont podróży „w stałym zawieszaniu między Bytem i Nicością”.

Kilka lat wcześniej Ania Węgrzyniak opublikowała książkę popularnonaukową *Nie ma rozpusty większej niż myślenie. O poezji Wisławy Szymborskiej* (1996). Zająła ona w jej dorobku miejsce szczególnie. Ania w gąszczu zmasowanych wypowiedzi krytycznych, powstałych po przyznaniu poetce Nagrody Nobla, umiała odnaleźć własny ton, zaprezentować „swoją” Szymborską. Dziełko to prezentuje najpierw ewolucję dorobku twórczyni *Soli* (od *Dłatego żyjemy* po *Koniec i początek*), następnie przedstawia niezwykle interesujące i pogłądowe interpretacje trzech wierszy, kończy wreszcie wyborem wypowiedzi krytycznych i autorskich. Zapewne, ów rozbudowany esej nie mieści się w kręgu sztandarowych gatunków wypowiedzi, jakie badaczka uznawała za własne, dobrze jednak pokazywał jej umiejętności popularnizacyjne. Do pomysłów tu przedstawianych powróciła w późniejszych studiach o Szymborskiej, m.in. zawartych w zbiorze *Czytam, więc jestem*.

*Czytam, więc jestem. Studia, interpretacje, glosy* (2004) to próba syntezy we fragmentach, osobista, choć nie pozbawiona ambicji monografia polskiej poezji XX wieku. Książka ma strukturę trójdzielną. Wpierw Ania Węgrzyniak dała dwanaście studiów i szkiców, następnie dziewięć interpretacji wierszy, w końcu pięć komentarzy do rozmaitych zjawisk poezji przeszłego stulecia. Bohaterami książki stali się – czytani wnikliwie i odkrywco – Bolesław Leśmian, Skamandryci (Stanisław Baliński, Jarosław Iwaszkiewicz i Kazimierz Wierzyński), Tadeusz Różewicz, poeci na pomarcowej emigracji (Stanisław Wygodzki, Arnold Słucki, Anna Frajllich), „nowi” Stanisław Barańczak i Adam Zagajewski, Miron Białoszewski, Wisława Szymborska. Już ten zestaw nazwisk wiele mówi o kompetencjach Ani, która swobodnie poruszała się po obszarach dwudziestolecia międzywojennego i literatury współczesnej (również najnowszej).

Bardzo interesująco czytała tutaj poezję nowoczesną. Poeci awangardy, tj.



Julian Przybóś i Józef Czechowicz, wybitni reformatorzy liryki polskiej okresu dwudziestolecia międzywojennego, są poszukiwani – jako trop i znak tradycji – u młodszych kontynuatorów (Tadeusz Nowak, Bogusława Latawiec). Dwa świetne szkice o Tadeuszu Różewiczu zawierają różne spojrzenia na twórczość poety. W pierwszym Ania wskazała poetyckie relacje pokoleniowe, podkreślała obecność poety w twórczości pokolenia 56 i Nowej Fali (to pozycja szczególnie cenna), w drugim błyskotliwa lektura tomu *Matka odchodzi* nie ograniczyła się do odczytania samego tekstu literackiego, lecz skupiła na książce jako takiej (uwaga autorki obejmuje okładkę; fotografie – ich dobór, układ, technikę; teksty matki i braci), by dowiedzieć, że dopiero ów wielokodowy tekst daje pełne wyobrażenie o bogactwie zaszyfrowanej w nim treści.

Niepodrabialną sygnaturą wspomnianego zbioru jest różnorodność ujęć i formuł lektury. Zdecydowanie przeważała jednak kompetentna interpretacja pojedynczego utworu. Z czasem zmieniają się perspektywy oglądu i konteksty interpretacyjne, ale uwagę Ani zawsze przyciągał konkretny tekst, a nie systemy, konwencje czy programy. Interesowała ją kondycja ludzka i ekspresja piersarskiej osobowości, a więc to, co w literaturze **powinno i musi** interesować przede wszystkim!

Po kilkunastu latach Ania Węgrzyniak wróciła do autora *Sokratesa tańczącego*, wydając książkę *Ja głosów świata imitator. Studia o poezji Juliana Tuwima* (2005). Widoczna we wcześniejszych studiach (w różnym natężeniu) analiza strukturalistyczna, po raz pierwszy tak zdecydowanie ustąpiła miejsca ujęciom hermeneutycznym i genderowym (np. w zamkniętej zbiorze rozprawie *„Syn chuci bożej”. Kreacje siły i fantazje metafizyczne*). Jest to przy tym książka będąca swoistym

przeglądem „flagowych” gatunków wypowiedzi naukowej. Obok interpretacji – rekonesans, obok studium problemowego – analiza tematyczna.

Powracając do Tuwima, Ania „zatoczyła koło” we własnej biografii naukowej. Jej pierwsza książka koncentrowała się wokół zagadnień Tuwimowskiej „dialogowości” tekstowej, książka, o której teraz mówimy – wokół Tuwimowskiej „wielogłosowości” kulturowej („[poeta] to przede wszystkim ktoś, kto jest wyczulony na wielogłosowość otaczającej go rzeczywistości kulturowej”). Teza brzmi tak: „Tuwimowska praktyka artystyczno-producentka [...] sprzyja formowaniu się poetyki tekstu wielogatunkowego, wielogłosowego, wielostylowego, w którym na równych prawach może spotkać się wszystko z wszystkim, bo wszelkie cezury ulegają zatarciu”. To stanowisko krytyczne, pozornie znane nam od lat, zostało podbudowane gruntownymi i drobiazgowymi analizami wierszy, cyklów wierszy czy – w ogóle – całych „rozdziałów” dorobku autora *Balu w Operze*.

Przeczytać zatem mogliśmy i o intertekstualnych związkach poezji Tuwima z różnymi stylami i gatunkami wypowiedzi literackich i paraliterackich, i o spotkaniu w niej żywiołu egzystencjalnego z metafizyką. Historia i ideologia (polityka), kultura wysoka i masowa stały się w książce Ani Węgrzyniak punktem wyjścia do wieloaspektowych rozważań nad relacjami liryki i piosenki, językiem komunikacji masowej, satyrą polityczną i jej hierarchiczną podrzędnością wobec liryki (w cyklu *Z wierszy o państwie*). Rozważania te zostały uzupełnione o nowy wątek, Ania pochyliła się nad sensualizmem Tuwima i jego – skrytą za retorycznymi maskami – psychomachią. To niezwykle kusząca propozycja lektury, odsłaniająca to, co „poza”



kolczastym ogrodzeniem języka: seksualizm poety, jego kłopoty z tożsamością, a wreszcie bezradna próba zasłonięcia wirtuozerskim słownym rygoryzmem dramatu samotności, bezpłodności i pustki.

Dzięki połączeniu wszystkich tych wątków, możemy obcować nie tylko z poetą „głosów świata imitatorem”, mierzącym się ze współczesną mu „kafkonią języków i stylów” rzeczywistości, ale także z osobowością pełną wielorakich napięć duchowych i tożsamościowych. „Obejmując całą twórczość Tuwima, – napisała Ania – za główne cechy stylu uznać należy: imitacyjność, polifoniczność i pograniczność. Prywatny wątek skrywanej nietożsamości prowadzi w stronę pytań egzystencjalnych i lęków metafizycznych [...]. Poezja «wysoka» osadzona w obszarze kultury popularnej – jak żadna inna twórczość Dwudziestolecia – koresponduje z tendencjami naszej współczesności, niejako antycypuje postmodernistyczne «zerowanie na śmietniku»”.

W pracach „dużych” czy „małych” zawsze interesowała ją osobowość twórcza. Punktem wyjścia lektury była indywidualna dykcja pisarza, a dopiero potem topika i znaczenia symboliczne, mityczne czy alegoryczne. Zasadniczo Ania Węgrzyniak zajmowała się poezją, ale przedmiotem kilkunastu jej studiów – o których dotąd nie było mowy – była proza. Formom narracyjnym poświęciła zbiór szkiców *W świecie, który wciąż się rozpada. Lektury prozy XX i XXI wieku*. To był znakomity tytuł i nieoczywisty dla samej autorki podtytuł, dotykający prozy biegnącej przez różne style, biografie i tematy – w trzech potrójnych odsłonach: mistrzów, małych mistrzów i małych mistrzyń, jeżeli słówko „mały” uznać nie za znak jakości, ale za późniejsze wejście do literatury.

Ania przeczytała w pierwszej odsłonie Tadeusza Konwickiego, Wiesława Myślińskiego i Stefana Chwina; w drugiej – Andrzeja Stasiuka, Ignacego Karłowicza i Szczepana Twardocha; w trzeciej – Olę Tokarczuk, Magdalenę Tulli i Magdalenę Grzebałkowską. Czytała ze wzrokiem skupionym w jedną figurę, a czasami poruszała się ruchem konika szachowego, analitycznie i przeskokowo, jak gdyby pragnąc syntezy. Czytała przez indywidualium i zbiorowość (oraz ich pamięć), przez dom rodzinny i świat. Wektory interpretacji nie są zbieżne, ale często są na siebie skierowane. W potrójności lektury Ania pytała o sens związków wzajemnych, które w przelamujących się stuleciach określiły nasze (również lekturowe) doświadczenie.

Część pierwsza książki (*Bastard, gracz, makijażysta*) to pytanie o wspólnotę losu i jej zmierzch, początek i koniec, dobro

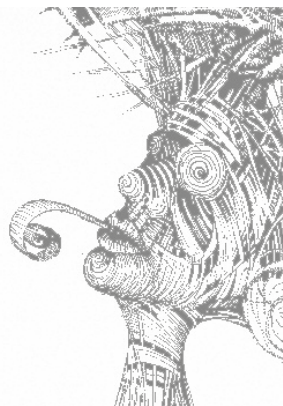
i zło, sztukę prawdziwą i sztukę wynajętą. Ania Węgrzyniak połączyła z sobą trzy powieści: *Bohni* Konwickiego, *Ostatnie rozdanie* Myślińskiego oraz *Dolinę radości* Chwina. Tylko pierwsza z nich zyskała literaturoznawczą sławę, dwie pozostałe są gdzieś z tyłu innych utworów ich twórców. A przecież ujawniła się w nich ta sama historia XIX i XX wieku, ci sami scenarzyści historii (Hitler i Stalin), ten sam problem rozpadu i mierzenia się z ideą „poza dobrem i złem”, to samo ludzkie doświadczenie sieroctwa. W części drugiej (*Wędrowniki i ucieczki*) pytania skierowane zostały w stronę tego, co się rozpada (rodzina, związki), od czego się ucieka i do czego się dąży. Życie jest podróżą i życie jest ucieczką, doświadczamy utopii i pragniemy czegoś, co jest utopijne właśnie. „Wciąż mnie znosi, wciąż coś zatrzymuje mój wzrok i nęka mnie obsesyjna wizja [...]” – to zdanie Andrzeja Stasiuka świetnie oddaje „włóczęgowski” charakter bohaterów jego prozy, ale także *Ości* Karłowicza oraz *Wielorybów i ciem* Twardocha. Chciałoby się przywołać tutaj Wilsonowską opozycję: outsider – insider. Z pewnością bohaterowie próz tutaj wymienionych stoją po pierwszej stronie opozycji. W trzeciej części (*Okiem kobiety*) zderzymy się z trwałością (Tokarczuk), bezdomnością (Tulli) i zagubieniem (Grzebałkowska), a właściwie z pytaniem o to, na ile rodzina w swoim wiekowym trwaniu płata swoje losy i ich nie odnajduje za sprawą tego doświadczenia dziejowego, jakim jest wojna. „Po utracie wiary w metafizyczną spójność bytu, tylko w snach, baśniach, mitach (raczej strzępach mitu), a także w literaturze odzywa się przecucie innego wymiaru” – napisała Ania w pocinie szkicu o Tokarczuk. Ale słowa te można odnieść także do pozostałych pisarek. „Spójność bytu” zawsze kończy się przez wojnę. Wielka Zagłada przynosi małe zagłady, cząstkowe i nieodwracalne. Dlatego w szkicach Ani Węgrzyniak z tej części książki tak mocno położony został nacisk na psychologiczny wizerunek bohaterek. Co im pozostaje po Zagładzie? Tkanie narracji, ucieczka w literaturę?

Zbiór szkiców o dziewięciorgu prozaikach i prozaiczkach to zmierzenie się z doświadczeniem losu (bytu) i lęku (bycia), historii (świata) i hysterii (jednostki), domu (tradycji) i drogi (ucieczki). Chciałoby się powiedzieć, że szkice te świetnie się czyta, ale słówko „świetnie” wydaje się intruzem w tym zdaniu. Nie można czytać „świetnie”, kiedy cały świat, którego jesteśmy uczestnikami, którego doświadczamy historycznie, rodzinnie i osobniczo – rozpada się nam, jak w tytule zbioru. Zwróćmy uwagę na aspekt niedokonania i stałość procesu: świat „się rozpada”, a nie rozpadł – i czyni to „wciąż”. Bohaterzy, o których czytamy

na kartach powieści, których biografie, przekłety los i zmęczenie wyłuskujemy z misternie tkanej narracji, są w jakimś sensie nami samymi – także umiejscowionymi w czasie, miejscu, rodzinie, poszukującymi zdomowienia i uciekającymi od niego, byle dalej, bo – jak pisze Stasiuk – „wciąż mnie znosi”. Książka powstała z artykułów pisanych w różnym czasie, połączyła je kategoria rozpadu. Jak się wydaje, właśnie ta kategoria – jakże zasadnicza dla współczesnego, tj. dwudziestowiecznego myślenia – dodała także nowych sensów utworom, o które byśmy je nie podejrzewali.

Ostatnią książką Ani Węgrzyniak okazały się *Spotkania z domem w poezji współczesnej* (2021). To najpiękniej wydana jej książka – w twardej okładce i z obwolutą. Zebrała w niej szkice o poezji (lub wierszach) Zbigniewa Herberta, Romualda Mieczkowskiego, Feliksa Netza, Jerzego Kronholda, Tadeusza Nowaka, Julii Fiedorczyk i... – mojej. Napisała: „W proponowanym zestawie autorów można dostrzec różne obrazy domu, różne sposoby «zamieszkiwania» – od tradycyjnych wyobrażeń rodzinnego gniazda do trudnego programu współbycia z nie-ludzkim”. Ale też zaznaczyła (w odniesieniu do Netza, choć może i do innych): „Poeta wizjoner widzi NIC i w tym spojrzeniu wyraża się to, co niewyrażalne, tajemnicze, przecute, podświadome”. Jest to książka wspaniała, jak zwykle u Ani. O jej autorach, o jej prywatnej historii poezji i o jej myśleniu o poezji. „Nie przekonują mnie – pisała – erudycyjne interpretacje poetyckich tajemnic, które w kontekstach filozoficznych tak się rozjaśniają, że znika tajemnica”. Ale jej pisanie było erudycyjne, lecz tak finylnie proste, że nie gubiła się w nim ani tajemnica, ani poezja.

Nie chcę rozdrabniać się w szczegółach pamięci. Niemniej kreśląc portret intelektualny Ani Węgrzyniak, nie wolno mi zapomnieć o niej samej. Była uroczą, kobieca, szalona, cieszyła się pełnią życia i oddawała się przyjaźni w takim stopniu, w jakim oddawała się życiu. Taką ją widzę i taką chcę zapamiętać: radosną, wesołą, szczęśliwą. Napisała w książce *Spotkania z domem*: „Śmierć i umieranie zawsze były i będą tematem literatury/sztuki, bo niezależnie od kultury czy światopoglądu śmierć pozostanie tajemnicą, a odchodzenie bliskich było i będzie bolesne”. Jest bolesne. Żegnając Anię na cmentarzu w Mikuszowicach Śląskich, dzielnicy Bielska-Białej, przy Akademii Techniczno-Humanistycznej, której poświęciła swoje ostatnie dwadzieścia lat, ścisnęło nam się serce. Dzień był duszny, nie spadła ani jedna kropla deszczu, a nagle nad cmentarzem roztoczyła się wspaniała tęcza. Niech każdy sam wyjaśni sobie tę tajemnicę. ■



## ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

# Szata – od prozaiczności do podniosłości

W e współczesnych słownikach języka polskiego rzeczownik *szata* – „ubranie, ubiór, strój” – opatrzony jest kwalifikatorem przestarzałości i podniosłości, a odpowiednie przykłady dobrze ilustrują taki jego status stylistyczny: „I przemienił się przed nimi. A oblicze jego rozjaśniało jako słońce, a szaty jego stały się białe jako śnieg”, „Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej?” – czytamy w *Biblii* w przekładzie Jakuba Wujka z roku 1593, *bogate szaty, szaty weselne, żałobne, zakonne, liturgiczne, królewskie* – słyszymy w uroczystych sytuacjach komunikacyjnych.

W języku botanicznym *szata roślinna* to „rośliny występujące na danym obszarze, pokrywające dany obszar”, a w drukarstwie, edytorstwie mówi się o *szacie graficznej* albo *typograficznej*, czyli „wyglądzie zewnętrznym książki lub czasopisma, rozmieszczeniu elementów typograficznych (tekstu, ilustracji itp.) w książce lub w czasopiśmie”. Zoologowie używają wyrażenia *szata godowa* znaczącego tyle, co „zespół drugorzędnych cech płciowych, występujących pod wpływem hormonów w okresie godowym niektórych zwierząt, np. jaskrawe ubarwienie samców ptaków, ryb”.

W języku ogólnym *rozdzieramy szaty* nad kimś lub nad czymś, czyli „wyrażamy przesadny żal, przesadne oburzenie z powodu kogoś lub z powodu czegoś”. Przysłowie *nie szata zdobi człowieka (ale człowiek szatę)* znaczy tyle, co „oceniając daną osobę, nie należy się kierować jej wyglądem, ale cechami charakteru”, a *szata (koszula, sukienia) Dejaniry* to „coś, co jest przyczyną największych cierpień i męczarni, od których nie można się uwolnić”. *Szata* jest także „to, co pokrywa coś, tworzy powłokę czegoś”, np. świat w *zimowej szacie*, jabłko okryte *białą szatą kwiatów* (*Uniwersalny słownik języka pol-*

*skiego* pod red. prof. Stanisława Dubiśa, Warszawa 2003, t. 4, s. 635). Z uroczystych współczesnych użyc przywołajmy jeszcze formułę kierowaną przez księdza do chrzczonego dziecka: „Przyjmij *białą szatę*”.

Na początku dziejów polszczyzny *szata* była codziennym, obiegowym słowem, pozbawionym jakiegokolwiek podniosłości, oznaczającym „odzienie, odzież, ubranie”, kontynuującym to znaczenie od czasów praslówiańskich, a przejętym z germańskiego *hetaz*, późniejszego *hadz*, dialektalnego niemieckiego *Haess* „szata, suknia” (Wiesław Boryś: *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, s. 594). Aż nadto wyraźnym potwierdzeniem takiego pierwotnego, prozaicznego statusu stylistycznego *szaty* są derywaty od niej utworzone, takie jak *szatnia* – „pomieszczenie w teatrze, restauracji, szkole itp., gdzie pozostawia się wierzchnie okrycia”, *szatniarz* – pracownik zatrudniony w szatni przy przyjmowaniu i wydawaniu okryć, toreb itp., mający nad nimi dozór” czy *szatniarka* – forma żeńska od *szatniarza* (*Uniwersalny słownik...*, t. 4, s. 636).

Jeszcze *Słownik języka polskiego* wydany w roku 1861 w Wilnie przez Maurycego Orgelbranda definiuje *szatę* i *szatkę* jako „odzież”, ale i jako „wierzchnie odzienie z płótna lub sukna, suknię” (cz. II, s. 1619). Dopowiedzmy, że ten wileński leksykon przytacza również kilka przysłów z *szatą* związanych: *szata często wydaje człeka obyczaję, szata dodaje śmiałości (wiary, urody, godności), szata nie czyni nędznym, szata świetna nie ozdobi złego, a podła nie oszpeci dobrego*.

W tym momencie dochodzimy do najważniejszej konstatacji, że *szaty* pozostały „odzieniem, ubranie” w mowie śląskiej (*szaty na niedziela, szaty do kościoła, szaty na wyjazd, szaty na urlop*), ale są też synonimem *sukienki*: „Moja

siostra ma cały szrank *szatów*” – czytamy na s. 239 *Małego słownika gwary Górnego Śląska* Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000. Na Śląsku południowym z kolei, jak informuje powyższy słownik, *szatka* oznacza „chustkę na głowie”. *Szaty* jako „suknię”, a *szatkę* jako „chustkę” rejestruje także na s. 69 *Słownik gwary śląskiej* z roku 1996 Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich.

Zajrzyjmy jeszcze do *Podręcznego słownika dawnej polszczyzny* Stefana Reczka z roku 1968. Na s. 482 znajdujemy tam: *szatkę* – „pieluszkę, sukienkę” (Jan Sandecki z Sącza ok. 1490 – ok. 1570), *szatki* – „odzienie” („Wszystka jego majątność wytarte *szatki* i trochę książek” – Piotr Skarga 1536–1612), przymiotnik *szatny* – „strojny, dobrze odziany, ubrany” („Wdowa młoda, bogata, *szatna*” – Wacław Potocki 1626–1696), *szatownię* – „garderobę, szatnię” („*Szatownia*, komora do chowania szat” – Słownik Jana Mączyńskiego z roku 1564) oraz *szatownika* – „krawca” („Odziennik, *szatownik*, krawiec” – Słownik Jana Mączyńskiego).

Na koniec coś bardzo ważnego. Otóż obok *szaty, szat* funkcjonują w mowie śląskiej jako „ubiór, strój, odzienie” takie jeszcze słowa, jak *obleczynie, łobleczynie, oblyk i łachy* – z wyjątkiem ostatniego utworzone od pięknego śląskiego archaizmu czasownikowego *oblykać się, łoblykać się* „ubierać się”. Dawność tego czasownika dźwięczy szczególnie w typowo śląskich brzmieniach *seblyc się, seblykać się* „rozebrać się, rozbierać się” z archaicznym – pierwotnie bezdźwięcznym – przedrostkiem „s-”, takim jak w charakterystycznym szeregu *sjechać, swalić, ślecić (ślecieć), słożyć, smówić* – „zjechać, zwalić, zlecieć, złożyć, zmówić”...

# Powrót kozła ofiarnego

RYSZARD TWARDOŃ

*To nie różnica staje się przyczyną obsesji prześladowców, lecz jest nią właśnie jej przemilczane przeciwieństwo: zatarcie się różnicy.*

René Girard

Od niepamiętnych czasów człowiek przejawia żywą, niejednokrotnie nieuświadomioną i aktualną po dziś dzień skłonność oraz „dar” obciążania winą za zaistniałe nieszczęścia i kłopoty wszystkich – tylko nie siebie samego. Można rzec, że ludzie uwikłani w dramatyczne wydarzenia i przeżycia zachowują się często tak jak owi marynarze w ewangelicznej mateuszowej opowieści o Jonaszu, którego, „desygnując” na ofiarę, w celu uniknięcia groźnego żywiołu i niebezpieczeństwa, wrzucają do morza. Bezsilni wobec niepokoju, niepewności i nadchodzącego sztormu ujawniają gotowość przzerwzenia odpowiedzialności. I czynią to przekonani o jego „winie”. Ta składana „na morzu” ofiara jest nie tylko „ofiara” w zwyczajnym słowa znaczeniu – los Jonasza jest „kozłem ofiarnym” symbolizującym „kolektywnie składaną – powiada Girard – ofiarę” (René Girard, *Kozioł ofiarny*, Warszawa 1987, s. 170). Tutaj ponad czynnik naturalny, oddalony, niejasny i trudno pojmowalny, przedkłada się przyczynę złożoną ze społecznie znaczącej osoby.

Ta „prymitywna”, „naturalna”, ludzka, można rzec, słabość, nieporadność wobec życia i niecierpliwa potrzeba wywabienia od nękających problemów i zagrożeń przez stereotypowe „kozły” jest zasadą, zdaniem Girarda, uniwersalną i transhistoryczną. Uwyraźniła swoje oblicze i grozę już wielokrotnie w czasach kulturowego, społecznego i politycznego rozprężenia, w których to najważniejsze autorytety i reguły postępowania, jak i zasady moralne, utraciły znaczenie i kredyt zaufania. Użyła już wielokrotnie tego typu „ofiarniczek” wyobraźni, która każe wymyślać ludziom zatrucie rzek czy studni przez budzące lęk (z perspektywy historycznej patrząc) zjawiska czy „podejrzane” mniejszości etniczne lub religijne w czasie epidemii czy wojny. A z wcześniejszych wydarzeń – wyobraźni, która rozwijała oskarżycielską działalność i wynajdywała rytualne dzieciobójstwa pierwszych, pochodzących z niższych klas społecznych chrześcijan, żyjących we wspólnotach w imperium rzymskim. To również dotyczy skażonej „syndromem kozła” współczesnej umysłowości, która nie pojmując świata: jego przygodności, złożoności i nieprzewidywalności, uznaje migrantów, bezrobotnych, żydów czy finansowych krezusów jako sprawców własnej biedy i niedoli.

Etnolodzy mówią o magicznej, władczej i nieprzejednanej przyczynowości, zapowiadającej późniejszą przyczynowość naukową. Filozofowie, psychologowie i socjologowie o kłamliwym i prześladowczym wymiarze zbiorowego i indywidualnego życia, pełnego niejasności, przesądów, zakłamań, intrygi i ignorancji oraz nietolerancji wobec słabszych i Innych, poprzez które takie zdarzenia i doświadczenia się przejawiają. Z punktu widzenia historycznej antropologii i filozofii Girarda istotą takiego zachowania jest wywołane przez kryzys kolektywne prześladowanie wyróżniających się religijnych czy kulturowych indywidualiów przez dominującą i lepiej zorganizowaną wspólnotę. Girardowi mówiącemu o dyskryminacji wobec zintegrowanych mniejszości czy etnicznych grup nie chodzi z całą pewnością o rozszyfrowywanie i utwierdzanie znaczenia „kozła ofiarnego” jako religijnego reliktu bądź ludowego pospolitego zabobonu, od którego nowoczesna myśl, pełna wzajemnego oskarżania o skłonności prześladowcze,

miała raz na zawsze nas uwolnić. Wedle filozofa prawdziwy sens i znaczenie „kozła ofiarnego” leży nieporównywalnie głębiej, a mianowicie w ramach antropologicznej idei odsłaniającej unikalną, czystą i dyskryminującą strukturę, w której on (kozioł) sam jest niedostrzegalny, choć przyczynia się każdorazowo do wytworzenia prześladowczych poczynań i znaczeń – do zadziałania „efektu ofiary”. Tak więc jeśli odwołujemy się do pojęcia kozła ofiarnego musimy najprzód odpowiedzieć sobie na pytanie, czy mamy do czynienia – powiada autor *Le Bouc Emissaire* – z kozłem tekstu jako „ukrytej zasady tworzącej strukturę” czy też z „kozłem ofiarnym w tekście” (s. 173), poprzez którego temat niewinnej ofiary został bez ociągania uwidoczniony i nazwany po imieniu.

Istotą drugiego pojęcia jest wywołane przez kryzys prześladowanie jednostek bądź grup religijnych i kulturowych przez lepiej zorganizowaną i dominującą wspólnotę. Jego pełnym przykładem są, wedle Girarda, Ewangelie, w których mówi oficjalnie o Jezusie jako „kozle ofiarnym”, czy ściślej: „o baranku Bożym” wszystkich proroków pomordowanych lub prześladowanych w Starym Testamencie. Opisana w Ewangelii jezusowa ofiara, jedyna i ostateczna wedle słów św. Pawła, i ześrodkowana na niej bezpodstawną niechęć oraz niesprawiedliwy sąd – ujawniła uniwersalny proces ukonstytuowania się z udziałem tłumu „nowej władzy”. Zbiorową przemoc na skupiającej na sobie niechęć otoczenia osobie – tej ofiary pojednawczej, zaprowadzającej porządek w zagrożonej rozpadem strukturach władzy i wiedzy – uważa Girard za genezę ponadczasowego *pryncypium historicum* – mechanizmu fabrykującego mity założycielskie, prześladowcze rytuały i transcendentalne religie i kraje. Owa „fabrykacja” składa się, ogólnie mówiąc, z początkowego i bezwzględnie oskarżenia jakiegoś indywidualu czy mniejszości o czynienie zła i późniejszego pozytywnego przekształcenie ich w ofiarnicze sacrum wywołane pragnieniem spokoju i pojednania wspólnoty. Podążająca się normom kolektywnym ponadindywidualna zasada założycielskiej władzy oddaje najpełniej zdaniem historyka Kafaszowa „ideologiczną” i zinstytucjonalizowaną zasadą, mówiąca, że „lepiej jest dla was, gdy ten człowiek lub tamci ludzie umrą za lud, niż miałby zginąć cały naród...” (s. 169).

Ale tylko w pierwszym przypadku, a takim są w pełnym „ofiarniczym” słowa tego znaczeniu mity, możemy mówić o „efekcie kozła ofiarnego”, którego sens – powiada Girard – „nie określa (...) ani żadnego rytuału, ani żadnego tematu, ani żadnego kulturowego motywu, lecz nieuświadomiony mechanizm przedstawień i działań prześladowczych – mechanizm kozła ofiarnego” (s. 177). Poda jako przykład opowieść o Hiobie i tekst o Królu Edypie. W umysłowości ofiarniczej o wyborze Edypa jako ofiary decydują nie jego zbrodnie, które mu się przypisuje i które czynią go za nie odpowiedzialnym, lecz przekazywane zdaniem antropologa w literackim dokumencie stereotypowe prześladowania i stygmatyzujące właściwości. To one kierują „z ukrycia” prześladowczymi kryteriami i ofiarniczymi działaniami, które autor „wierne przekazuje, bynajmniej nie dlatego, że chce nas pouczyć, ale dlatego że nie podejrzewa – powiada Girard – ich rewelatorskiego znaczenia” (s. 42). Ułomność cielesna Edypa, status obcokrajowca, parweniusza, zaraza w Tebach i przypisywane mu kazirodztwo i ojcobójstwo – czas tragedii i osobę Edypa wypełniają głęboko niepokojące – zewnętrzne i wewnętrzne – semantyczne i moralne krańcowości. To one razem czynią z niego prawdziwy konglomerat znaków oskarżycielskich i odróżnorodniających, tworzą z osobowej Inności





zaraźliwą anormalność, z wymagowanych czynów – czyni wiarygodne, z neutralnych cech charakterologicznych i cielesnych – cechy głośno wołające za realną przemocą otoczenia, wypędzeniem czy śmiercią.

Nie chodzi rzecz jasna o rzeczywiste „edypowe winy”, lecz o myślenie instynktowne, ofiarniczo-deprecjacyjne, dla którego „każdy patyk okazuje się być strzałą” i wszelki Obcy objawia się jako z góry niosący niebezpieczeństwo, niepokój i rozkład zastanej struktury Wróg. Jak podkreśla wielokrotnie badacz, chodzi o myślenie, którego traumatyczne działanie polega na zogniskowaniu – z antropologiczno-psychologicznej perspektywy patrząc – niechęci na jakimś zastępczym, nieprzychylnym i sprowadzającym rzekomo nieszczęścia odmieńcu, wybieranego nie na podstawie przypisywanych mu występów i rzekomych przewin, lecz na podstawie posiadanych oskarżycielskich stygmatów. Charakterystyczne dla „ofiarniczego systemu myślenia”, o którym pisze Girard, jest zatem to, iż spotykamy się tutaj z rodzajem „wytypowania” winnego zagrożeń, a nie próbą wyprowadzenia argumentów i racji z rzetelnej, zaangażowanej analizy kryzysowej sytuacji. Obcujemy innymi słowy nie z pragnieniem odkrycia prawdziwych źródeł rozpadu układów społecznych, politycznych czy międzyludzkich, lecz z potrzebą odwołania się do przyczyny rozpowszechnionej i predystynowanej do „wytypowania” znaczącego pod względem narodowym, cielesnym czy religijnym „Winnego”. Myślenie, któremu w warunkach kryzysowych brak jasnych kryteriów oceny, tego, co się wydarza, i możliwości oddziaływania na przyczyny wydarzeń, sięga zawsze po przyczyny najbardziej „dostępne” i „najoczywistsze” – po sprawdzone i wielokrotnie przywoływane do tablicy „ucieleśnione” ofiary będące w zasięgu prześladowczego „wzroku” czy „zwyczaj”. Wytypowane „oskarżycielskich” Winnych służą mentalności prześladowczej za rodzaj złowrogię i jednocześnie dobroczynnego alibi. Złowrogię, albowiem wyselekcjonowany „podejrzany” czynnik czy wcielony osobnik wskazuje automatycznie na źródło niepowodzeń, domagając się fizycznego bądź choćby tylko symbolicznego, językowego zadziałania. Dobroczynnego: jednostka czy grupa w momencie odzyskania spokoju i równowagi, niechby tylko chwilowej i pozornej, zaczyna postrzegać ów wytypowane i wyróżnione indywiduum jako zalegalizowane działanie. Jako „uwalniający” od brzemienia nieszczęścia i przywracający ład „nadprzyrodzony czynnik”, dzięki któremu lęk i frustracje doznają zastępczego rozładowania i zaspokojenia.

Z charakteru powyższych Girardowych uwag jedno zdaje się pewne: indywiduum czy grupa wybiera swoje „ofiary” zazwyczaj z określonych środowisk społecznych, etnicznych, religijnych, wyszukuje z określonych ofiarniczych właściwości i fizycznych stygmatów, którym, gdy narzucające się mo-

ralne kalectwo lub cielesne anomalie są prawdziwe, skłonna jest również przypisywać – jak to pokazał filozof – złe zamiary, nieprawomyślność czy działalność społecznie szkodliwą. W systemie „kozła ofiarnego” nie mamy więc do czynienia z racjonalnym wyjaśnieniem zaistniałego kryzysowego problemu, które, gdyby je podjąć, mogłyby niechętnie odsłonić prawdziwe kulisy zdarzeń i motywy postępowania. Obcujemy tutaj z rozwiązaniami zastępczymi i działaniami o charakterze „zapobiegawczym” i, by tak rzec, „terapeutycznym”, działającymi spontanicznie i w imię wyższych celów, najczęściej bez udziału krytycznej świadomości, rodzącymi się w ciemnej przestrzeni transgresyjnego przesilenia oraz społecznego rozchwiania.

Niezwykle trudno byłoby ustalić – zauważa Girard, analizując mity, historyczne teksty i egzystencjalne sytuacje – jakąś definitywną granicę pomiędzy dyskryminacją zasadną a arbitralnym prześladowaniem, towarzyszącą procesowi odróżnienia i deprecjonowania sprowadzającej na wspólnotę zło ofiary. „Kryterium selekcji ofiar” w systemie „kozła ofiarnego” ustanawia zdaniem filozofa wartość średnia, która uchodzi w dotkniętej kryzysem społecznej strukturze za normę, gdy wszystko inne dookoła staje się anomalią, nacechowaną czy potencjalną prześladowczą jakością. „W miarę oddalania się od statusu większości – obojętnie w jakim kierunku – rośnie – doda – możliwość prześladowań” (s. 30). Jest też tak, że „wszelkie krańcowości ściągają na siebie od czasu do czasu – podkreśla – kolektywne gromy: nie tylko skrajna zamożność, ale i ubóstwo, lecz także skrajny sukces lub porażka, piękno i brzydota, rozwiążłość i cnota, krańcowa umiejętność podobańca się oraz niepodobańca. Nie tylko bezradność kobiet, dzieci i starców, lecz także siła mocarzy staje się słabością wobec przeciętności” (s. 31). Można to najlepiej zobaczyć na przykładzie ciała, które zdaniem Girarda stało się – obok religii i kultury – tą nierozdzieloną, stereotypową „ofiara” w rozwiązywaniu niepokojące zjawisk i społecznych zakłóceń. W mitologiach i literaturze oraz opowieściach folklorystycznych roi się różnorodnych ciał: od kulawych, jednookich, jednorękich, ślepych i różnego rodzaju ucieleśnionej konfundującej ułomności. Mamy obfitość zarażonych, grubych, niezdrowych i piegowatych. Włączone w różne intersubiektywne, komunikacyjne i symboliczne sytuacje jak i psychosocjologiczne interakcje, pochodzące z różnych klas, grup, anatomicznej substancji, ciało okazuje się nosicielem potencjalnych – afirmacyjnych czy też oskarżycielskich – stereotypów ofiarniczych.

Doświadczenie uczy, że wyróżniające się cielesnie jednostka, czyli ktoś o narzucających się fizycznych anomaliami, osoba gruba, posiadająca piegi, krosty czy też cicha i trzymająca się dodatkowo na uboczu, ma większą szansę skupienia

na sobie paranoicznych i wrogich podejrzeń i uczuć Innych. Wszystkie cechy i anomalie ludzkiego ciała, ze względu na jego kolor, wygląd czy anatomiczne anomalie, w szkole, internacie czy na podwórku, gdzie definiowanie jednostki poprzez ciało jest szczególnie silne, mogą stać się – powie Girard – owym Wittgensteinowskim „guzem” na zdrowym ciele społecznym, otwierającym pole do szykanującego nazwania i zbrojnej, lingwistycznej czy fizycznej, napaści na przynoszące niepokój i destabilizację ucieleśnione indywiduum. Wszystkie specyficzne fizyczne stygmaty, wcielające się w jednostce w kalekość czy ułomność wołają odwiecznie „o prześladowanie”. Stają ową stereotypową wcieloną „tarczą strzelniczą dla większości”, pozwalającą skutecznie odnaleźć w cielesnych oznakach odmienności czy też monstrualności Innego i Obcego pokrewieństwa z realnym kryzysem.

\*

Można by pomyśleć, że system ofiarniczego myślenia i postępowania, tak jak opisał to René Girard, skapitulował we współczesnym, „rozpsychologizowanym”, postępowo myślącym i „uduchowionym” oraz nowoczesnie zorganizowanym świecie. Zdezaktualizował się w ideowym przesłaniu i treści. Zbyt wiele przykładów i oczywistych dowodów niewinności licznie prześladowanych, którzy „nie różnili się tak jak trzeba”, dostarczyła nam historia i kultura, z jej najślawniejszych, represjonowanymi kozłami: Jezusem, Sokratesem i Anty-

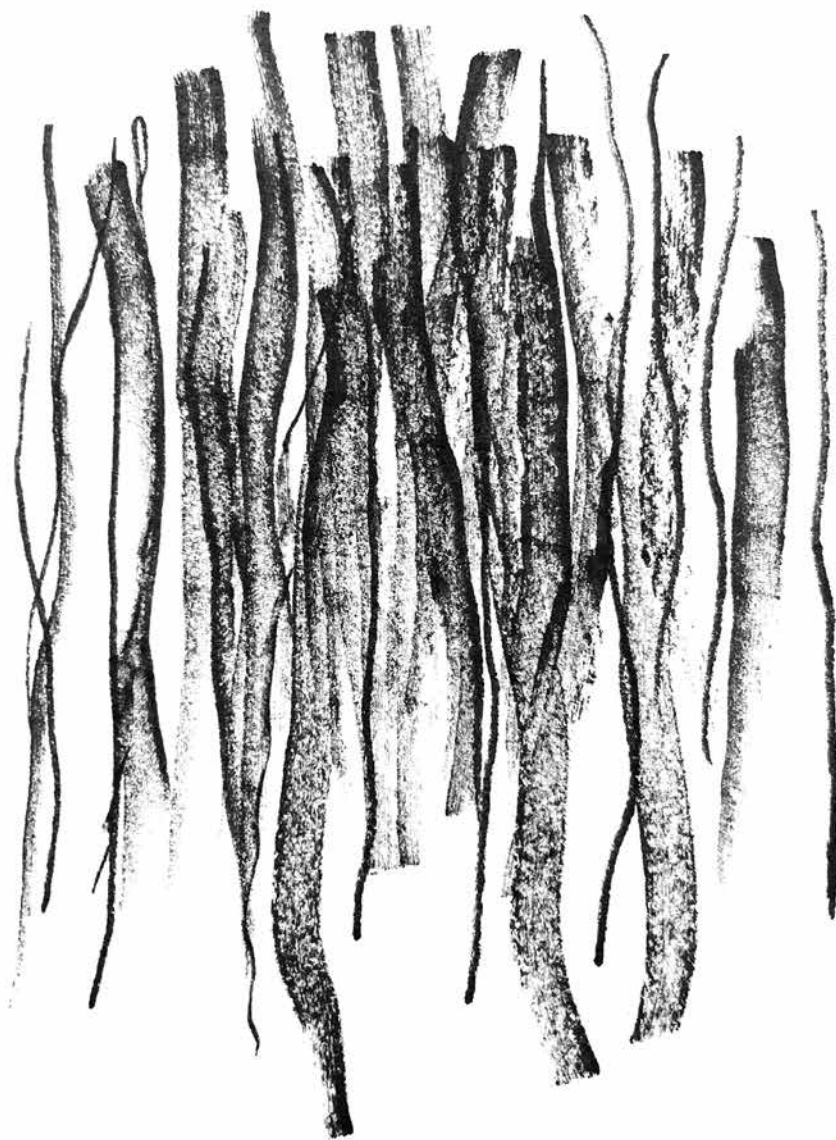
goną. Które sprawiły, że „perspektywa prześladowcza” posługująca się dyskryminacyjnymi kryteriami i retoryką prześladowczą utraciła swą aksjologiczną ważność oraz poznawczą skuteczność jako prawdziwej siły umożliwiającej funkcjonowanie społeczności. W czasach współczesnych uwidoczniła i potępiona niejednokrotnie przez krytyczne umysły i prawo, które ujawniły analogiczne oskarżycielskie fenomeny i przykłady przemocy określane jako „polowania na czarownice”. Również współczesne myślenie, szczególnie naukowe, ukierunkowane w stronę poszukiwania przyczyn naturalnych i racjonalnych, zyskuje w świecie coraz bardziej na przewadze „nad odwieczną preferencją przyczyn znaczących pod względem stosunków społecznych, które jednocześnie są – podkreśla Girard – przyczynami podatnymi na interwencję korekcyjną, innymi słowy na efekt ofiary” (s. 142).

A jednak myślenie spod znaku „Kozła ofiarnego” nie złożyło broni! Mechanizmy ofiarniczego myślenia i oskarżenia reprodukcją się w czasie, w swej „naturalnej” przetrzności i nieświadomości własnej reprodukcji, wracają, powołując do życia rozmaite deprecjacyjne zachowania, wojownicze ideologie oraz szowinistyczne ruchy i zapędy. Proces przekształcania przestrzeni społecznego życia i sensu w prześladowczo ustrukturyzowany i wybrukowany kolektywnymi prześladowaniami jest obecny i we współczesnym świecie. Aby sobie uzmysłowić, iż mamy do czynienia z czymś aktualnym i wspólnym ludziom zachowaniem, wystarczy nieuprzedzo-

nym okiem spojrzeć wokół siebie i w siebie. „Sąsiad”, „obcokrajowiec”, „niedobry szef”, „brak szczęścia”, „zła praca”, „pochodzenie”, włącznie z osławioną „pogodą” i „ciałem” - któż z nas nie pamięta i nie zna owych myślowych praktyk i działań obarczających odpowiedzialnością zastępczy „obiekt” za zaistniałe kłopoty i niesprzyjające życiu przeciwności...? Wymienione elementy i oskarżenia są charakterystyczne dla sposobu, w jaki rozprężone i zatrwożone myślenie już zawsze postrzega swoje ofiary, w których obecne są – jeśli się im dokładnie przyjrzeć – ofiarnicza etyka, mistyczna odpowiedzialność i toksyczna wyobraźnia.

Wbrew wszystkiemu, wbrew upływowi czasu i postępowi cywilizacyjnemu, zainfekowany myśleniem ofiarniczym człowiek poszukuje, tak jak poszukiwał przed wiekami, „ofiarnych kozłów”, wyjaśniających przyczynę własnych niepowodzeń, lęków, jak i niepokojących wydarzeń. Jak zauważa Girard „już samo słowo *anormalny*, podobnie jak w średniowieczu słowo *zaraza*, ma posmak tabu; jest zarówno dostojne jak przekłete, *sacer* w każdym sensie tego słowa. Mniema się, że bardziej przystoi używać słowa *handicap*, zapożyczonego z angielskiego. Owi *niepełnosprawni* ciągle jeszcze są obiektem ocen sensu stricte dyskryminujących i ofiarniczych, niewspółmiernych z zakłóceniami, jakie może wywołać ich obecność w procesach społecznej wymiany” (s. 29). Unoszące się ponad stworzonym przez technikę, kulturę

rys. Agata Gromada





i logikę, racjonalność i krytyczny namysł postnowoczesnym światem „ofiarnicze myślenie” oddaje się swoim namiętnym, impulsywnym wzlotom oraz ksenofobicznym działaniami po dziś dzień. Pojawiło się w ostatnich latach nie tylko w formie zmobilizowanego i bezwzględnie oceniającego tłumu, lecz w postaci diabolicznych oskarżycieli i dyktatorów, posługujących się kłamstwem, cielesną eksterminacją czy bezzasadną obsesyjną nienawiścią wobec etnicznych innych – rzekomych nosicieli zła i porażek.

Fala etnicznego i religijnego krwiożerczego ludobójstwa przetaczająca się przez XX wiek, dostarczyła już dowodów istnienia tyranów skażonych „efektem ofiary”, tęskniących za bezwzględnym rozwiązaniem i wybawieniem od zagrażających wspólnotowej egzystencji niepokojów oraz dramatycznych spraw. Brutalną „ekspulsję ofiar” można zaobserwować w całym tragizmie i przerażeniu obecnie. Ostatnie wydarzenia na Ukrainie pokazały, że „nastawienie ofiarnicze” powróciło z pełną okrucieństwa mocą i prześladowczą przemocą, osiągając podobną historyczną agresywność i nieprzejednany ksenofobiczny terror. Stając się głuche i ślepe na wymóg etyczny, odrzucając troskę o tolerancję, odpowiedzialność, o zrozumiałość i sprawiedliwość wypowiedzianego słowa i czynu, swój krwiożerczy spokój i pojednawczy ład, osiąga poprzez bezwzględne działania separacyjne i deportacyjne, likwidatorskie i militarne. Napadając na sąsiadów i ustanawiając życie oparte na krwawej etnicznej przynależności, izolując i piętnując, odsłoniło groźbę panowania ancestralnej magicznej przyczynowości. Nie zważając na obowiązujące prawa i ducha prawdy, na racjonalność i analityczną rzetelność, ofiarniczy dyskurs „gorliwie” i „obsesyjnie” rozdziela społeczną i kulturową różnorodność i inność na rodzającą się wrogość, brak zaufania i konflikty, zantagonizowaną oksymoroniczną przestrzeń „naszych” i „obcych”, na „równych i „równiejszych”, na „dobrych” i „złych”, „ciemieźców” i „ciemieźonych”.

Czy to w aktywności naukowej, społecznej, politycznej czy też aktywności naszego codziennego życia, René Girard odsłonił i opisał żywą po dziś dzień człowieczą niechęć do poszukiwania naturalnych racji i rzeczywistych wyjaśnień; ukazał rezygnację ludzi z wysiłku poszukiwania prawdziwej wiedzy na rzecz wyselekcjonowanych schematów, bipolarnych pojęć, jak i magicznych określeń i działań. Myśl magiczno-ofiarnicza poszukuje na płaszczyźnie stosunków społecznych sygnitywnych odpowiedzi i przyczyny. Dopuszczając „interwencję korekcyjną” poszukuje ludzkiego kozła ofiarnego – maga, który by skorygował rzeczywistość (s. 81). A przecież, chce jakby powiedzieć Girard, powody zaistniałego problemu czy konfliktu mają miejsce najczęściej w nas samych: w moim czy twoim powierzchownym myśleniu i postępowaniu: w poznawczych ograniczeniach, w pozbawionym logiki wnioskowaniu i dziejącym się bez udziału wyostrzonej świadomości i etycznej wrażliwości rozumieniu – ofiarniczym rozumowaniu czyniącym wyborem zastępczej ofiary już zawsze z niego samego nieświadomego prześladowcę. Wybór „ofiary” w aktywności poznawania i działania potwierdza ich rzekomą prawdziwość, ale ujawniając się jako epistemologiczna i moralna prawda obnaża swoją irracjonalność i kłamliwość, gdyż odpowiedzialność wytypowanej ofiary za zło, krzywdy czy nieszczęścia unoszące się nad społecznym światem jest nonsensem i niedorzecznością. Jej wybór pokazuje jasno, że znalazła się ona tam za sprawą rządzącego „z ukrycia” mechanizmu kozła, fundującego i decydującego o rodzaju, kształcie i treści naszego myślenia i postępowania.

Mówiąc o dyskryminacji wobec niewystarczająco zintegrowanych mniejszości czy etnicznych odróżniających się grup autor *Kozła* mówi o tym, że to nie różnica i heterogeniczność przenika historyczne dzieje i bycie społeczne, lecz zanik różnorodności i inności kultur, w których najdrobniejszy element tej „inności” przeżywane jest przez zakorzenione w kulturze osoby jako jedynie prawdziwe, niepowtarzalne

i „niewyczerpalne” dobro. Wszystko, co zagraża owej wierze, „owemu złudzeniu przeraża nas i wzbudza odwieczną – powiada francuski antropolog – skłonność do prześladowań” (s. 35). I doda: „Owa skłonność zawsze idzie tą samą drogą, niezmiennie realizuje się poprzez takie same stereotypy, zawsze stanowi odpowiedź na to samo zagrożenie. Wbrew wszystkiemu, co się na ten temat mówi, to nie różnica staje się przyczyną obsesji prześladowców, lecz jest nią (...) przemilczane przeciwieństwo: zatarcie się różnicy” (s. 35). Odkrycie przez francuskiego antropologa „ukrytego mechanizmu kozła” opartego na wartościujących i prześladowczych oskarżeniach i stygmatach ostatecznie pokazuje, że to wywołany w łonie społecznego czy kulturowego systemu poprzez mimetyczne naśladowanie brak różnicy zmusza człowieka do poszukiwania „kozłów ofiarnych” służących rozładowaniu lęków i napięć – do wytwarzania, opartego na kategoriach ofiarniczym, nowego ładu.

Tak więc „to nie ich własną inność wyrzuca się mniejszościom religijnym, etnicznym, narodowym, lecz fakt, że nie różnią się – powiada Girard – tak jak trzeba, a w krańcowym przypadku nie różnią się wcale. Obcokrajowcy nie są zdolni do respektowania „prawdziwych” różnic; albo nie mają prawdziwych nawyków, albo właściwego gustu; niewłaściwie pojmują inność jako taką. *Barbaros* to nie indywidualizm mówiące innym językiem, lecz mylące jedynie rozróżnienia rzeczywiste znaczące, rozróżnienia języka greckiego. Wszelkie słownictwo dotyczące uprzedzeń plemiennych, narodowych itp. wyraża nienawiść nie do różnicy, lecz do jej braku. To nie inne *nomos* widzi się w innym, lecz anomalię, *nie inną normę, lecz anormalność*; ułomność staje się szpetotą; obcokrajowiec – apatryda” (s. 35).

Ta „ludzka” potrzeba stygmatyzacji oraz dyskryminowania społecznej inności i odmienności czyniona w celu odzyskania szybkiego i łatwego spokoju, bezpieczeństwa i porządku, posiada jedną – z wielu innych – podstawową wadę: człowiek rezygnując z trudu rzeczywistego rozumienia oraz woli rozwoju uwięziony zostaje w zaklętym kole *sacrum* i *fatum* – popada w mit wiecznego, zauważa Girard, powrotu. Kto nie jest gotowy uważnie i odpowiedzialnie uświadamiać sobie możliwych następstw własnego myślenia i postępowania, ten nie jest zdolnym do prawdziwej odpowiedzialności. A tam, gdzie odpowiedzialność zrezygnowała z siebie, życie skazane zostaje na ciągłą uległość wobec stereotypowej przemocy tego archaicznego myślenia. Ażeby pobudzić osoby do autentycznego poznania, do życia w prawdzie i odpowiedzialności wobec złożoności świata i życia, trzeba najpierw nakłonić ich do cierpliwej i pogłębionej eksploracji przyczyn naturalnych. Trzeba wyrwać z fatalistycznego, błędnego kręgu myślenia i odciągnąć oskarżycieli od niewinnych ofiar.

Myślenie i działanie odpowiedzialne to myślenie wyrażające bezapelacyjną gotowość podjęcia trudu prawdziwego poznania i poręki za poznane i pomyślane, za wytworzone przez siebie fakty i rzeczy, wyrażone sensy i słowa. To myślenie wrogo nastawione do „gotowych odpowiedzi” i prostych konkluzji. Jego zamiarem jest postrzegania szczegółów i złożoności społecznego i indywidualnego życia. Jego celem jest „zamiana uproszczonych kłamstw na skomplikowane prawdy i reagowania na świat ludzki, jakim on w rzeczywistości jest, bez sentymentalizmu” (Roger Scruton). Każdorazowe reaktywowanie w życiu „myślenia ofiarniczego” to podtrzymanie tej „straszliwej skłonności ludzi połączonych w grupy do rozlewu – pisze Girard – niewinnej krwi w celu ponownego scalenia ich wspólnoty. Prześladowcy starają się pogrzebać wszystkich zabitych w grobowcach prześladowczych przedstawień, zaś im więcej męczenników umiera, tym owe przedstawienia są słabsze, a świadectwo bardziej dobitne. I właśnie dlatego w przypadku wszystkich niewinnych ofiar używamy zawsze terminu „męczennik”, co znaczy świadek, bez względu na różnice wierzeń i doktryn, tak jak to zapowiada ją Ewangelie” (s. 305).



**Sześciany**

Budzę się wśród sześcianów  
 jestem w jednym  
 otoczony przez nie  
 z południa, północy, wschodu i zachodu  
 jak również pod i nad sobą  
 nie odpuszczają nawet po przekątnej  
 wszędzie kolejne bliźniaki  
 zawieszony w przestrzeni pomiędzy nimi  
 jak i w nich  
 wnikają w ciało  
 płaczą się we włosach  
 oczy jeść te bloki zaczynają  
 na każdym kroku  
 a usta rozchylone  
 patrzą na ich brzydotę  
 wielka niemoc  
 w walce z nimi  
 nie można zepsuć  
 czy nawet wysadzić  
 A ja chciałbym tak je ociosać  
 by kształtem były ostrosłupami  
 pospadały z siebie  
 każdy leżąc osobno  
 ze swoją działką  
 bramą, ogrodem i numerem  
 by zło ucisku  
 zostało zniszczone

**Kolej**

Ten piskliwy dźwięk  
 zwiastuje twą obecność  
 inni Cię tylko wykorzystują  
 ja kocham w całości  
 od błyszczącego metalu,  
 który całować mógłbym bez liku  
 poprzez wysokie napięcia  
 tak blisko mnie wytwarzane  
 nikt nie jest godzien  
 potęgi twojej masy  
 od Ciebie tak wiele zależy  
 Miliony pieniędzy,  
 ważne spotkania,  
 niejedna miłość,  
 mnogie uroczystości  
 i czas  
 opóźniony lub przyspieszony  
 jak bardzo chciałbym raz  
 usiąść na twojej twarzy  
 poprowadzić tę całą grę  
 pomiędzy dwoma punktami  
 na mapie twych połączeń  
 nie tylko nerwowych  
 doznać twojej potęgi,  
 która dałaby  
 największą przyjemność  
 jaką mógłbym osiągnąć  
 lecz na razie siedzę  
 w pokoju  
 z pluszowymi ścianami po każdej stronie.

\*\*\*

*Zespołowi Tears for Fears*

Jest takie dziecko siedzące na skale  
 bez mamy i taty  
 podziwia po raz pierwszy,  
 tak piękny zachód słońca.  
 Wdrapał się tą trudną trasą  
 po ucieczce  
 nigdy nie widział tak cudownego miejsca.  
 Podśpiewuje sobie:  
 la la la la la la la la la la  
 Tą drogą nie przejdzie już dziś żaden turysta.  
 Dziecku jest coraz zimniej i potrzebuje się ogrzać.  
 Potrzebuje koca  
 miejsca na noc  
 ciepła domowego.  
 Położy się na trawie,  
 gdy już słońce zajdzie.  
 Odda się mrokom nocy,  
 nie tak strasznych tutaj dla niego.  
 Potrzebuje akceptacji  
 domu  
 swojego miejsca na świecie.  
 Znalazł je.  
 Gdy jutrzejsi turyści znajdą jego martwe ciało  
 zobaczą,  
 że umarł uśmiechnięty  
 Śpiewając:  
 la la la la la la la la la la

**Z wybranką**

W końcu jesteś z nią  
 wybranką  
 sam na sam  
 stojąc nago  
 możesz to zrobić  
 delikatnie pieścisz skórę  
 czujesz ciepło pod ręką  
 przed sobą mając piękność  
 intensywniejsze ruchy  
 szersze posunięcia  
 impulsywne drgania  
 przesywające podrygi  
 z przyjemności  
 oczy idące do góry  
 lecz wciąż wpatrzone w wybrankę  
 coraz szybciej  
 coraz mocniej  
 cały pulsując  
 doznajesz nieziemskiej rozkoszy  
 pozostało tylko  
 zetrzeć spernę  
 z tafla lustra.

**Niekontrolowany**

On znów zamknie za sobą drzwi,  
 swoją skórę pozostawiając na zewnątrz.  
 Ogołocony do mięsa i kości  
 nie zaparza herbaty, którą tak lubi pić i innych.  
 Wejdzie pod prysznic, by zmyć grzechy  
 popełnione przeciwko postanowieniom.  
 A gdy zbyt gorąca woda będzie pieścić jego wnętrze,  
 on to samo będzie robić umysłowi,  
 katując go co szczęśliwszymi wspomnieniami.  
 Wszystkie związane z nią.  
 Zagłuszyć je mogą tylko dźwięki.  
 Znów podda się wpływowi tej mieszaniny.  
 Nie wiedząc kiedy zaczyna podrygiwać.  
 Wpada w istny orgazm z rozpaczą.  
 Znów stracił kontrolę nad sobą.  
 Woda cały czas płynie, podobnie jak łzy z jego oczu.  
 W końcu trzeba ją zakręcić.  
 Ubrać zrzucony mięsisty strój  
 i wrócić do społeczeństwa.

**Powietrzny**

Na pięknej łagodnej łące  
 stoimy wpatrzeni w niebo.  
 Spójrz jak na horyzoncie coś leci,  
 zbliża się do nas coraz bardziej.  
 Wielki to ptak, szybuje niczym orzeł.  
 Wyjść z podziwu nie możemy,  
 nad jego majestatycznym lotem.  
 Smutno się robi patrząc,  
 jak swoimi skrzydłami odbija światło.  
 Wiedząc że za chwilę  
 przeniesie nas do krainy  
 pyłu i ciemności.

## Zemsta pochodni

Niech ziści się kiedyś takie święto  
gdzie okrutnik zazna zadanego bólu  
z rąk swego oprawcy.  
Niech Wergiliusz wyciągnie z odmętów grzesznika,  
którego winą było zadanie zła drugiemu człowiekowi.  
A za najgorszą zbrodnię  
uznane zostanie milczenie.  
Powstaną pochodnie  
te z numerami i bez.  
W obecności wielu świadków, prawie 100 tys.  
świętować będą dożynki ukończenia żniw śmierci  
Największą karę będą ponosić Ci,  
którzy nie będą o nich mówić,  
a uznawać za objawy szaleństwa.  
Wydający wyrok o zakazie informowania  
będzie w pierw rąbany toporkiem  
na wysokości kości ogonowej.  
Później przez dusze płonących  
naciągnięty na pal i postawiony.  
Oblani rozpuszczalnikiem i podpaleni  
Wyglądając jako żywe pochodnie.  
Na trybunach siedzieć będzie Neron.  
Jako forma tortury, przed uczynieniem  
tego samego i z tym okrutnym tyranem.  
Nikt nie odleje maski ofiarom tych igrzysk,  
gdyż zostanie z nich ledwie garstka popiołu  
Rozdeptana i opluwana przez żądny zemsty tłum.  
Sumienia ich, których brak im było na Ziemi,  
Cierpieć w odpowiednio niskich kręgach będą.  
Tak wszystko będzie wspaniałe i godne  
dobre i sprawiedliwe.  
Dzieło samospalonych zostało spełnione,  
zemsta dokonana  
i nie zapomniana.  
Ich krzyk  
został usłyszany.

rys. Bogna Skwara



## Pusty

Pewnego razu  
w kiwającej się głowie  
zapadnie już tak wielka pustka,  
że nie będzie dało się jej wypełnić niczym.  
Odzywając się do siebie samego  
próbujesz zapełnić samotność  
Nie przychodzi do ciebie nikt,  
ani ty do żadnych ludzi.  
Wyobrażałeś sobie wyidealizowany obraz rzeczywistości  
i nieskutecznie ją tworzysz.  
Sił już prawie brak.  
Z każdym zawodem boli coraz mniej,  
a pusto coraz bardziej.  
Już tylko ciało zdolne do kiwania się,  
w rytm ostatniej piosenki słuchanej w życiu.

## Ciekłokrystaliczny

Chcę mieć przed oczami  
wielki płaski ekran  
zakrywający cały świat.  
Bez możliwości obrotu głowy,  
ciągle wpatrzony w niego.  
Bez możliwości ucieczki,  
której i tak bym nie chciał.

Wyświetlający  
jedzenie, picie, spanie, ruch,  
smutek, radość, szczęście i miłość.  
Optyczne złudzenie rzeczywistości,  
sterowane dokładnie tak jakbym chciał.  
Najbardziej wymarzony rodzaj życia.

O wielki monitorze świata  
pragnę Cię!

## Daleko w kosmosie

*Davidowi Bowieemu w rocznicę śmierci*

Gdzieś tam daleko  
w naszych marzeniach  
czeka na nas pewien człowiek  
bardzo wysoko ponad chmurami.  
Za niedługo go odwiedzimy  
Wsiadamy w pojazd międzygalaktyczny  
obserwować czas przyszły  
Przy odpowiedniej konstelacji  
zajrzemy i do ogrodów przeszłości  
Tak pięknie spędzonych chwil,  
gdy się dopiero poznawaliśmy.  
Zostaniemy bohaterami,  
którzy najdłużej przetrwali ze sobą  
Później orbitować w jasnych drogach myśli  
Nieprzerwane zawieszenie w przestrzeni  
trwające 5 lat  
Od jednej planety do drugiej.  
Ale najważniejsze  
wylądować na Marsie  
dać potwierdzenie gwiazdnemu człowiekowi,  
że żyje tam miłość.



O tym, że 1 października jest Międzynarodowy Dzień Muzyki, wiedzą dobrze melomani, ponieważ przypominają o nim instytucje artystyczne, zwłaszcza filharmonie, teatry operowe i muzyczne. Natomiast mniej osób wie, że 21 czerwca jest obchodzone Święto Muzyki. Pierwszy raz *Fête de la Musique* odbyło się w Paryżu w 1982 roku. Inicjatorami byli minister kultury Francji Jack Lang oraz kompozytor, dziennikarz i organizator festiwalu Maurice Fleuret. Nazwa jest również związana z zawołaniem **Faites de la musique!** (Róbcie muzykę!). Od tego czasu wydarzenie rozrosło się i odbywa się co roku w kilkuset miastach, w ponad 100 krajach świata. Jest połączone z celebrowaniem pierwszego dnia lata i najdłuższego dnia w roku.

Z 21 na 22 czerwca we Francji nie obowiązują cisza nocna podobnie jak w Sylwestra. Idea polega na uczestnictwie odbiorców kultury w darmowych wydarzeniach muzycznych, odbywających się w plenerze, w przestrzeni miasta. Ma to również zaktywizować do prezentowania muzyki różnych ludzi, zarówno profesjonalistów, jak i amatorów. Chodzi o różnorodność, więc powinna być wykonywana muzyka wszelkiego rodzaju (poważna, jazzowa, rozrywkowa, etno itp.). Wydarzenia odbywają się w przestrzeniach publicznych: na ulicach, na placach, w parkach, bramach, podwórkach, ale także w muzeach, szkołach, szpitalach, więzieniach. Nie pobiera się żadnych opłat za występy, więc jest to działanie społeczne, propagujące powszechne uczestnictwo w kulturze.

Hucznie obchodzono Święto Muzyki w Warszawie w 2000 roku i odradza się w stolicy w mniejszej lub większej formie. Uważam, że Miasto Muzyki UNESCO Katowice powinno przejąć tę ideę. Przypomniała mi o Święcie Muzyki Magdalena Wądołowska-Rabsztyń, która jest skrzypaczką z Wrocławia, a od roku pracuje jako nauczycielka w katowickiej SP nr 11 im. Tadeusza Kościuszki, obchodzącej w tym roku 100-lecie istnienia. W ramach umuzykalnienia w klasie artystycznej (1B), gdzie jest wychowawczynią, zaczęła organizować wyjścia na koncerty do NOSPR-u, prowadzi w plenerze muzykoterapię (treningi relaksacyjne do muzyki klasycznej). Od września uczniowie 2B będą uczestniczyć w cyklicznych warsztatach muzycznych (w ramach Orkiestrowego Uniwersytetu Ludowego), polegających na nauce gry na Cajonach – drewnianych instrumentach perkusyjnych formie skrzyni, wymyślonych przez afrykańskich niewolników w Peru.

Podczas uroczystości 100-lecia na placu SP 11 w czerwcu tego roku odbyły się różne występy artystyczne, ale największe wrażenie wywarł koncert zespołu „The Teachers”, złożonego z nauczycieli. Dyrektor szkoły dr hab. Tomasz Huk grał na instrumentach perkusyjnych (jako profesor na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach jest specjalistą w dziedzinie pedagogiki medialnej, a harcerstwo, muzyka i podróże to jego pasje). Magdalena Wądołowska-Rabsztyń i katechetka Marcela Sporysz grały na skrzypcach, Marcin Placek (dyrektor MDK Ligota) – na gitarze basowej, anglista Artur Swadźba – na gitarze elektrycznej, Anna Grolik (nauczycielka plastyki i muzyki) i intendentka Bożena Krzykała – na instrumentach klawiszowych. Śpiewały nauczycielki religii Aleksandra Brahllich i Iwona Jankowska, Anna Świerczek (nauczycielka wspierająca) i wspomniana Bożena Krzykała. Wszyscy świetnie się bawili. Jeśli uda się zorganizować w przyszłym roku Święto Muzyki w Katowicach, oni z pewnością powinni wystąpić, a muzykoterapię można by realizować na przykład w Parku im. Tadeusza Kościuszki, gdzie pani Wądołowska-Rabsztyń już wypróbowała to z uczniami. Kiedy na jej prośbę skontaktowałem się z rektorem Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, prof. dr hab. Władysławem Szymańskim, natychmiast zgodził się pokazać uczniom klasy artystycznej 21 czerwca najpiękniejsze miejsca w Akademii Muzycznej. Spotkaliśmy się z rektorem w eleganckim holu – atrium Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej (projekt Konior Studio), poszliśmy do imponującej sali koncertowej Symfonia, a następnie zwiedziliśmy w pięknie odrestaurowanym zabytkowym budynku słynną Aulę im. Bolesława Szabelskiego, która była kiedyś (w latach 1922–1929) salą Sejmu Śląskiego. W 2016 roku pieczołowicie ją odnowiono. Wielkie wrażenie robią witraże. Na ścianach widać wizerunki zamku w Oleśnicy, drewnianego kościoła w Mikulczycach, Domu Miar w Nysie oraz ratusza we Wrocławiu. Natomiast słoweńska firma Antona Skrabla zaprojektowała w tej sali nowe organy. Prof. Władysław Szymański jest organistą, kompozytorem i od wielu lat pełni funkcję dyrektora



Dr. Michał Duźniak, Muzeum Organów Śląskich

fol. Krzysztof Korwin-Piotrowski

## Święto Muzyki i Muzeum Organów Śląskich

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Mikołowskich Dni Muzyki, gdzie poprowadziłem kilkadziesiąt koncertów muzyki poważnej. Uczniowie spotkali się też ze znanym i cenionym lutnikiem Arkadiuszem Gromkiem, który opowiadał o budowie instrumentów, prezentował różne rodzaje drewna, a także omówił specyfikę swojej pracy. Jego pracownia znajduje się w jednym z budynków AM przy ulicy Zacisze 4 w Katowicach.

Wspaniałym, a wciąż za mało znanym miejscem, jest Muzeum Organów Śląskich, które zwiedziliśmy z uczniami SP 11. Znajduje się ono w podziemiach zabytkowego budynku Akademii Muzycznej. Oprowadził nas po nim dr Michał Duźniak, organista koncertujący, asystent w Katedrze Organów i Muzyki Kościelnej katowickiej uczelni. Mówił z wielką pasją i ma dużą wiedzę, więc dzieci słuchały go z ogromnym zainteresowaniem. Warto wspomnieć, że wstęp do muzeum jest wolny. Grupy mogą umawiać się telefonicznie na zwiedzanie, a informacje są dostępne na stronie internetowej AM (trzeba szukać ich w zakładce Informacje o Akademii / prezentacja uczelni). Pomysłodawcą założenia muzeum jest prof. dr hab. Julian Gembalski. Znajduje się tu wiele imponujących eksponatów rozmieszczonych w kilku salach i w holu. Celem muzeum jest gromadzenie, zabezpieczenie oraz ochrona obiektów, które są związane z organami, a także ich historią. W 2012 roku uruchomiono również Archiwum Organologiczne.

Mam nadzieję, że Święto Muzyki zawita do Katowic i w kolejnych latach prześcignie stolicę w ilości organizowanych wydarzeń. ■

Mam nadzieję, że Święto Muzyki zawita do Katowic i w kolejnych latach prześcignie stolicę w ilości organizowanych wydarzeń. ■

Mam nadzieję, że Święto Muzyki zawita do Katowic i w kolejnych latach prześcignie stolicę w ilości organizowanych wydarzeń. ■

Mam nadzieję, że Święto Muzyki zawita do Katowic i w kolejnych latach prześcignie stolicę w ilości organizowanych wydarzeń. ■

# Będziemy o Nim pamiętać

**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze okryło się żalem po śmierci wspaniałego Kolegi, Członka Honorowego PTTK Edwarda Wieczorka (1954–2022)**



for. Mariusz Dmetrecki

Edward Wieczorek

Człowieka prawdy śląskich tożsamości, odnajdującego ją w zmieniającej się śląskiej przestrzeni i w złożonych losach śląskich rodzin, traktującego swój Śląsk jako wartość i jednocześnie zróżnicowaną wartość tożsamości tysięcy śląskich rodzin. Jego publikacje, programy telewizyjne i audycje uczyły pojmowania Śląska w sensie historycznym i współczesnym.

Jak każdy krajoznawca Edward Wieczorek był piewą prawdy. I tych wielkich, i tych małych, składających się na większe witraże naszej tożsamości. O Śląsku i jego urokliwej przestrzeni, i o ludziach Śląska nie potrafił mówić inaczej niż z wyczuwalną emocją. Był bowiem Edward Wieczorek wielkim strażnikiem krajoznawczej pamięci Śląska.

Przez lata prowadził Regionalną Pracownię Krajoznawczą PTTK w Katowicach. Był stimulatorem rozbudzania zainteresowań krajoznawczych, wynikających przede wszystkim z bezpośredniego poznawania.

Spółeczna aktywność Edwarda Wieczorka skierowana była głównie na szkolenie kadr turystycznych, upowszechnianie wiedzy o regionie oraz promocję turystycznej i krajoznawczej atrakcyjności województwa śląskiego. Od 1990 r. wspólnie z Górnośląskim Kręgiem Krajoznawców PTTK im. ks. dr. Jerzego Pawlika organizował co roku Górnośląskie Sympozjum Krajoznawcze oraz wspólnie z Regionalnym Klubem Przewodników Turystyki Pieszej im. Zygmunta Kleszczyńskiego – Sejmik Przewodników Turystyki Pieszej PTTK Województwa Śląskiego. Wspólnie z Samorządem Przewodnickim Województwa Śląskiego organizował warsztaty przewodnickie i kursy przewodników terenowych. Od 1995 r. uczestniczył w pracach komisji egzaminacyjnej ds. przewodników turystyki pieszej, przewodników turystyki górskiej i instruktorów krajoznawstwa regionu. Z ramienia PTTK od 1997 r. był przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej ds. przewodników terenowych i miejskich. Był też wykładowcą na kursach przewodnickich i pilotów wycieczek. Prowadził szereg warsztatów dla nauczycieli w ramach edukacji regionalnej. W latach 1992–1999 był współorganizatorem wojewódzkich eliminacji Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno-Krajoznawczego PTTK, opracowując i sprawdzając testy i pytania krajoznawcze, zapewniając obsługę niektórych konkurencji. W latach 1994–2005 włączał się aktywnie w opracowywanie programu krajoznawczego oraz prowadzenie obozów wędrownych Młodzieżowej Szkoły Turystyki Górskiej. Od roku 2002 przewodniczył sądowni konkursowemu w eliminacjach wojewódzkich Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę”.

Pod redakcją Edwarda Wieczorka i z Jego współautorstwem ukazało się 21 zeszytów poświęconych inwentaryzacji krajoznawczej województwa katowickiego. Był twórcą i redaktorem (od 1986 r.) „Krajoznawcy Górnośląskiego”. W ostatnich latach redagował „Studia i materiały z dziejów krajoznawstwa polskiego”. Był autorem przewodników, w tym takich perełek, jak „Bytom i okolice” i „Racibórz i okolice”. Jego dorobek wydawniczy i piśmienniczy obejmuje ponad 900 pozycji, w tym 26 książek, 21 folderów oraz ponad 900 artykułów. Jego znakomite piśmiennictwo, uzupełniane ikonografią Jego autorstwa, pięknie korespondowało z Jego działalnością przewodnicką, z udziałem w szkoleniach przewodnickich, ale przede wszystkim z działalnością na rzecz wykorzystania i promocji dziedzictwa industrialnego. To Jemu w ogromnej mierze Polska i Śląsk zawdzięczają powstanie w 2006 r. Szlaku Zabytków Techniki, będącego częścią Europejskiego Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego. To On opracował koncepcję i regulaminy odznaki „Znam Szlak Zabytków Województwa Śląskiego”, podobnie jak „Szlak Architektury Drewnianej Województwa Śląskiego” oraz szlak „Fortyfikacje Województwa Śląskiego”.

Był Edward Wieczorek cenionym i lubianym działaczem naszego Towarzystwa. Działalność rozpoczął w 1972 r. od funkcji sekretarza Komisji Młodzieżowej Oddziału PTTK w Bytomiu (obecnie imienia Stefana Lachowicza).

Później był członkiem Komisji Wydawniczej i redaktorem biuletynu Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Katowicach (1986–1990), skarbnikiem Studentckiego Koła Przewodników Beskidzkich w latach 1996–1999. Od 1999 r. był wiceprezesem Zarządu Katowickiego Oddziału Regionalnego PTTK. Od roku 2001 sekretarzem Komisji Historii i Tradycji Zarządu Głównego PTTK, a od 2013 r. jej przewodniczącym.

Swoją pracę w sferze ogólnopolskiej zaznaczył też udziałem w przygotowaniach VI i VII Kongresów Krajoznawstwa Polskiego.

W latach 2000–2006 reprezentował PTTK w pracach Komisji Marszałka Województwa Śląskiego ds. otwartego konkursu ofert w dziedzinie krajoznawstwa i upowszechniania turystyki, a następnie w pracach komisji konkursowej Marszałka Województwa Śląskiego oceniającej merytorycznie oferty złożone w ramach otwartego konkursu ofert na zadania publiczne województwa śląskiego w dziedzinie upowszechniania dziedzictwa przemysłowego. Był członkiem zespołu Marszałka Województwa Śląskiego ds. wykorzystania i promocji dziedzictwa industrialnego województwa śląskiego, członkiem Rady Ekspertów Zewnętrznych przy Wydziale Filologiczno-Historycznym Akademii Jana Długosza w Częstochowie. W roku 2020 został powołany przez Marszałka Województwa Śląskiego do Śląskiej Rady Turystyki.

Edward Wieczorek – absolwent studiów historycznych na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach (oraz dodatkowo studiów podyplomowych) – miał poza ukończonym Śląskiem, poza Zagłębiem i Beskidem Zachodnim teren, do którego wracał każdego roku, czasami kilkakrotnie. To Beskid Niski. Zauroczyły Go tamtejsze krajobrazy. Potrafił przepięknie opowiadać o cerkiewkach i o cmentarzach z okresu pierwszej wojny światowej.

Telewizywie poznali Jego nieśmiały uśmiech kiedy mówił o swoim Śląsku, o ważnych dla Polski szlakach. Nie wiedzieli, że On uśmiechał się nie tylko do nich, ale i do Śląska, i do polskiego krajobrazu.

Posiadał uprawnienia: organizatora turystyki, przewodnika turystyki pieszej PTTK, przewodnika terenowego po województwie śląskim, strażnika ochrony przyrody, przewodnika turystyki górskiej PTTK, przewodnika miejskiego po Katowicach i aglomeracji GOR, przewodnika terenowego po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, przewodnika beskidzkiego I klasy, instruktora przewodnictwa oraz honorowego przewodnika turystyki pieszej PTTK, zasłużonego instruktora krajoznawstwa i honorowego przewodnika turystyki górskiej.

Edward Wieczorek był uhonorowany wieloma wyróżnieniami i odznaczeniami, między innymi: Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki”, Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, Złotą Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Województwa Śląskiego”, Złotą Honorową Odznaką PTTK. W 2017 r. XIX Walny Zjazd PTTK nadał Edwardowi Wieczorkowi godność Członka Honorowego PTTK.

Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze poniosło wielką stratę. Odszedł na wieczną wędrowną śpawiały, szlachetny i prawy człowiek, niestrudzony krzewiciel wiedzy o ojczystym kraju, niezapomniany Kolega i Przyjaciel. Będzie Go nam bardzo brakowało.

Cześć Jego Pamięci!

Władze Naczelne  
Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Zdjęcie zostało użyczone do publikacji grzecznościowo i pochodzi z prywatnych zbiorów Mariusza Dmetreckiego.



# My z Króla Leszczyńskiego albo Mała Wittliniada

ANTONI WILGUSIEWICZ

**S**zanowny i Drogi Panie Sąsiedzie z ul. Leszczyńskiego – w ten sposób zwróciła się do mnie w mailu pani Nina Taylor-Terlecka, informując o swojej nowej książce *Mała Wittliniada – Epizody, przyjaciele, okolica*. Ani ja, ani pani Nina przy ulicy Króla Leszczyńskiego (obecnie Braci Michniowskich) nigdy nie mieszkaliśmy; chciała w ten sposób podkreślić fakt, że jej mąż Tymon Terlecki i mój ojciec Władysław w latach lwowskiej młodości byli mieszkańcami tej ulicy. Uświadomiliśmy sobie ten fakt przy okazji pobytu Pani Niny na sesji naukowej organizowanej przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu; to, że go zapamiętała i zwróciła się do mnie w ten sposób po kilku latach świadczy o niej jako o człowieku z wielką klasą – o tym jestem przekonany.

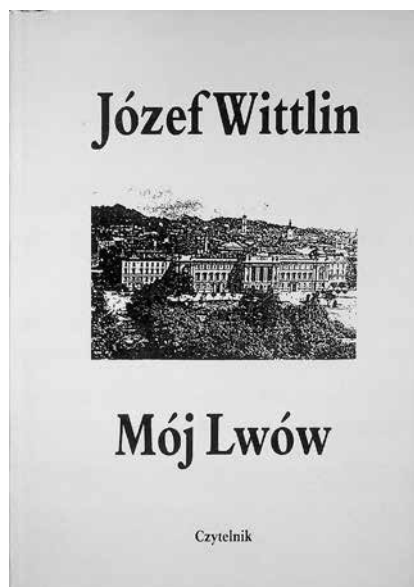
Nina Taylor-Terlecka to jedna z tych osób, które weszły świadomie do polskiego kręgu kulturowego, by pozostać w nim już na zawsze, ponosząc wielkie zasługi dla polskiej kultury, a zwłaszcza literatury. Studiowała polonistykę uzyskując doktorat w Instytucie Badań Literackich PAN, by potem przez 23 lata wykładać literaturę polską na Uniwersytecie Oksfordzkim i na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. W swych pracach naukowych i literackich skupia się na polskich pisarzach emigracyjnych, zwłaszcza o proweniencji kresowej. Na tej płaszczyźnie nawiązała współpracę z Tymonem Terleckim, który później

został jej mężem. Wiele z jej prac literackich dotyczy opracowania spuścizny po nim, jak na przykład korespondencji z Andrzejem Bobkowskim, Marią Pawlikowską-Jasnorzewską, Józefem Wittlinem czy Jerzym Stempowskim. Opracowała między innymi antologię *Guląg polskich poetów. Od Komi do Kołomy. Wiersze* wydaną w Londynie w 2001 roku. Publikuje prace nie tylko w języku polskim, ale też angielskim i francuskim, dokonuje przekładów polskiej literatury na te języki.

Józef Wittlin to jeden z polskich pisarzy emigracyjnych, których twórczość lepiej poznaliśmy i poznajemy dopiero po 1989 roku. Największą popularność przyniosła mu niewielka książka wspomnieniowa *Mój Lwów*, wydana w Nowym Jorku w 1946 roku, w zgodnej opinii wielu znawców tematu uchodząca za najpiękniejsze wspomnienie o Lwowie w polskiej literaturze (a co najmniej w prozie). Łączyła go wieloletnia przyjaźń z Tymonem Terleckim, uwieczniona między innymi w ich korespondencji z lat 1944–1976 (rok śmierci Wittlina), wydanej przez Ninę Taylor-Terlecką w 2014 roku. Obecnie pani Nina postanowiła zebrać różnego rodzaju szkice i artykuły na temat pisarza oparte na dostępnej jej korespondencji i innych, nieznanych szerzej materiałach archiwalnych, publikowane w prasie jak też wygłaszane na różnego rodzaju konferencjach, na które jest często zapraszana pani Nina. Stąd też książka, o której

mowa nie jest biografią pisarza ani też monograficznym opracowaniem jego twórczości, a raczej fascynującym obrazem Wittlina jako człowieka, jego przyjaciół, krajobrazów, w których przebywał, na czele oczywiście ze Lwowem lat międzywojennych, ale też żydowskiej Galicji, z której się wywodził. Urodził się w 1896 roku we wsi Dmytrów w powiecie Kamionka Strumiłowa; gdy miał lat 5 rodzina przeniosła się do Lwowa, gdzie wkrótce zmarła jego matka, a Józefa odesłano do dziadków w majątku Nagórzany koło Lwowa. Do miasta wrócił, gdy nastał czas nauki w lwowskiej szkole św. Anny, sąsiadującej z ponurym gmachem więzienia zwanego Brygidki. Czasy te wspominał z sentymentem, ale także z poczuciem wielu doznanych krzywd, które potem odbiły się na jego dorosłym życiu. Lwów pozostał jednak w jego pamięci na zawsze... jak pisał kończąc wspomnianą gawędę – tak ją nazwał – *Mój Lwów*. „Milczące cienie suną pod Teatr Miejski, skąd zawracają, aby znów popłynąć na Akademicką. I tak bez przerwy: tam i z powrotem – tam i z powrotem – w nieskończoność – aż po kres wszystkich dni”.

W książce znajdziemy postacie emigracyjnych przyjaciół i znajomych Wittlina – Tymona Terleckiego, Witolda Gombrowicza czy Kazimierza Wierzyńskiego, ale także mniej znanych osób jak Antonina Vallentin „Lwowianka-poliglotka-literatka”, dyplomata – ale też pisarz i malarz – Jan Chmieleński, kompozytor Alfred Gradstein. Znajdziemy też odwołania do żydowskiego świata dawnej Galicji, jak w szkicu poświęconym postaci pisarza Salomona Morgensterna czy też aktora Aleksandra Granacha – w ich tle pojawia się postać najbardziej znanego pisarza tego nurtu, Josepha Rotha. Autorka nie pomija także obecnego w międzywojennej Polsce zjawiska antysemityzmu, które bardzo bolało Wittlina. Wszystkie poruszane tu wątki tworzą barwną, fascynującą mieszankę dawnej Galicji, niezapomnianego Lwowa i świata powojennego Nowego Jorku czy Londynu, gdzie trwali Terlecki, Wittlin i przyjaciele. Albowiem, jak pisał do przyjaciela Józef Wittlin: „Trzymajmy się, stara lwowska wiara. Reprezentujemy świat nie najgorszy wśród coraz bardziej triumfującego barbarzyństwa”.



# Ćwierkanie będzie zakazane!

JANUSZ PLEWNIAK

Czyżby przez to, że przestajemy się dziwić? My, ludzie. Osobiście dziwię się często i wszystkim polecam dziwienie się.

Przed laty pewien wrocławski profesor na wykładach z fizyki jądrowej nie mógł się nadziwić naszemu studentów brakuwi potrzeby dziwienia się. Aż razu pewnego doniósł nam blef niezwykły. Podobno na wrocławskim rynku wylądowali kosmici. I co? Cisza. Wreszcie jeden ze studentów zapytał: – są tam jeszcze? To może by jutro pójść im na spotkanie?

Zdziwienie prowadzi do pytań. Szukanie odpowiedzi na pytania zmusza do myślenia. A wiadomo od lat; myślenie to wielka sztuka, a także... ma przyszłość.

Zanim moje permanentne zdziwienie doprowadzi do zdziwienia, opowiem o kilku zdziwieniach własnych.

Przed laty, krótko po przyjeździe do Niemiec, brat zaprowadził mnie do parku miejskiego. Oaza zieleni przy resztkach fosy miejskiej. Starodrzew na wzgórzu, gęste krzewy schodzące prawie do brzegu fosy, zakole wodnej wstęgi i staw z fontanną. A przede wszystkim muzyka tła. Ptasi świergot. Podeszliśmy przed wielkie drzewo o sporej średnicy. Przed grubym pniem tablica z napisem: Czasy śpiewu ptaków. I dalej mniej więcej tak:

Ptaki najgłośniej ćwierkają około 4 rano. Zależy to też od pory roku. Był też wykaz:

- 3.00 – Drozd
- 3.10 – Rudzik
- 3.15 – Kos
- 3.20 – Świergotek
- 3.30 – Kukułka
- 3.40 – Bogatka
- 3.50 – Pierwiosnek
- 4.00 – Zięba
- 4.20 – Wilga
- 4.30 – Wróbel
- 4.40 – Szpak

Z czymś takim spotkałem się po raz pierwszy. Zdziwienie malowało się na mej twarzy. Nawet pytać nie musiałem. Brat odpowiedział sam z siebie. – W Niemczech wszystko jest prawnie uregulowane. Ordnung muss sein. To i ptaki musiały się dostosować. Żadnego harmidru. Wszystko o właściwej porze.

Żart mi się spodobał. Zdziwienie harmonią ptasiego śpiewu pozostało. Więcej, pozostało stałe oczekiwanie na zdziwienia.

Raptem przed dwoma tygodniami Ochotnicza Straż Pożarna w sąsiedniej miejscowości obchodziła 125-lecie dzia-

łalności. Wśród wielu atrakcji przygotowanych dla gości i gapiów na dwa dni uroczystych obchodów jubileuszu, zainscenizowano także gaszenie sztucznego pożaru. Konkretnie dwóch pożarów. A już najbardziej szczegółowo, to w dwu stalowych kotłach z zawartością masy łatwopalnej wzniecono ogień. Po czym dwie kilkusobowe ekipy strażaków, na sygnał syreny, przystąpiły do akcji gaśniczej. Z lewej kilku chłopca w sukienkach odzieniach i czapkach kojarzących się z nakryciem głowy bartników, podawała sobie wiadrami wodę ze zbiornika udającego studnię. Z prawej kilku młodzików nakładało pośpiesznie na siebie żaroodporne błyszczące odzienie, kojarzące się ze skafandrami astronautów. Następnie wturlali coś na kształt bez-



ki, z której pod wpływem naciskanych przycisków zaczęły wysuwać się jakieś ni to krany, ni to rury. Wreszcie buchnęła pieniaca się struga. Współczesna ekipa była gotowa przystąpić do gaszenia pożaru. Dokładnie w tym samym momencie, a może sekundę wcześniej, jeden ze „starych” strażaków chluśnięciem kolejnego wiadra wody w otchłań kotła, dokonał czynu. Mógł zameldować zgaszenie ognia! Chyba nie dziwicie się mojemu zdziwieniu. Wyposażeni w najbardziej nowoczesny sprzęt strażacy przypominający robotów, na dobrą sprawę jeszcze nie zaczęli, gdy tamci „sprzed lat” skończyli.

Jako że zdziwień doświadczałem wielu, ograniczę się w dalszej części do poruszonych już tematów; do ptaszków i porządku.

Niedawno podchodząc do samochodu stojącego na parkingu, zauważyłem, że na ryńcieniu okalającej karoserii przyczaił się młody ptaszek, chyba jerzyk i coś tam dziobie. Zbliżyłem się na odległość kilku metrów. Ptak się nie spłoszył. A ja się zdziwiłem. Każdemu kierowcy wiadomo, jak olbrzymia ilość owadów przylepia się do karoserii! Po co ptasz-

kowi polować, gdy jedzenie samo czeka, lekko tylko przyklejone do blachy auta? Trzeba dodać, to był niemiecki ptaszek, dbający o porządek!

Zaś w radiu usłyszałem, że coraz więcej młodzieży używa w swych telefonach komórkowych jako sygnału ćwierkania i śpiewu ptaków. Ornitolodzy i działacze zielonych organizacji zwracają uwagę, że tak wierne i na dodatek głośne naśladowanie głosów ptaków prowadzi do zaburzeń w zachowaniu żywych, latających stworzeń. Powstał wspólny projekt wprowadzenia zakazu używania takich dźwięków naśladowczych. Ba, nawet korzystając z istniejącego prawa, pod pretekstem zakłócania spokoju, zezwolono strażnikom miejskim egzekwowanie zakazu w parkach, na cmentarzach i innych enklawach, w których gromadnie żyją ptaki. A niebawem w Niemczech ćwierkanie (komórkami) będzie zakazane!

Zdziwienie tymczasem jest nadal dozwolone.

I na koniec o zdziwieniu pełnym uczucia.

Bubi, kot nasz, czuł swój koniec. My wiedzieliśmy, że jest chory, a on wiedział, że śmiertelnie. Gdy już prawie nic nie jadł, czyli kilka dni przed eutanazją, przyprowadził pod drzwi naszego domu rudego kota. Ponieważ Bubi bywał z domu puszcany samodzielnie, zdarzało się i wcześniej, że nie sam wracał. Tyle że tamte kocury toczyły z nim wojny. A ten rudzielec usiadł w proggu i chciał bardzo pozostać. I tak było przez ostatnie dni Bubięgo dzień po dniu. Rudzielec przychodził, siadał w proggu i miauczał. W swoim cynicznym żartowaniu powiedziało mi się, że to chyba koci rudy anioł i trzeba będzie się z Bubim pożegnać... Nawet krótko zastanawiałem się, czy tego kociego kumpla a nuż wpuścić do mieszkania?

– A gdy raz, to już potem zawsze? – taka była riposta. I rudzielec pozostał za drzwiami. Bodaj jeszcze ze dwa razy przyszedł zamiauczeć po Bubięgo, zatem wypuściliśmy mu kolegę. A potem Bubi odszedł w nicość i rudy kot już więcej nie przychodził. Chciał Bubi nam – swoim przyjaciółom – zostawić następcę?

O sensie dziwienia się spróbuję przekonać taką sentencją:

Fizykom wiadomo, że elementarne cząstki dziwne mają znacznie dłuższy, od pierwotnie oczekiwanego, czas życia. Zachęcam do zdziwień.



# Gdzie diabeł mówi dobranoc

TOMASZ BIENEK

Główne kierunki wakacyjnych wyjazdów krajowych od lat pozostają niezmiennie – na pierwszych miejscach plasują się Władysławowo, Leba i Międzyzdroje, w górach królują miejscowości tatrzańskie z Zakopanym na czele. Nie wszyscy jednak urlopowicze lubią tłumy na szlaku czy zatłoczone ścieżki. Na szczęście wciąż są takie miejsca, o których mało kto wie, w które przyjeżdżają nieliczni goście.

Jednym z takich niesamowitych miejsc jest Beskid Niski, niewysokie lecz piękne góry, rozciągające się między przełęczami Łupkowską a Tylicką, graniczące od wschodu z Bieszczadami. Większe ośrodki miejskie to Dukla, Nowy Żmigród, Rymanów Zdrój, Iwonicz Zdrój. Można powiedzieć, że są to ostatnie ostoje cywilizacji, mijane w drodze na południe. Im bliżej słowackiej granicy, tym mniejsze są spotykane wsie, liczące czasem zaledwie kilka gospodarstw. Do najbliższego sklepu dzieli je często dystans wielu kilometrów. W najdalszym, granicznym pasie ludzkich osad nie ma już w ogóle – po dawnych wsiach pozostały nazwy na mapach i puste doliny, które już dawno temu wzięła w posiadanie dzika przyroda. Można tu wciąż odnaleźć podmurówki domów i zdżuczale sady w miejscach dawnych obojęt lub natknąć się na żołnierskie mogiły i cmentarze z okresu ciężkich walk podczas pierwszej wojny światowej.

Odkrycia takie uświadamiają jak bardzo historia doświadczyła tamtejsze ziemie, bo to właśnie w wyniku drugiej wojny światowej Beskid Niski opustoszał – w trakcie walk w 1944 i 1945 unicestwiono wiele wsi, a mieszkańców wysiedlono stąd w ramach akcji „Wisła” w 1947 roku. Entuzjaci historii militarnej mogą natknąć się tu na relikty znacznie starsze – w latach 1768–1772 Beskid Niski był obszarem wzmożonej aktywności konfederatów barskich, przebywał tu Kazimierz Pułaski. Nadal w terenie znaleźć można ślady szańców i umocnień ziemnych wybudowanych przez konfederatów. Konfederackie okopy znajdują się m.in. w rejonie Grabia i Ożennej oraz na terenie rezerwa-



fol. Tomasz Bierek

Unikatowy kamienny most we wsi Olchowiec

tu przy Muszynie, który nosi nawet nazwę „Okopy Konfederackie”.

Historia Beskidu Niskiego to nie tylko wojny i wielkie batalie – to także odkrycia, które zmieniły bieg ludzkości. Podróżując przez te góry w miejscowościach takich jak Kryg czy Ropianka natknąć się można na tzw. kiwony – pompy służące do wydobycia ropy naftowej. Ten zaskakujący, jak na polskie realia, widok to pamiętka po czasach, gdy to właśnie Beskid Niski był pierwszym na świecie ośrodkiem naftowym. Wszystko zaczęło się w XIX wieku, gdy odkryto tu złoża, a Ignacy Łukasiewicz – wówczas lokalny farmaceuta, skonstruował lampę naftową. Czasy, gdy trwała eksploatacja beskidzkich pól naftowych, przypomina Karpacko-Galicyski Szlak Naftowy. Wiedzie on przez miejsca związane z tutejszym przemysłem naftowym, m.in. przez Skansen Przemysłu Naftowego „Magdalena” w Gorlicach oraz Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowni-

czego im. Ignacego Łukasiewicza w Bóbrce – a także przez wciąż czynne kopalnie.

Będąc w Beskidzie Niskim nie sposób nie otrzeć się o historię Łemków, tutejszych górali, wysiedlonych po drugiej wojnie światowej. Ich kulturę upamiętniają lokalne muzea i izby pamięci. Warto nieraz zboczyć z wytyczonej trasy, aby odwiedzić skanseny w Zydranowej oraz lemkowski muzeum w Olchowcu. Obie te placówki mieszczą się w oryginalnych lemkowskiach chałupach, a wśród przechowywanych eksponatów znajdują się regionalne lemkowski stroje, sprzęty domowe i narzędzia używane w gospodarstwie.

Beskid Niski to też wszechobecna, dzika przyroda – występują tu wszelkie dzikie zwierzęta, żyjące w Polsce, z wilkami, rysiami i niedźwiedziami na czele. Puste, niezamieszkałe doliny sprzyjają populacji tych zwierząt, które nie niepokojone przez nikogo stały się niekwestionowanymi gospodarzami tych ziem. ■

fol. Tomasz Bierek



Nieczęsto zdarza się mijać przy drodze takie znaki

fol. Tomasz Bierek



W wielu miejscach nadal odnaleźć można opuszczone góralskie domy, pochłaniane przez las





*Piękne krajobrazy Beskidu Niskiego na długo pozostają w pamięci. Na zdjęciu dzikie łąki w rejonie nieistniejącej wsi Ciechania.*



*Wylaniające się nagle z leśnej gęstwiny lemkowski nagrobki to często jedyny już ślad po dawnych wsiach Beskidu Niskiego.*





Rozbujany tramwaj Schwebebahn



Trasa tramwaju ponad ulicami miasta



Sympatyczny Jorgos, z pochodzenia Grek, z którym razem pracowaliśmy w laboratorium w mieście Wuppertal, miał zwyczaj bez mała codziennie spóźniać się około kwadrans do pracy. Przy czym jego zgraną wymówką było: *dzisiaj kolejka miała opóźnienie*. Tłumaczenie początkowo zabawne, z czasem stało się nudne. Rzecz w tym, że w godzinach szczytu kolejka nad doliną Wuppertalu jeździ z częstością co trzy minuty lub częściej.

Bezkolizyjna kolej podziemna, inaczej metro, w megamiastach służy przede wszystkim szybkiemu przemieszczaniu się ludzi, ale bywa przecież także turystyczną atrakcją. Podobnie, tyle że w większym jeszcze stopniu, jest z jedyną w Europie szynową wiszącą nad miastem kolejka w Wuppertalu, 400 tysięcznym mieście Nadrenii-Westfalii w Niemczech.

„Schwebebahn” w dosłownym tłumaczeniu kołysząca się kolejka (wisząca, podwieszona) – jest swego rodzaju tramwajem, podwieszonym na słupach, bezkolizyjnie i szybko, w dwu kierunkach, przemieszczającym się wzdłuż całego miasta.

Samo miasto Wuppertal powstało dopiero w 1925 roku, z połączenia leżących blisko siebie w dolinie rzeki Wupper miejscowości – Elberfeld i Barmen, dziś największych dzielnic miasta. Natomiast podniebny tramwaj liczy sobie mniej więcej 120 lat, w zależności od tego, jak liczyć, co przyjąć jako początek...

Mieszkańcy Wuppertalu są dumni ze swej wiszącej kolejki, toteż stulecie jej powstania obchodzili przez trzy lata, od 1998 do 2001 roku.

A było to tak... Już w latach osiemnastych XIX wieku w miastach Barmen i Erberfeld dojrzała konieczność powstania między nimi szybkiej komunikacji. Pochodzący z Kolonii inżynier Eugen Langen zgłosił niekonwencjonalny projekt wiszącej kolejki naziemnej, poruszającej się wzdłuż doliny ponad rzeką Wupper i łączącej nadrzeczne miejscowości. Parlamenty obu miast Schwebebahn zdecydowały się budować już w grudniu 1884 roku.

Pojawiły się nieprzewidziane przeszkody. Zaczęły protestować ugrupowania i sekty religijne, szczególnie ostro w 1895 roku, kiedy burmistrz kolejnej gminy Vohwinkel, dziś także dzielnicy Wuppertalu, zaproponował sfinansowanie przedłużenia wersji podniebnego tramwaju poza rzekę, ponad ulicami i wzdłuż przezeń zarządzanych wiosek.

Ostatecznie w dużym tempie przystąpiono do budowy kolejki latem 1898 roku, a w grudniu odbyła się jazda próbna na krótkim odcinku trasy. Jesienią 1900 roku odbył przejazd nad rzeką Wupper owym tramwajem na słupach cesarz Wilhelm II ze swym orszakiem, a od marca 1901 roku udostępniono pierwszy odcinek – około



## Podniebny tramwaj

JANUSZ PLEWNIAK

jednej trzeciej obecnej linii, dla mieszkańców do stałej eksploatacji.

Przez cały wiek XX aż do wiosny 1999 roku wuppertalska kolejka szczyciła się byciem najbezpieczniejszym środkiem lokomocji na świecie. Tamtej wiosny 1999 roku, po przeprowadzeniu remontu i przebudowie części podpór – przy czym wszelkie prace prowadzono nocami, by nie przerywać codziennej eksploatacji – pracownicy firmy budowlanej pozostawili przez nieuwagę metalowy pręt na szynie. Następnego dnia 12 kwietnia 1999 roku pierwszy poranny pociąg wykoleiwszy się spadł do rzeki, zabijając pięciu i raniąc 47 podróżnych.

Po blisko dwumiesięcznej przerwie w czerwcu tegoż 1999 roku kolejka rozpoczęła pracę od nowa. Wszelkie kolejne remonty przeprowadza się odtąd w weekendy; rolę kolejki przejmują wtedy dodatkowe autobusy, niewytrzymujące na miejskich, zatłoczonych drogach konkurencji punktualności i częstotliwości kursów Schwebebahn.

W ostatnim ćwierćwieczu remontowano nie tylko podpory, szyny, ale także zamieniano tradycyjne budynki stacyjne, często jeszcze drewniane, zastępowano nowymi, architektonicznie współczesnymi wersjami. Mocne sprzeciwy mieszkańców przeciwko takiej ahistorycznej „profanacji”, poskutkowałe. Cztery z zabytkowych stacji pozostawiono w pierwotnej formie, przeprowadzając jedynie gruntowne renowacje konstrukcji, z pozostawieniem zewnętrznej formy.

Podam trochę danych technicznych: łączna długość szyn w obu kierunkach wynosi 28 kilometrów, kolejka ma dwadzieścia przystanków i jeździ, lekko się kołysząc, ze średnią częstością w godzinach szczytu co 2–3 minuty. W dni robocze korzysta z niej dziennie 80 000 osób. Pasażerowie przewożeni są nowoczesnymi przegubowcami. W święta, a latem także w niedziele, dwa razy dziennie wyrusza na trasę historyczny, odrestaurowany wagon cesarski. Przewodniczka miejska, przebrana w strój konduktorski z epoki, opowiada w czasie jazdy historię miasta Wuppertal i kolejki Schwebebahn. Wówczas szczególnie warto skorzystać z okazji bujania się nad Wuppertalem.

Przez cztery ostatnie przystanki w dzielnicy Vohwinkel kolejka kołysze się nie nad rzeką, a powyżej głównej szosy i kończy swój bieg przy początkowym przystanku trolejbusu, dojeżdżającego do sąsiedniego miasta Solingen.

Zatem końcowa stacja, gdzie kolejka z Wuppertalu do Solingen (*Skojarzenie: ostrza, żyłtka, noże, nożyczki, scyzoryki itp.*). Solingen ma jedną z trzech pozostałych w Niemczech sieci trolejbusów, czyli autobusów zasilanych podobnie jak większość tramwajów przez pantograf z sieci elektrycznej z góry i jest to z 99 km długości linii trakcyjnej największa sieć trolejbusowa w Niemczech.

Pasażerów czeka przesiadka z niekonwencjonalnej kolejki do podróży wprawdzie naziemnej, acz też niezwyklej.



# Oblicza prawdy

WOJCIECH LIPOWSKI

Każde przeżyte zdarzenie należy do czasu przeszłego. Oczywiście, funkcjonuje w pamięci, ale inaczej, stanowi akt skończony, przywołuje go niekiedy jakaś wewnętrzna, nostalgiczna pokusa lub życiowa konieczność. Pamięć posiada tę właściwość i zdolność, że potrafi przywracać to, co bezpowrotnie minęło. Po co? Może dla zaspokojenia potrzeby powrotu, rozliczenia rzeczy zamkniętych, uwierających w teraźniejszości, a współcześnie potrzebnych dla zrobienia życiowego bilansu zysków i strat. Może być jeszcze i tak, że powrót nie jest drogą do szczęścia, a raczej, paradoksalnie, ucieczką od zbudzonych nieoczekiwane upiorów przeszłości, tkwiących pod powieką, nieustannie uwierających, czekających na ostateczne unicestwienie.

W tym momencie zbliżamy się do świata dramaturgii Ingmara Villqista, w którym znów możemy się zanurzyć bez reszty, jeśli trafimy do katowickiego Teatru Bez Sceny Andrzeja Dopierały. Najnowsza premiera, która miała tam miejsce, stanowi adaptację pięciu jednoaktówek tego autora, z których trzy (*Kostka smalcu z bakaliami*, *Cynkweiss*, *Lemury*) pochodzą ze słynnego cyklu *Beztlenowce* zaś dwie (*Mili moi*, *Miłość*), mimo że powstały wcześniej, dopiero obecnie mają swoją prapremierę. Całość została opatrzona tytułem *Miłość*.

Ingmar Villqist, (Jarosław Świerszcz), dramaturg, reżyser, historyk sztuki posługujący się norweskim pseudonimem, szukający, jak się wydaje, inspiracji dla swych artystycznych wypowiedzi w tradycji i dokonaniach Strindberga czy Ibsena; powraca niejako do swoich korzeni kreśląc obraz świata, gdzie wszystko już się dokonało, wydarzyło a to, co oglądamy, jest procesem ujawniania niewygodnej, spychanej na krańce pamięci prawdy.

Świat, gdzie kwestionuje się odmienność, inność może stanowić w tym wypadku szczególnie punkt odniesienia dla przeżyć wewnętrznych bohaterów, zapewnia pojemną przestrzeń dla wszelkich, niełatwych do nazwania lęków, przeczuc, zmagania z emocjami bądź raniącymi wspomnieniami często skrywanymi przez lata, falsyfikowanymi z różnych powodów.

Podobnie jak u wspomnianych autorów opowieść o cierpieniu i bólu, związkach między ludźmi, przedstawionych

czasem w naturalistycznym ujęciu; stanowią oś narracyjną tekstów dramaturgicznych Villqista, a chęć nazwania, opisanie wewnętrznych doświadczeń jest ich ważną dominantą. Autor w jednym z wywiadów stwierdził: „We wszystkich moich dramatach pojawiają się postaci ukazane w momencie konieczności zapłacenia rachunku za coś, co wydarzyło się w przeszłości”.

Tak jest choćby w *Nocy Helvera* (1999), sztuce o wykluczeniu, odmienności, braku akceptacji, budzeniu agresji; *Oskarze i Ruth* (1999) tragikomedii o wpływie stereotypu i hipokryzji na relacje małżeńskie; *Kompozycji w słońcu* (2007), opowieści o ludziach, których przeszłość prześladowa winami niepełnymi; *Oddychaj ze mną* (2009), pełnej niedomówień, przemilczeń historii mężczyzny i kobiety, których kiedyś łączyło wspólne życie; *Chłopcu z łabędziem* (2015), gdzie spotkanie trzech kobiet w dusznym wnętrzu chorzowskiej kamienicy odsłania świat trudnych wzajemnych powiązań i skrywanych tajemnic. Z podobnymi problemami mierzą się bohaterowie przywołanych jednoaktówek, z których zbudowano przestrzeń dramaturgiczną spektaklu *Miłość*.

Otrzymujemy znowu wspaniały, mieniący się możliwościami interpretacyjnymi palimpsest pamięci. Wystarczy w tych kilku drobinach – tak kruchych, że strach, aby się nie stłukły, gdy weźmie-

my je w dłoń, opowiadających o poczuciu winy, pustce braku miłości, kłamstwie, manipulacjach uczuciami bliskich – dostrzec jak mechanizm pamięci próbuje porządkować, nazwać, zebrać w spójną całość to, co wymyka się skutecznie harmonii. Warto grzebać w tej archeologii przeszłości, w imię bezinteresownej gry, by ostatecznie rozwiązać tragiczny węzeł międzyludzkich zdarzeń, usunąć demony przeszłości, lęk, odkupić dawne winy. Ostatecznie.

Wiele już mówiono o absolutnym teatralnym słuchu Villqista. Nie bez powodu. Wystarczy wsłuchać się w misternie skomponowane dialogi poszczególnych fragmentów *Miłości*, by przekonać się o tym, że zostały pochwycone niemal w locie, może gdzieś usłyszane, wyłączone, ocalone z kontekstu życia, umiejętnie wkomponowane w ciąg narracji, rozpisane na osoby. Mamy zatem okruh egzystencji, czyli etiudę koncertową *Mili moi*. Andrzej Dopierała i Anna Nowak, odkrywający przed widzami coraz ciekawsze możliwości aktorskiego talentu, dają popis gry na szerokiej skali niedomówień, słowotwórczych zabaw, tasowania równoważników zdań, wypełniając to pomysłową ekspresją wspartą jedynie na krawędzi możliwości przysłówka. W jakim celu? By w zwiewności, precyzji ruchów, falującej sukni, krzyżowaniu spojrzeń odmieniać przez przypadki uczucie, pieśczęć, zawoalowa-



for. Anna Dopierała



ne barokowymi ozdobnikami pożądanie. Gdzie aktorzy znaleźli inspirację, aby to tak zagrać, że przez salę przeszedł dreszcz? Pozostanie tajemnicą ich niebywałego talentu.

W *Kostce smalcu z bakaliarni* dosłownie zamarliśmy. W znakomitej, niemal malarskiej kompozycji oszczędnej scenografii, jak zawsze świetnych kostiumów Ewy Dopierały, obrysowanej konturami dyskretnego światła, mistrza w tej dziedzinie, Sergiusza Brożka; kolejny przejmujący rozpacz, tajemnicą, grą uczuć koncert na dwa głosy. Anna Nowak i Agnieszka Bieńkowska – intymne, dyskretne, mierzące się z upiorami przeszłości. Łóżko, w którym dokonują rekapitulacji doznań, pełnym bólu, gdzie bada się stan uczuć, w którym i my właściwie z nimi niemal leżymy przytulając się do ich poszarpanego świata, zatrzymał się czas, o ile to możliwe w kawalerce na antypodach gwarnej metropolii. Jaką banalną prawdę wygają w półmroku Nowak i Bieńkowska? Opowieść o tym, że jedna z nich prowadzi podwójne życie: w pierwszym będąc matką i żoną, drugim kochanką starszej od siebie kobiety, wstydliwie dawkowanym niepokojem o dalszy los ich związku. Przejmująco, na granicy rozpaczyny wypadła ta opowieść o poszukiwaniu bliskości, drugiego człowieka, potrzebie miłości, obawie przed rozstaniem. Jak Villqist reżyser wygrał u znakomitych aktorek tak subtelne tony?

Zanurzony w bieli, znany widzom, *Cynkweiss*, to z kolei przejmujące powtórzenie. Powtórzyć coś, odwołać się do przeszłości, by ostatecznie zapomnieć. W kolejnym, bezbłędnym aktorsko wcieleniu Anna Nowak grająca dziewczynę przygotowującą się do ślubu, wyciąga z zakładu w akcie zemsty własnego ojca więzionego za molestowanie córki po to, by dobić go ostatecznie, pokonać raz na zawsze pogardą, upodleniem. Dopierała w tej roli przypomina mario-

netkę, psychiczny wrak, sprowadzony do roli przedmiotu, ubezwłasnowolniony na wieki. Aktor mistrzowsko pokazał porażające widmo dawnej przeszłości, stworzył portret człowieka przerażonego, ale też pełnego rezygnacji, skazanego na nieustanny lęk oraz cierpienie.

No i tytułowa *Miłość*. Wypowiedziana pomiędzy komedią a tragedią. Miłość kupiona za pieniądze, ale w wymiarze estetycznym, obdarta z powagi, utopiona w banale. Starzejący się, samotny mężczyzna podejmuje grę w miłość we własnym, osobistym teatrze, wynajmując do roli kochanki kobietę, która zależnie od wysokości stawki odegra ją jak umie, kalecząc zadany tekst, po czym odejdzie tam, gdzie jej czas kupi ktoś inny. Bardzo aktualnie wypadła ta historia. Znany już duet zagrał tu inaczej, z większym dystansem, namysłem. Tak wygląda współczesność, bawimy się uczuciem, w końcu ośmieszamy, a na koniec pozostaje drwina.

*Beztlennowce* kończą się *Lemurami* i tak jest w najnowszej adaptacji Villqista. Tytułowe lemury to w mitologii greckiej duchy zmarłych, błakające się nocami widma. I już jesteśmy w domu. Tutaj nie zjawiają się niczym upiory, bardziej złośliwie *memento* pędzących myśli, tworzy własnej psychiki bohaterów. W bieli, którą twórcy spektaklu bardzo sobie upodobał, odnajdujemy Karłę (Anna Nowak) oraz Jerga (Andrzej Dopierała) zonglujących nieczystymi myślami. Autor tworząc sytuację dramaturgiczną, w której przyszła młoda para rozpoczyna subtelny grę niedomówień, po raz kolejny daje nam do zrozumienia, że stworzona sytuacja służy szukaniu przez widza dróg wyjścia z zaaranżowanej sytuacji niczym brydżowego rozdania, by w finale było w końcu słodko, ciepło i szczęśliwie.

W niezwykle kameralnym świecie doświadczeń bohaterów Ingmara Villqista, do którego każdy może przyjść, by niemal dotknąć ludzi oraz ich pogmatwanych, trudnych spraw, wspólnym mianownikiem uczyniono tym razem uczucie. Odmienić miłość przez możliwe przypadki, pytania, wątpliwości, ale też ból, cierpienie, kłamstwo czy rozpacz, nie każdy potrafi. Można zaryzykować stwierdzenie, że dla bohaterów tych okruczeń, które oderwały się od większej całości poszukiwanie spełnienia, prawdy, miłości stało się doświadczeniem ostrym i przenikliwym. Ale chyba o to chodziło wszystkim pogubionym w życiu ludziom, by w końcu usunąć cienie przeszłości, odzyskać dawne szczęście i poczucie ładu świata. ■

### **Miłość**

**Tekst i reżyseria Ingmar Villqist**  
**Teatr Bez Sceny w Katowicach**  
**Premiera 3.06.2022**





# Zeszyt zwany „Szychtownicą”

JACEK OKOŃ

Andrzej Jarczewski wrósł już w lokalne środowisko literackie, chociażby jako autor powieści o muzyce młodzieżowej i konspiracji pt. *Selma*. W 1982 roku, działając w Akademickiej Grupie Oporu Politechniki Śląskiej, zebrał, opracował i wydał antologię wierszy i piosenek stanu wojennego pt. *Reduta Śląska*. W nowych warunkach ustrojowych został wiceprezydentem Gliwicy, potem kierownikiem zabytkowej Radiostacji.

W roku 1986 wysłał dwa opowiadania, napisane w więzieniu, na otwarty konkurs literacki Ministerstwa Górnictwa i Energetyki i Redakcji tygodnika społeczno-kulturalnego „Tak i Nie”. Nie zdobył wtedy nagrody, ale opowiadania nie zaginęły, zachowały się w dokumentacji konkursu, przekazanej do Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.

Już w momencie debiutu autor dał do zrozumienia, że nie będzie starał się dopasowywać opisu rzeczywistości do przeciętnej ludzkiej wiedzy. Wolał ograniczyć „grupę docelową”, jak to się teraz modnie nazywa, do zawodowej braci górniczej, która liczyła wówczas kilkaset tysięcy potencjalnych czytelników. Opisana rzeczywistość była dla tych ludzi całkowicie zrozumiała. Autor nie oczekiwał więcej. Zdawał sobie sprawę, że nawet najlepsze retusze literackie nie uczynią górniczego świata zrozumiałym dla „istot powierzchniowych”. Zawsze pozostaną jakieś niezrozumiałe miejsca.

Tak właśnie powstało opowiadanie *Odpięty sygnał*, którego główną postacią jest młody elektryk, zastępujący – wyższego rangą i znaczeniem – nieobecnego elektryka ścianowego. Jeśli da sobie radę, tj. jeśli ewentualne przestoje zostaną skrócone do minimum, będzie zauważony przez naczelstwo, co da się odczuć dzięki zwiększonej premii. Klucz do sukcesu na tym stanowisku tkwi we właściwym diagnozowaniu awarii i ich doraźnym „leczeniu”, nim później, po szychcie, przyjdą inni naprawiacze. Oczywiście, można też wyłączyć prąd, zatrzymać produkcję – nikt tego nie zakwestionuje, jednak nie tego oczekują władze kopalniane.

Doraźne sposoby obciążone są wszakże poważnym ryzykiem. Jednym ze sposobów jest „odpięcie sygnału”. Wypadek, jaki następuje, ma tu postać podwójnego oparzenia elektrycznego przy zwarciu. Dwie ofiary, wypadek zbiorowy. Trzeba zawiadomić Wyższy Urząd Górniczy. Komuś grozi więzienie, nie wiadomo komu.

Nim przyjadą inspektorzy, zdąży się coś wymyślić. Szytgarzy i główny bohater, ów elektryk niższego rzędu, podpi-

nają sygnał w transformatorze, zamykają pokrywę, przysypują dla kamuflażu pyłem węglowym. Nikt tu nie stwierdzi żadnego uchybienia. Gdyby tego nie zrobili, inspektorom wystarczyłby fakt, że sygnał jest odpięty. Niepotrzebne byłyby dalsze dociekania. Przyczyna wystarczająca, by stało się to, co się stało. W oddali widać światła lamp inspektorów, nadchodzi oczekiwana sprawiedliwość, która – wiemy już – niczego niewłaściwego nie wykryje. A jednak opowiadanie kończy się puentą o gorzkiej treści: „Za chwilę dowiesz się wiele. O sobie”.

W latach dziewięćdziesiątych teksty przybrały ostatecznie postać książki pt. *Szychtownica* (wyd. I, 1998), uznanej od razu za rewelację. Entuzjastyczne opinie wydawali językoznawcy (prof. Jan Miodek, prof. Jerzy Bralczyk) i pisarze (Tadeusz Kijonka, Ryszard Kapuściński). Dzieło to należy do Literatury, przez duże „L”.

Sam autor *Szychtownicy* wyjaśnił w liście do autora niniejszego artykułu (Jacek Okonia) okoliczności podjęcia pracy w kopalni. Jest to zarazem szczególne świadectwo pracy pisarza, zagrożeń z nią związanych, cierpień i uporu, stałej dobrej myśli, wiary w powodzenie.

„Otóż w latach 1974–1982 – pisze Andrzej Jarczewski – byłem asystentem na Wydziale Automatyki. W stanie wojennym mnie wydalon. Szukałem pracy ponad pół roku. W Gliwicach nie miałem szans, ale w lutym 1983 – niejako z ulicy – trafiłem do KWK Zabrze-Bieliszowice. Tam akurat chyba pod koniec roku 1982 zdarzył się wybuch pyłu na poziomie 780 i zginęło 9 górników. Jak mi mówiono – zwolniono się wtedy kilkuset pracowników. Myślę, że z trzech powodów: wypadek, stan wojenny i emigracja do RFN...”

Wygląda na to, że komuś bardziej zależało na zatrudnieniu inżyniera, niż na sprawdzeniu kartoteki. W Gliwicach, ale też w paru innych miastach kazano mi zwykle przyjść po decyzję za zgodą i zawsze była to odmowa. Kilkadziesiąt takich samych doświadczeń...

Tak więc 13 lutego zaliczyłem kurs BHP, a już 14 lutego 1983 zjeżdżałem na poziom 780 na Ruchu Poręba jako „osoba dozoru niższego”, czyli dozorca urządzeń elektrycznych przodkowych...

Najpierw przepuszczono mnie na życie przez najgorsze *barzoły*, ale to było tak fascynujące, że dopiero po wielu miesiącach, gdy pojawił się następny sztygar, zrozumiałem, że na początku sprawdza się gościa w najtrudniejszych punktach.

Ja nawet nie wiedziałem, że tak ze mną też postępują, bo naprawdę byłem tym światem oczarowany.

Niestety po kilku tygodniach pracy na mojej zmianie zdarzył się wypadek, który opisałem w opowiadaniu *Odpięty sygnał*. Zaczęłem od opisu postępowania po wypadkowego, bo musiałem sporządzić szkic i opis. To jednak było kompletnie bez sensu, bo celem ówczesnych komisji było ukrycie rzeczowych winowajców. Uznałem jednak, że ciekawe może być pokazanie nieuchronności takich zdarzeń w tym systemie, jaki panował na dole (niezależnie od tego, co na górze).

Zaczęłem pisać *Odpięty sygnał*, ale co chwilę natrafiałem na sprawy, których czytelnik „powierzchniowy” nie miał szans zrozumieć. Tych wyjaśnień z kolei nie mogłem wtłoczyć do opowiadania, bo musiałaby z tego powstać instrukcja obsługi transformatora i każdego innego dołowego urządzenia. Musiałem więc znaleźć formę, która uniesie wiedzę pod ręcznikową. Szło mi kiepsko.

Nagle, ni stąd ni zowąd, aresztują mnie 25 września 1985... Nie miało to związku z kopalnią, bo tam nie prowadziłem działalności. Ale korzyść taka, że nareszcie miałem sporo czasu na pisanie. Otrzymanie z domu gotowych rękopisów do obróbki, poprawienia, powtórnego opracowania, było niemożliwe...

Zresztą tych gotowych już rękopisów i tak nie było zbyt wiele, poza tym sam byłem niezadowolony z tych tekstów, więc postanowiłem wszystko napisać od nowa, ale już od razu z pewną myślą, tzn.



Romuald Nowak, *W starej łaźni (Łaźnia łańcuszkowa)*, malarstwo olejne na szkle, 1994

Ze zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

żeby opisać pracę, od zjazdu do wyjazdu przez wszystkie miejsca, które poznałem. Na końcu był rozdział o łaźni, ale to mi akurat wyszło najlepiej, więc dałem na początek :)”.

*Szychtownica* jest książką, którą trudno porównać z cymkolwiek istniejącym w tym zakresie. Trudno też jednoznacznie nazwać jej rodzaj i gatunek literacki, określić właściwe miejsce w literaturze. Słowo „szychtownica” oznacza zeszyt prowadzony przez sztygara, gdzie zapisywane są dniówki każdego górnika, co później jest podstawą obliczenia wynagrodzenia.

Jarczewski nazywa szychtownicą swój zeszyt, w którym notował „dialogi, spostrzeżenia i refleksje”. Powstała książka tym bardziej niezwykła, że pisana z punktu widzenia językoznawcy, zafascynowanego językiem górniczym, jego odmianami i granicami ich występowania. Jest czymś nadzwyczajnym spostrzeżenie, że na poziomie 340 mówi się „hajerszczyzną” czysto śląską, a już na nowym poziomie 1000 metrów, do którego sprowadzono nowych pracowników królują „język gorolski”. Na 340 słyszy się na przykład słowo „haszpel”, a na poziomie 1000 metrów nie powiedzą na to samo inaczej jak „kołowrót”. A tych poziomów przecież więcej niż tylko te dwa: „Wystarczyło zjechać z poziomu 780 na 840, a nawet przejść od ściany do ściany, by znaleźć się w odmiennym krajobrazie językowym”. Jest *Szychtownica* więc także dziełem językoznawczym, osadzonym w rzeczywistości praktyki pracowniczej, co pozwala nazwać ją dziełem profesjograficznym. Trzecie wydanie (2014) zawiera zresztą dołączony dodatek *O metodzie profesjograficznej*.

Cała *Szychtownica* musiała czekać na zmianę ustroju. Książka nosi podtytuł „szlachetnego trudu górniczego niewiarygodnie szczerze opisanie”, co jest nawiązaniem wprost do podobnie skonstruowanego podtytułu poematu Walentego Różdzieńskiego „Officina ferraria”. Autor prowadzi czytelnika podziemnymi drogami. Zwiedzamy łaźnię, lampiarnię, przodek, poznajemy pracę elektryka, sposoby wentylacji, pracę na ścianie, problemy strzelania (urabiania za pomocą wybuchów). Krok po kroku wchodzimy głębiej w kopalnię. A przecież nie to jest u Jarczewskiego najważniejsze. To zaledwie sceneria głębszych rozważań, a zwłaszcza głębszych spostrzeżeń. Dlaczego na przykład w łaźni, gdzie jest 80 szafek, tyluż ludzi powinno kapać się pod prysznicami, a zawsze jest tylko czterech, pięciu? Wyliczenia Jarczewskiego odkrywają prawidłowości, o jakich na co dzień się nie myśli. Tak, czytelnik znajdzie w *Szychtownicy* liczby, wyliczenia, mnożenia i dzielenia, dodawania i odejmowania, dedukcje, wnioski wywiedzione z całych procesów myślowych, dowodowych, równań z niewiadomymi.

Ma też *Szychtownica* kilka rozdziałów o dużej wartości metaliterackiej. Autor snuje rozważania o możliwości stworzenia literatury o robotnikach i dla nich, o pracy. Konfrontuje stan obecny z dokonaniem socrealizmu, po przełamaniu którego pisarze jak gdyby zawstydzi się poważnego podjęcia tematu. Wskazuje na wagę prawdziwego języka górniczego w takiej postulowanej powieści lub sztuce, a stąd też wagę gwary miejscowej i zawodowej, w ukazaniu stanu faktycznego.

Czy istotnie np. słowa zaczepki: „Łón, ślusorz, powiedz mi, czemu ty tak (...) ta robota?” mogą być zastąpione literackim odpowiednikiem: „Panie ślusarzu, czemu pan tak lekceważysz robotę?”. W książce jest wiele ironii. Czasem trudno oddzielić ironię od akceptacji zjawisk. Metoda profesjograficzna każe stwierdzić istnienie tego czy owego, nie oceniając od strony moralnej. Świat wartości utrwalałonych, ogólnoludzkich, a więc powszechnie obowiązujących zdaje się pod ziemią zawieszają swe obowiązywanie. W jego miejsce wchodzi „hierarchia godnościowa”, która na powierzchni oznacza, że „kto w gębie mocniejszy, swój program nadaje”.

Utarczki słowne, które są najprostszym sposobem zwiększenia swego „potencjału godnościowego” i pomniejszenia tegoż u ofiary, mają swe odpowiedniki w psychologii stada; czyż nie tak toczą się walki o samiec lub czy nie tak wylania się ze zbiorowości samiec Alfa? Narrator nie wtrąca się, nie interweniuje, nie ocenia – choćby chodziło o zbiorowy gwałt na samotnej pracownicy dołowej. Czytelnik powierzchniowy przypomina sobie tu czasem niektóre opisy z *Archipelagu Gułag* Solżenicyna, zwłaszcza te, gdzie wykazywana jest wyższość hierarchiczna kryminalistów nad politycznymi.

Pyta czytelnik sam siebie o granice metody profesjograficznej, która łatwo może stać się badaniem pod kloszem, w izolacji od kontekstu społecznego i wartości wytworzonych przez społeczeństwo. Kiedy można jeszcze mówić o kulturze (rytuale) danego zawodu, a kiedy o braku kultury pojedynczych osobników, chamstwie, psychopatii, języku rynsztokowym, prowokacjach słownych? Książka Jarczewskiego zapisuje wydarzenia prawdziwe, swoiście typowe (nie ma powodu wątpić); czytelnik nie powinien się jednak załamywać, dowiadując się o takiej prawdzie i takiej typowości po raz pierwszy.

Gdyby groziło zwątpienie o „godności stanu górniczego”, niech przypomni sobie – dla przeciwwagi – górnicze poczty sztandarowe, górników stawiających szopkę w kościele, orkiestrę dętą, wszelką pocziwość, z jaką w tym środowisku miał do czynienia. I niech nie wini autora za takie, a nie inne przedłożenie spraw. Jarczewski nie zapomniał o wartościach. Tu ukazał jednak jak gdyby tylko to, co nawet teologia zakłada hipotetycznie, nazywając „naturą czystą”, a co jest suchym

opisem tego co jest, bez innych powiązań – w celu opisanego praw rządzących samą naturą, a więc bez Opatrzności, z wyłączeniem (hipotetycznym) celu ostatecznego, łączności z Bogiem. Pewnie dlatego nie ma tam świętej Barbary, jest zamiast niej „barbóra”, czyli młot cięższy od pylika. Gdyby jednak ktoś wątpił w autorską samoświadomość braku dobra czy braku nazwania zła, Jarczewski odpowie i na ten zarzut: „Teorii dobra, zła, ustroju i możliwości poświęciłem inne książki; tu pokazuję praktykę”.

Po *Szychtownicy* przyszedł kolejny dzieła, nie mniej uderzające i literacko wyróżniające się, które ugruntowały tak niespodziewanie i nagle zdobytą pozycję autora w literaturze. W 2007 roku *Szychtownicę* włączono do Narodowego Korpusu Językowego, czyli do zbioru tekstów, w którym można szukać typowych użyć słów i konstrukcji oraz innych informacji o ich znaczeniu i funkcji. To niezwykle wyróżnienie, zważywszy że projekt, który jest projektem badawczym Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, firmują wspólnie Instytut Podstaw Informatyki PAN, Instytut Języka Polskiego PAN oraz Zakład Językoznawstwa Komputerowego i Korpusowego Uniwersytetu Łódzkiego. Dr Bohdan Łukaszewicz nazwał *Szychtownicę* „klastyką profesjografii artystycznej”.

Dlaczego pisze tak, a nie inaczej? Zrozumiałe jest, że nie poddaje się presji „powierzchniowców”, którzy i tak nie rozumieją tego lub owego. Ale bywa, że i kole-dzy-górnicy czegoś nie rozumieją. Wtedy odpowiedzią może być tylko milczenie. Opowiadanie *Dokręcanie śruby* dopełnia miary zawartych w książce wartości metaliterackich. Jest opowiadaniem o pisaniu. A pisanie dokumentuje w tym konkretnym przypadku wielką katastrofę, której inaczej nie da się ludziom uprzyścić jak tylko milczeniem. Pisanie ma pokonać przymus milczenia, ocalić prawdę w jej przyziemnym wyglądzie. Pisze więc Jarczewski:

„Nie wiem, jak to wszystko poukładać. Wiem tylko, że nie przemilczę tego, o czym milczałem całe lata. Opiszę, bo to nie są tematy do bezpośrednich rozmów. Opowiadać próbowałem wielokrotnie, ale słuchacze nie pozwalali nigdy dokończyć. Co chwilę pytali »dlaczego?«, »jak to było możliwe?« i odbierali mnie niezwykle cennymi radami:

– Przecież można było zrobić wtedy inaczej, lepiej, logiczniej!...

Można było, prawda, ale w innym życiu: lepszym, logiczniejszym. To prawdziwe życie jest jednak takie jakie jest: gorsze niż wasze późnione dobre rady i piekielnie nielogiczne”.

*Tekst jest fragmentem książki Jacka Okonia, poświęconej twórczości literackiej górników, przygotowywanej w Wydawnictwie Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.*



# W setną rocznicę debiutu Zofii Kossak

BARBARA PYTLOS

Wydanie *Pożogi* Zofii Kossak w 1922 roku było ogromnym wydarzeniem literackim i czytelnictwem ku zaskoczeniu samej autorki, a po nim przysły kolejne sukcesy z *Krzyżowcami* (1935) na czele. Nie znaczący to wcale, że życie i droga twórcza autorki *Nieznanego kraju* (1932) toczyły się bez przeszkód. Pojawiały się one w roku 1939 wraz z wybuchem drugiej wojny światowej i właściwie trwały do końca życia. Jej książki wyrzucano z bibliotek, a w roku 1945 ją samą zmuszono do opuszczenia ojczyzny. Dla Zofii Kossak był to cios największy. Nie mógł być inny dla pisarki, której naczelną dewizą życia i twórczości była służba Bogu, ojczyźnie i człowiekowi. Czytelnicy pozostali jej wierni nawet wtedy, gdy jej powieści szukali u zaprzyjaźnionych księgarzy, bibliotekarzy czy antykwariuszy. Pisali o tym do niej w listach i zapewniali o pamięci.

W roku 2022 obchodzimy 100. rocznicę debiutu literackiego Zofii Kossak, czyli ukazanie się *Pożogi*. Rok ten dla przywracania pamięci o życiu i twórczości Zofii Kossak jest wyjątkowy, bo organizuje się w związku z tym wiele wydarzeń. Pierwszym i najważniejszym wydarzeniem było upamiętnienie przez IPN w Katowicach poprzez oznaczenie grobu Zofii Kossak plaketką „Grób weterana walk o wolność i niepodległość Polski” 9 kwietnia 2022 roku w 54 rocznicę jej śmierci. Po uroczystościach na cmentarzu w Górkach Wielkich odbyło się sympozjum na temat działalności pisarki w czasie okupacji we „Dworze Kossaków”.

Drugim ogniwem obchodów 100. rocznicy debiutu literackiego Zofii Kossak była zorganizowana w Uniwersytecie Śląskim konferencja, na którą przybyło wielu badaczy z różnych ośrodków naukowych w Polsce i nie tylko, takich jak: Białystok, Częstochowa, Katowice, Lozanna, Lublin, Łódź,

Siedlce, Warszawa. Życie i twórczość Zofii Kossak staje się przedmiotem różnorodnych dociekań i interpretacji, budzi zainteresowanie ludzi nauki, pedagogów, nauczycieli. Wystąpienia badaczy wywoływały żywą reakcję uczestników konferencji, toczono ciekawe dyskusje. Poniżej w skrócie przedstawiono przebieg obrad konferencyjnych. Konferencja odbyła się w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach na Wydziale Humanistycznym 13 czerwca 2022 roku. Jej patronami honorowymi byli: rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, województwo śląskie, Marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chęłstowski, prof. François Rosset (Uniwersytet w Lozannie, wnuk Zofii Kossak). Za organizację konferencji odpowiadali Uniwersytet Śląski w Katowicach oraz współorganizatorzy: Biblioteka Śląska, Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich i Towarzystwo Literackie im. Teodora Parnickiego. Patronat medialny sprawowały czasopisma: „Gazeta Uniwersytecka” i „Forum Akademickie”. Obrady konferencyjne na które złożyły się dwie sesje problemowe i dwie debaty (edukacyjna oraz translatorsko – wydawniczo – czytelnictwo – muzealna), rozpoczęto o godzinie 9.00. Uczestników konferencji powitali: rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Ryszard Koziołek, dziekan Wydziału Humanistycznego prof. Adam Dziadek oraz przedstawicielka władz samorządowych senator Beata Białowas.

Pierwszej sesji problemowej przewodniczył prof. dr hab. Adam Dziadek, a o życiu i twórczości Zofii Kossak mówili: prof. François Rosset (*Do kogo należą dzieła literackie? Na przykładzie twórczości Zofii Kossak*); prof. Dariusz Kulesza z Uniwersytetu w Białymstoku (*Zofia Kossak. Stan badań i antyautorski model prozy*); prof. Sławomir Buryła z Uniwersytetu Warszawskie-

go uczestniczył w obradach online (*Zofia Kossak w centrum krytyki*); prof. Tadeusz Bujnicki (*„Złota wolność” w sanacyjnym kontekście*). Następnie wystąpienia wyżej wymienionych badaczy poddano krótkiej dyskusji.

Uczestnicy konferencji podczas tej sesji poznali kierunki współczesnych badań nad życiem i twórczością Zofii Kossak. Prof. François Rosset, prezentując różne stanowiska w badaniach nad dziełem literackim, pytał: do kogo należą twory danego twórcy, w tym przypadku dzieła Zofii Kossak? W konkluzji stwierdzał, że należą one do czytelnika. I tak powinno być, ale istotna jest rzetelność publikacji. Prof. Rosset poinformował także, że dbając o nią, rodzina Zofii Kossak wyraziła zgodę prof. Dariuszowi Pachockiemu z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jako prowadzącemu projekt badawczy, na opublikowanie wszystkich listów Zofii Kossak. Prof. Dariusz Kulesza w wystąpieniu *Zofia Kossak. Stan badań i antyautorski model prozy* zauważył, że dla Zofii Kossak w życiu i twórczości ważne są wartości. Literatura katolicka posiada większe możliwości ich ukazywania. Zofia Kossak przedstawiając je w swoich dziełach wobec katolików nie stosuje taryfy ulgowej. W jej pisarstwie słowo „służba” to słowo klucz. Mając na uwadze antyautorski model prozy, należy rozumieć go następująco: pisarz podporządkowuje się temu, komu służy. W przypadku Zofii Kossak w pierwszej kolejności jest to służba Bogu.

Natomiast prof. Sławomir Buryła, mówiąc o Zofii Kossak w świetle krytyki, przywołał artykuł Tadeusza Borowskiego *Alicja w krainie czarów*, który był publikowany w numerze 1 w 1947 roku na łamach czasopisma „Pokolenie” na temat wspomnień *Z otchłani*. Przedmiotem refleksji badacza był również *Protest*, utwór z czasów okupacji. Prof. Tadeusz Bujnicki odwołując się do *Złotej wolności* analizował powieść w kontekście współczesności, po przełomie w roku 1926 i pierwszych wyborów w 1927 roku, w czasie, gdy toczyły się silne spory ideologiczne. Według badacza czytelne są historyczne odniesienia, na przykład hetman Stefan Żółkiewski przypomina Józefa Piłsudskiego. Wielkich wodzów – samotników, jak Stefan Żółkiewski czy Karol Chodkiewicz pisarka w utworze sytuuje na pierwszym planie, natomiast Piotra Skargę, także Stanisława Kostkę umieszcza na planie drugim.

Podczas dyskusji prof. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, podkreślając ważność obrad nad historią Zofii Kossak, wyraziła radość z zapowiedzi wydania listów Zofii Kossak przez prof. D. Pachockiego, dr Joanna Jurgała-Jureczka odwołując się do korespondencji Zofii Kossak zauważyła, że



W trakcie debaty.



Prof. Francois Rosset i Joanna Jurgała-Jureczka

przypisywanie pisarce antysemityzmu jest nieporozumieniem.

Drugiej sesji problemowej przewodniczył prof. Andrzej Kowalczyk (b. rektor Uniwersytetu Śląskiego). Podczas niej uczestnicy konferencji wysłuchali następujących wystąpień: prof. Pawła Tomczoka (*Narracje „Krzyżowców”*); prof. Marty Tomczok (*Refleksja środowiskowa w twórczości Zofii Kossak, wybrane przykłady*); prof. Dariusza Pachockiego (*Prywatne oblicze pisarki. Listy Zofii Kossak*); prof. Lucyny Sadzikowskiej (*Debiut przed debiutem. Młodzieńcza twórczość Zofii Kossak*).

Prof. Paweł Tomczok omawiając narracje w *Krzyżowcach* zwrócił uwagę na dominującą rolę narracji zbiorowości w powieści. W XX wieku masy stały się wiódące. Przedstawiony w utworze masowy porwy wiary potrzebował innej narracji. Zofia Kossak podjęła zadanie ukazania masowego ruchu wypraw krzyżowych, w których udział brali ludzie zwykli, ludzie grzeszni. Natomiast prof. Marta Tomczok w swoim wystąpieniu na podstawie reportażu *Na ziemi i pod ziemią* zwróciła uwagę na myślenie socjologiczne autorki utworu. Według prof. Tomczok utwór pisany był ku przestrodze. Zofia Kossak ukazała w nim, jak ludzkie działanie może niszczyć środowisko naturalne, zwróciła uwagę na dokładność, precyzyjność i malarstwo opisów.

Prof. Dariusz Pachocki, mówiąc o prywatnym obliczu pisarki wyłaniającym się z listów, wymienił kilka cech, które mogą świadczyć o tym, iż autorka *Dziedziectwa* jest godnym wzorcem do naśladowania. Są to między innymi: prawość charakteru, stosunek do rodziny, wartość domu i „wyspiarski” tryb życia. W listach czytelnik znajduje różne tematy: od opisów krajobrazów począwszy a na śmierci skończywszy. Z interpretacji prof. Lucyny Sadzikowskiej młodzieńcych utworów Zofii Kossak, jak m.in. *Wycieczka do Kozic*, *Stare kantyczki*, *O wilku mowa*, drukowanych w czasopiśmie „Wieś i Dwór” i „Wieś Ilustrowana” wyni-

ka, że proces dorastania pisarki do wyboru drogi twórczej rozpoczął się dość wcześnie, chociaż nie był jasno sprecyzowany. Wahania między literaturą i malarstwem trwały dość długo. Powodzenie wydawnicze *Pożogi* w pewnym stopniu ułatwiło ów wybór, ale dopiero czytelnicza fascynacja *Błogosławioną winą* przesądziło o pisarskiej służbie Zofii Kossak wobec Boga, ojczyzny i człowieka.

Po przerwie obiadowej moderatorem debaty edukacyjnej był Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Ryszard Koziołek, a uczestniczyli w niej prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, prof. Elżbieta Hurnik, dr Joanna Jurgała-Jureczka, prof. Elżbieta M. Kur, dr Tomasz Pawlus – nauczyciel liceum. Podczas debaty zastanawiano się w jaki sposób twórczość Zofii Kossak przywrócić młodemu pokoleniu



Prof. Tadeusz Bujnicki.

i szkole, skoro szkoła i historia nie bardzo się lubią, ponadto przedmiot ten był i jest przekazywany młodym fragmentarycznie, na dodatek nie zawsze prawdziwie. Padały różne propozycje, między innymi prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz uważa, że popularyzację twórczości Zofii Kossak można zacząć od utworu o Kacperku górskim skrżacie; prof. Elżbieta Hurnik zastanawiała się nad opracowaniem fragmentów dzieł pisarki w postaci antologii, a prof. Elżbieta Kur przywołała pojęcie edukacji mądrościowej (ukazywanie problemów na zasadzie opozycji tematycznych, jak słabsi – silniejsi, fałsz – prawda itd.). Natomiast dr Joanna Jurgała-Jureczka apelowała, aby o Zofii Kossak pisać prawdziwie. Wszyscy uczestnicy debaty byli zgodni, że Zofii Kossak w polskiej edukacji należy się miejsce zaszczytne, zgodne z jej dorobkiem twórczym.

W dyskusji zabrał głos obecny na obradach ks. abp Damian Zimoń, popierając ideę przywrócenia dzieł pisarki do obiegu czytelniczego, gdyż jej zasługi dla literatury polskiej, a także jej działalność społeczna w czasach dla ojczyzny i Kościoła trudnych nie wymagają specjalnego uzasadnienia. Natomiast debatę translatorsko-wydawniczo-czytelniczo-muzealną prowadziła prof. Renata Dampc-Jarosz, a udział w niej wzięli: prof. Zbigniew Kadłubek, prof. Krzysztof Kłosowicz, prof. Zdzisława Mokranowska, Higinio J. Paterna Sanchez, Diana Pieczonka-Giec – kierownik Muzeum w Górkach oraz red. Anna Zalewska reprezentująca lubelski Instytut Edukacji Narodowej.

W debacie też podnoszono sprawy popularyzacji życia i twórczości Zofii Kossak poprzez inne formy docierania do czytelnika, na przykład poprzez wystawy. Interesujące były wypowiedzi tłumaczy dzieł Zofii Kossak na język niemiecki i hiszpański. Na zakończenie obrad konferencyjnych podsumowania dokonali prof. Lucyna Sadzikowska, prof. Andrzej Kowalczyk, i prof. Paweł Tomczok wyrażający nadzieję na kolejne spotkanie dotyczące Zofii Kossak.

Obradom towarzyszyły żywe dyskusje kularowe i oglądanie świetnej wystawy pierwszych edycji tekstów autorki *Pożogi* przygotowanej przez dr Weronikę Pawłowicz i dr Barbarę Maresz z Biblioteki Śląskiej. Słuchacze bowiem wytrwali do końca konferencji, a prelegentom żal było się rozstawać. Można przytoczyć słowa pisarki z *Dziedziectwa* „Ludzie potrzebują Sztuki. Nawet nie zdają sobie sprawy, jak bardzo jej potrzebują” – a konkretnie – tak bardzo potrzebują Literatury! ■

**Historia Zofii Kossak. Doświadczenia i konteksty. Konferencja naukowa w związku z jubileuszem 100. rocznicy debiutu literackiego Zofii Kossak.**



# M5 Myśliwskiego: monolog, montaż, motyw, memuar, metafora (NA PRZYKŁADZIE „WIDNOKRĘGU”)

Jerzy Paszek

Nagrodzona w roku 1997 statuetką Nike powieść Wiesława Myśliwskiego (cytuje pierwszą edycję z roku 1996 Warszawskiego Wydawnictwa Literackiego MUZA i jego serii „Biblioteka Bestsellerów”) zasługuje – po ponad ćwierćwieczu – na szczegółową analizę ze względu na swoją skomplikowaną strukturę tekstologiczną, osadzenie w XX-wiecznej tradycji prozy oraz niejasne przesłanie ideowe. Rzut oka na dedykację („Grzegorzowi, synowi mojemu”, s. 5) oraz ostatnie zdanie: „Przynieść ci jeszcze morza?” (s. 596) pozwala się domyślać wścibskiemu czytelnikowi, który przecie może znać tom autora pt. *W środku jesteśmy baśnią. Mowy i rozmowy* (Kraków 2022, Wydawnictwo ZNAK), identyczności Grzegorza i powieściowego Pawelka, pytającego się na plaży ojca, Piotra, o potrzebę przyniesienia jeszcze jednego wiaderka wody do budowy zamku. Jest to wyraźna kłamra kompozycyjna, gdyż ujawnia się tu tematyka więzi ojca z synem: najpierw Zygmunta z Piotrem, a potem Piotra z Pawłem (w „Prologu” mamy obraz fotografowania przez Niemca Hankego Zygmunta z Piotrem, a na końcu anonimowego fotografa, który zrobił zdjęcie Piotra i Pawła – druga powieściowa kłamra). Gdyby rzecz aluzyjności wyczerpała się w tym miejscu, to wypadaloby przypomnieć sobie problematykę *Ulissesa* Jamesa Joyce’a, gdzie Bloom, po stracie syna Rudolfa, chce porozumieć się ze Stefanem Dedalusem, by stać się jego opiekunem, przybranym ojcem.

Ale oczywiście nie jest to jedyna kwestia intertekstualna w utworze Myśliwskiego. Rozdział 7. został zatytułowany „W poszukiwaniu zgubionego buta”, co przypomina nagłówek 7-tomowej powieści Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu!* Dostrzegam tu nie aluzję hołdowniczą, lecz raczej pastiszową, prześmiewczą! A przecież pojawia się w rozdziale 9. („Zabijcie i mnie, panowie”) wcale nie tak humorystyczna, lecz sentymentalna i wirtualna opowieść o powojennej herbatce, wypijanej w Sandomierzu (nazwa miasta

nie pada w narracji ani razu!) przez Piotra z poznaną na wsi panią burmistrzową; herbatka ta przypomina magdalenkę i herbatę z kwiatów lipy w utworze Prousta! Żeby było jeszcze dziwniej, fabuła rozdziału o zgubionym butcie może dotyczyć też śmiesznego żądania Paddy’ego Dignama, domagającego się podczas seansu spirytystycznego od słuchających go pijaków w pubie Kiernana, by „powiedziano jego drogiemu synowi Patsy, że ten **drugi but, którego poszukuje**, znajduje się pod komodą w alkowie [...] Stwierdził, że zakłócało to wielce spokój jego umysłu w innych rejonach [czyli w zaświatach], i usilnie nalegał, aby oznajmiono tę jego prośbę” (J. Joyce: *Ulisses*. Przeł. M. Słomczyński, Wydawnictwo ZIELONA SOWA, Kraków 1997, s. 300, rozdział „Cyklop”).

Ośmielam się sądzić, że w makrostrukturze *Widnokregu* dominuje makromotyw Piotra, a w tym wielkim monologu pojawiają się mikromonologi wielu postaci (burmistrza, furmana, chorego amanta, panien Ponckich, nauczyciela Piotra (jego „pana”), mamy, koleżanki szkolnej (Anny, późniejszej żony Piotra) itd. Gdyby tak było, to źródłem tej dominującej struktury narracyjnej byłby monolog Joyce’a, strumienie świadomości, tak charakterystyczne np. dla Dedalusa czy Molly, żony Blooma. Myśliwski – dla zmylenia tropów? dla zabawy? dla podniecenia ciekawości czytelnika? – te mikromonologi komplikuje w sztuczny sposób: w makromonologu Piotra („Lecz paznokci u rąk nie dała sobie matka pomalować”) pojawia się monolog jego matki („Odwrócić też bywa, panno Rózo, panno Ewelino”), w którym przeplatają się głosy Róży i Eweliny Ponckich („Tak ten ksiądz mówił. I wcale nam znów takich ciężkich pokut nie zadał”), czeszących i malujących żonę Zygmunta, mającą spotkać się z nauczycielem Piotra (s. 246–251). Nawiasem mówiąc, narrator tak czuły jest na kobiecą stronę świata i światopoglądu, że czytelnik musi podziwiać tę jego znajomość ubierania się czy gotowania

posiłków (feminizm czy „babskie pisanie”? Bo kto wie, co to są, dwuznaczne zresztą, „półślupki”? Bo kto zna przepis na „boski sernik”?). Te monologi wyróżniają się nawrotami tych samych słów i sekwencji wyrazowych: „jakie będzie po wojnie nosiła [stroje]: pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze” (s. 35); „te wszystkie pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze, szale” (s. 36); „te wszystkie pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze, szale” (s. 36–37). Koperacja paralelizmów i powtórzeń wyrazów jest naczelnym chwytem stylistycznym *Widnokregu!* Czy wpływa to na muzyczność utworu? Oto pytanie...

Otóż gdyby motyw przewodni pojawił się jedynie w rozdziale 8. („Nie za tańczzone tango”), wówczas nie miałbym pretensji do Myśliwskiego o manieryczność stylu; o to, że uzbrajając matkę Piotra w zamiłowanie do zbierania przepisów kulinarnych, sam także popisuje się w swoich memuarach przepisywaniem czy nawet przepisywactwem! Bo w wymienionym rozdziale sekwencja wyrazów: „cały czas grali walce, polki, kujawiaki, nawet marsze” (s. 435) wybrzmiewa kilkanaście razy, tworząc refrenowy poliptyton: „wszystkie walce, polki, kujawiaki, marsze” (ib.), „Przepuszczałem wciąż te wszystkie walce, polki, kujawiaki, marsze i czekałem od nowa na tango” (s. 452), „sala roztańczona w tych walczykach, polkach, kujawiakach, marszach” (s. 454), „znów polecą te walce, polki, kujawiaki, marsze” (ib.), „bo walce, polki, kujawiaki, marsze potrzebują miejsca” (ib.), „po tych walcach, polkach, kujawiakach, marszach” (ib.), „zagrali znów walca, polkę, kujawiaka, marsza” (ib.), „grali wciąż te walce, polki, kujawiaki, marsze” (s. 463), „pośród tych walców, polek, kujawiaków, marszów tańczymy i dla nas orkiestra gra tango, reszcie grając walce, polki, kujawiaki, marsze” (ib.), „te walce, polki, kujawiaki, marsze” (ib.), „po kolejnej wiązance walców, polek, kupa-

wiaków, marszów” (s. 464), „ciągnące się w nieskończoność walce, polki, kujawiaki, marsze” (s. 466).

W jednym, „tanecznym”, rozdziale taki wyrazisty refren i motyw przewodni miałby sens. Przypominam, że u Joyce’a, przykładowo, muzyczny motyw opery *Róża Kastylii* rozciąga się w całej długiej (ok. 800 stron) powieści, a tylko w epizodzie „Syreny” napotykaamy nagromadzenie różnych krótkich sekwencji, zapowiedzianych w incipicie tej fugi literackiej. Natomiast u Myśliwskiego główny motyw niezatańczenia tanga przez Annę i Piotra jest dodatkowo „dodolowany” motywem dobierania bohaterowi przez panny Ponckie krawatu (krawaty „wybrane, przebrane” na s. 441, 442, 446) oraz enumerację kochanków tych panien: „Ten był, tamten był [...] Ten, przechodzi teraz na drugą stronę ulicy, był i tamten [...] i ten, co idzie pod rękę z tą panią, i ten, co z księdzem [...] A ten, co wszedł teraz do sklepu [...] I ten, co jabłka przez straganie kupuje, i ten, co wózek z dzieckiem pcha [...] Ten, co z trybuny przemawia [...] był, i co się zatacza, pijany, i co z kimś tam rozmawia, był, był, był” (s. 448). Czy takie nagromadzenie persewerujących ciągów słów nie podpada pod paragraf manieryzmu? A może obraz opiekujących się Piotrem aż po swoją starość panien Ponckich jest ukrytym przesłaniem utworu: Czy kobiety rządzą tym światem, czy tylko kierują się żądzą? Metafory dotyczące siły niewiast bywają tu bowiem zdumiewające (co jeszcze zademonstruję).

Bo przecież nie tylko w zaprezentowanym tu jednym „tanecznym” rozdziale widać taki chwyt stylistyczny. W każdym monologu kolejnych bohaterów występują podobne paralelizmy oraz powtórzenia. Przykładowo, w monologu Szmula „ciągną się w nieskończoność” żale ojca nad niechęcią jego córki, Sulki, do noszenia majtek: „A ty [zwraca się do wujka Władka] myślisz, że ona nie ma [majtek]? Ona całą furę ma. O, taki kufer ma i jeszcze półkę. Co ja mówię, szafę ma. Ona ma białe, ona ma niebieskie, ona ma różowe, ona sama nie wie, co tego ma. [...] Co rano jej się mówi, załóż, Suluś, majtki. Grzech bez majtek albo gorzej, bo Sodoma i Gomora” (s. 294–295).

Dla czytelnika *Widnokregu* kłopotliwe jednakże mogą być nie tyle te wszystkie perseweracje, paralelizmy, refreny i enumeracje. Chodzi mi tym razem o kompozycję powieści. Oto autor igra tu sobie z przechodzeniem od monologu jednej postaci do wypowiedzi kolejnego bohatera. Przykład już padł w zachodzeniu (zazębianiu się) monologu Piotra na wypowiedź jego matki, przerywaną głosami panien Ponckich. Gdy lektor w ostatnim rozdziale pt. „Dotknięcie” czeka na pointę w obrazie pękniętego kostiumu kąpielowego Anny i dotykania jej piersi

przez Piotra, nagle młody narrator staje się dorosłym i statecznym ojcem Pawła, a rzeka, po której z Anną płynię w kajaku – przekształca się w morze: „Morze zdawało się odpychać daleki widnokrąg coraz dalej i dalej” (s. 591). Oto jakie sztuczki wprowadza tu montaż w kompozycji rozdziałów i całego tomu.

A nie trzeba znać historii kina, by wiedzieć coś o sztuce montażu. Mój ojciec, oglądający filmy przed II wojną światową, nie mógł długo zrozumieć, jak w filmach telewizyjnych, w ulubionych przez niego kryminałach, bohater wysiada z fotela samochodu i zaraz sadowi się w fotelu w salonie: Dawniej, mówił mi, facet wchodził do domu, szedł po schodach, pukał do drzwi, witał się z gospodarzem, i dopiero wtedy siadał na krześle... A teraz nie wiadomo, jak znalazł się w cudzym mieszkaniu! Jakież to był przeskok – ten sposób montażu! U Myśliwskiego montaż kolejnych scen pewnie ma służyć zaciekawieniu czytelnika akcją, a staje się utrudnieniem lektury, bo nie wiadomo kto i od kiedy przemawia, włącza się i wtrąca (zahacza!) do dyskursu.

Rozdział 1. – „Bitwa pod Kannami” – zawiera dwie tajemnicze sytuacje dla czytelnika. Są to nawiązania do bitew Hannibala w innej części utworu, gdy pojawia się szereg opisów wszczywania bojów, bez wyjaśnienia: „Mówił: // – – Mgła była gęsta jak mleczna ściana, a kiedy zaczęła opadać, oczom ich ukazały się nieprzyjacielskie zastępy, jakby spod ziemi wyrosłe. // Mówił: // – – I wtedy przed obliczem króla zjawiono się dwóch konnych rycerzy, zsiadli i wbili dwa miecze przed nim w ziemię” (s. 328). Łatwo się polapać, iż drugi incipit jest początkiem bitwy pod Grunwaldem w roku 1410. A pierwszy fragment opisowy może dotyczyć wielu starć żołnierzy. Jak i inne zdania z monologu Piotra, w którym przytacza słowa swojego ojca (s. 329–331). Słuchając oficera, Piotr dochodzi do wniosku: „I nie byłoby już bitew, bo bitwa z bitwy wyrasta, a każda jest miarą odniesienia do następnej bitwy” (s. 70). Uważam, iż w tym pierwszym rozdziale powieści kryje się najlepszy dowcip Myśliwskiego: otóż ojciec dlatego opowiada o historycznych walkach, by opóźnić swoje wspinanie po schodkach z dzielnicy Rybitwy do centrum miasta. Syn słyszy o **bitwach**, podtrzymując ojca w sandomierskich **Rybitwach**. Stąd pointa rozdziału kryje się w słowach matki do starszyny (starszego sierżanta) Iwana, prowadzącego rzeźnię: „Medal to on [mąż] miał. O, lepiej żeby pan kawałek mięsa przyniósł. Zrobiłabym **bitkę** czy ugotowałabym. Mój Boże, tak dawno nie jedliśmy mięsa” (s. 80). Tak nawiasem, czy te bitki nie są aluzją do zakończenia *Kosmosu* Witolda Gombrowicza (obiadowa potrawka z kury)?

Z memuarami jest podobnie jak z dziennikami pisarzy. Gdy tylko mają autorzy okazję, by coś w swoich diariuszach poprawić, to chętnie z nich korzystają (tak robiła i Maria Dąbrowska, i Zofia Nałkowska). W pamiętnikach łatwiej podstylizować się na mądrzejszego, wycinając jedne fragmenty, a dodając inne, mające charakter spełnionego proroctwa (przypadek *Dziennika 1954* Leopolda Tyrmanda, wydawanego po latach, bo w roku 1980 i 1981, z licznymi „poprawkami”). Memoryzacja przypomina tu marmoryzację, czyli upiększanie! Można w tym celu wyzyskać metaforykę. Jakże nie polubić hiperboliczne przenośnie i porównania homeryckie Myśliwskiego? Oto przykłady jego podziwu dla uroków kobiecych: „potem spod tych kołder wysunęły się ich pełne ulgi piersi, które zajaśniały w tych ciemnościach niczym cztery lampy” (s. 487 – opis dotyczy panien Ponckich); „włosy [wujenki] czarną chmurą przesłoniły jej twarz” (s. 10); „bo i piersi ma wujenka bogacnie. Chybaby się wypchnęły z miednicy, gdyby je obie naraz zanurzyła” (s. 11); „Piersi z niej buchnęły, jakby chciały przeskoczyć do gdzieś tam stojącego naprzeciwko niej wujka” (s. 173 – o wujence Jadwini). Urodą pani fryzjerowej, kąpiącej się w rzecie, Fredek Guz zachwycą się po pastersku: „Jezu, chłopaki, jakie cyce! O, jak wasze głowy. A między nogami krzak, mówię wam, niech tak skonam, i tak samo czarniocha” (s. 149); Piotruś patrzy na żonę fryzjera poetycko: „dotknęła mojego czoła, a jakby nie ręką, lecz gałązką jaśminu” (s. 153).

Można również wykorzystać aluzje biblijne: panny Ponckie nawiązują wprost do Piłata Poncjusza, a imiona Piotr i Paweł – do ważnych apostołów chrześcijańskich. Albo czcigodne aluzje do *Kazań świętokrzyskich* z ich sentencją-nakazem: „pobudza, ponęca i powabia” (*Kazanie na dzień św. Katerzyny*). Będą to takie poszerzające horyzonty czasowe fragmenty aliteracyjne *Widnokregu*, jak: „poklepał, pogłaskał, popatrzył w zmartwiałe oczy” (s. 52, Iwan przy krowach); „Miłość trzeba wyteśknąć, wycierpieć, wypłakać” (s. 563, Ewelina do Piotra); „Wiecznie jakby w siebie zapadły, zapatrzone, zamysłony” (s. 574–575, o ojcu Piotra).

Mogę rzec, iż po ponownej lekturze *Widnokregu* czuję w ustach smak gorzko-słodki. Słodkie bywają tu metafory i homeryckie porównania, leksyka wyzyskująca zasoby chłopskiej mowy, czasem motywy przewodnie, przywoływane na myśl muzykę. Gorzkie zaś są dla mnie manieryzmy stylu lub kompozycji, upiększane memuary, pułapki monumentalizującego montażu monologów. Bo przecie po *Mowach i rozmowach* wiemy, ile autobiograficznych memoryzacji i marmoryzowania tkwi w tej nagradzanej powieści!



Katarzyna Tubylewicz postanowiła zapytać o samotność mieszkańców Północy. Ta niepozorna opowieść potrafi zaskoczyć czytelnika. Po tytule można by wnioskować, że głównym i zarazem jedynym tematem będzie samotność Szwedów. Autorka nie ogranicza się jednak tylko do tego zagadnienia, analizuje także różne rodzaje i aspekty alienacji. Zarówno samotność z wyboru, jak i z przyczyn niezależnych od człowieka, jest tematem poruszonym przez autorkę. Każde zagadnienie w reportażu wzbogacone jest refleksją na dany temat, nie jest potraktowane powierzchownie. Widać, że reporterce zależało na odpowiednim przedstawieniu problemu. Proporcje rozważań egzystencjalnych, opisów natury, osób, wywiadów są przemyślane. Poruszane przez autorkę wątki przeplatają się w sposób uporządkowany, tworząc zrozumiałą dla odbiorcy fabułę. Język, którego używa Katarzyna Tubylewicz nie jest naukowy, przez co sięgać po książkę może praktycznie każdy. Reportaż czyta się płynnie, budowa zdań nie jest problematyczna, przez co łatwe jest zatracenie się w prezentowanej rzeczywistości. Nie trzeba zatrzymywać się nad poszczególnymi słowami, zwrotami, by dobrze zrozumieć tekst.

Głównymi bohaterami reportażu jest autorka, która jest zarazem narratorem, oraz jej syn. Przedstawiona jest ich podróż po różnych regionach Szwecji, a autorka nie pomija w opowieści różnych niuansów. Opowiadana historia jest pełna emocji narratorki, momentami sprawia wrażenie intymnego pamiętnika. Poznajemy nie tylko samotność Szwedów, ale także samej Tubylewicz, która nie stroni od wstawek autobiograficznych, własnych wrażeń. Opisuje swoje podróże w sposób przejmujący, nie zapominając o detalach.

Fundamentem reportażu są jednak wywiady. Dziesięć rozmów z różnymi osobami i jednym tematem przewodnim – samotnością. Zestaw osób, które autorka zaprosiła do współpracy, jest interesujący i zaskakujący. Profesor religioznawstwa, Żydówka, pisarze, doktor, reżyser, szpieg i nauczyciel medytacji są nietypowym połączeniem. Dopełnio po lekturze książki czytelnik zrozumie, że jest to bardzo dobry dobór osób. Rozmowy przeprowadzone są bardzo przemyślane, dając gościom możliwość rozwinięcia myśli, odniesienia się do własnych doświadczeń. Pytania są powiązane nie tylko ze sobą, ale również z myślą przewodnią reportażu oraz samym rozmówcą, przez co czytelnik ma okazję poznać go lepiej, zrozumieć, wcielić się w jego postać, poznać obecne w nim dylematy.

Lekturę wzmacniają liczne zdjęcia wykonane przez syna autorki książki. Są idealnym dopełnieniem tematu, pozwalającym czytelnikowi zobaczyć niezwykle walory szwedzkiej fauny, flory oraz wytworów człowieka. „Krajobraz, który koi duszę” – taki opis Tubylewicz zamieściła pod jednym ze zdjęć i nie trzeba się długo zastanawiać, aby zrozumieć sens tej sentencji. W książce

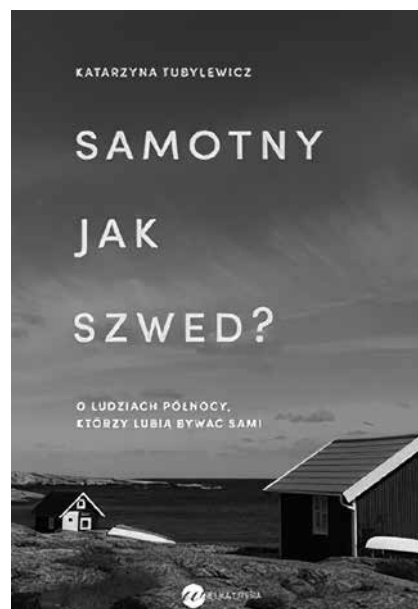
## Samotność – inaczej

KSIĄŻKI

niejednokrotnie podkreślana jest rola terapeutyczne przyrody, jej wpływ na człowieka. Mowa jest także o samotności wynikającej z potrzeby obcowania z naturą, która nadal dla człowieka jest czymś niepojętym, zagadkowym. Zachwyca, przeraża, fascynuje. Paradoksalnie jest zarazem zmieniająca i stateczna. Można by zakwestionować niezbędność fotografii, ponieważ przy obrazowym opisie czytelnik jest w stanie sam wyobrazić sobie konkretny krajobraz. Niepotrzebnie. Zdjęcia, na które można patrzeć godzinami, bez wątplenia przenoszą nas w pejzaż Północy. Jedyny problem z nimi związany dotyczy ich rozmieszczenia. Zdarza się, że znajdują się one w środku wywiadu, niejako odciągając czytelnika od rozmowy.

Przez otwartość autorki na różne formy samotności, książka nabiera uniwersalnego charakteru. Czytelnik może się z nią w jakimś sensie utożsamić, ponieważ reportaż mówi także o tym, że samotność nie jest wyłącznie egzystencją w pojedynkę. Można być wyobcowanym wśród ludzi, w związku, w dorastaniu. Jeden z rozmówców mówi: „Bo samotność z wyboru nie jest żadnym problemem i myślę, że nasz naród wspólnie pielęgnuje umiejętność zagłębiania się w sobie. Bardzo to doceniam. To, że jest tu tak dużo akceptacji dla tego, że każdy człowiek potrzebuje swojej przestrzeni, czasu i miejsca na refleksję”.

Książka skupia się na mieszkańcach Północy, którzy są dobrze znani autorce. Ich mentalność, sposób funkcjonowania i podejście do życia rodzą pytania o poczucie odosobnienia. Samotność Szwedów to twierdzenie prawdziwe, jednakże nie do końca takie, jak jest przedstawiane. Nie brakuje także rozważań o przyczynę wyalienowania. Autorka nie ocenia ludzi samotnych, nie neguje ani nie wychwala ich postawy, wyborów. Prezentuje i przed-



MAJA SIWIEC

stawia fakty z nimi związane. Przytacza rozmowę z mężczyzną, który wychowywał się w dwóch krajach – wyobcowanych Szwedów i otwartych, towarzyskich Włochów. To zderzenie dwóch skrajności: samotności i bliskości, Północy i Południa. Zestawienie pozwala zrozumieć mentalność obydwu stron, poznać zalety i wady tych odmiennych stylów życia, problemy, które występują po obu stronach.

Czasami zdumiewa opis Szwecji. Przedstawiane są jej dobre strony, a także wady. Jest jednak i tak, że reporterka gloryfikuje to państwo. Niektóre opisy przypominają raczej klimat utopijnego, wymyślnego miejsca. Krajobraz, sposób życia, ludzie bez najmniejszych skaz – to chwilami odbiera przedstawieniu wiarygodność. Na szczęście takich hiperboli jest niewiele, a przeważają opisy, które nie służą wychwalaniu narodowości, a skrupulatnemu odzworowaniu tematu.

Nie znajdziemy w tym reportażu niewiarygodnych zwrotów akcji, mrozących krew w żyłach scen, czy tajemniczej atmosfery. Zagłębiając się w lekturę, czytelnik ogarnia spokój, ale i melancholia. *Samotny jak Szwed?* to niezwykła, literacka podróż po Szwecji, mentalności jej mieszkańców, ich sposobie życia. To również analiza zagadnień, które mogą pozwolić na odkrycie wcześniej nieznanego części samego siebie. Nie jest to lektura po którą się sięga, gdy chce się przeczytać coś niewymagającego nadmiernego myślenia. Reportaż Katarzyny Tubylewicz porusza popularne, ale niełatwe tematy samotności w mniej oczywisty sposób.

**Katarzyna Tubylewicz: *Samotny jak Szwed?* Wielka Litera, Warszawa 2021, s. 272.**

Margarethe Korzeniewicz w eseju biograficznym *Joseph von Eichendorff. Inaczej* chce nam opowiedzieć o poecie z Lubowic. Ów podtytuł – jak napisał w posłowie Zbigniew Kadłubek – ma dla nas i dla niej moc kluczową, bowiem: „to »inaczej« stanowi rdzeń egzystencjalnej filozofii górnośląskiej oraz twórczości łukowickiego poety późnego romantyzmu. »Inaczej« – dodaje znaczeń. »Inaczej« – to jest wezwanie dla nas wszystkich: Górnoślązaków, Kabardyjczyków, Marsjan, Polaków, wszystkich użytkowników języka kwa, ludzi uprzejmych i nieuprzejmych, istot ziemskich i pozaziemskich, kamieni, drzew, traw i ptaków. *Hinaus!* A tam dalej w tym »inaczej« świecą gwiazdy w galaktycznych odległościach, których odległości nie potrafię ocenić. A wiecie, dlaczego mówię o tym na koniec? A ty, panie baronie, wiesz? No? Po prostu. »Am liebsten betrachte'ich die Sterne«”.

Korzeniewicz próbuje zatem spojrzeć na biografię poety kontekstualnie, badając skąd się wziął i dokąd zmierzał. W sukurs przychodzi jej dokumenty życia codziennego: prowadzony z przerwami w latach młodzieńczych dziennik, czy korespondencja skierowana do rodziny, przyjaciół, znajomych, a nawet przełożonych, obszerna twórczość literacka, ale także teksty naukowe zajmujące się historią, polityką czy religią. W słowie odautorskim wyjaśnia nam zresztą postawiony przed esejem zamiar następująco: „Celem mojej książki jest pokazanie Josepha von Eichendorffa na tle epoki, w której żył, jego konstelacji rodzinnych i zawodowych, relacji ze słynnymi ludźmi pierwszej połowy XIX wieku. Jest to też próba naszkicowania osobowości człowieka zamkniętego w sobie, unikającego wywnętrzania się czy zwracania na siebie uwagi”.

Autorka prowadzi swój wywód w zasadzie chronologicznie, jednak kiedy wymaga tego klarowność rozwidła szlaki, pozostawiając osobne rozdziały na wątki dotyczące się równoległe lub na szczególnie ważne wydarzenia, które wywarły donośny wpływ na życie łubowickiego barona. Tak jest w przypadku losów brata Wilhelma czy siostry Luise. Takim był też z pewnością rozpoczynający biografię obraz fermentu intelektualnego środowiska uniwersyteckiego w Jenie, któremu patronował ówczesny minister rządu weimarskiego sam Johann Wolfgang Goethe. Do grona profesorskiego należeli wybitni filozofowie: Johann Gottlieb Fichte, Friedrich Wilhelm Joseph Schelling, Georg Wilhelm Friedrich Hegel – jak pisze autorka, a – Alma Mater Jenensis szczyt się będzie najwyższym europejskim poziomem. Tam to w salonie literackim przy ul. Leutragasse 5 podczas gorących dyskusji narodzi się: „To »nowe« [które] wejdzie do historii literatury pod nazwą »wczesnego romantyzmu«. Zostaje nakreślony program zrewolucjonizowania literatury, sposobu jej publikowania, innego spojrzenia na czytelnika i krytyka, uznania powieści za gatunek literacki, w którego tekst wplata się utwory poetyckie, interpretacji dzieła malarzkiego, metody rozważań filozoficznych tudzież formy rozpraw na temat najnowszych

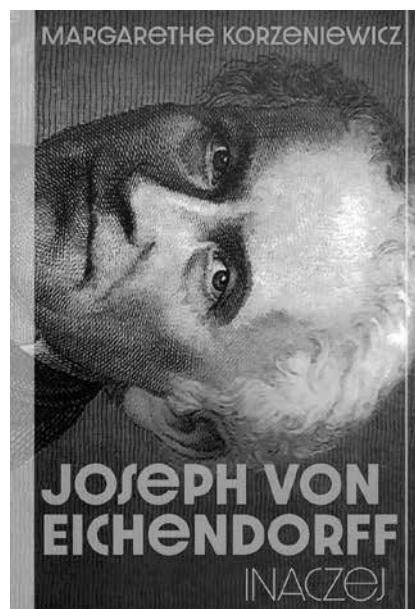
## Czy znamy Josepha von Eichendorffa?

KSIAŻKI

osiągnięć nauk przyrodniczych, pogawędek na różne tematy w stylu dzisiejszego felietonu”.

W imieniu zdziwionych obszernym opisem środowiska jeneńskiego sprzed narodzenia romantyka Korzeniewicz sama zadaje nasuwające się pytania: „Czy powyższe wywody mają coś wspólnego z Josephem von Eichendorffem?” i natychmiast wyczerpująco na nie odpowiada: „Otóż mają! Dwoje spośród uczestników jeneńskiego spotkania będzie za 12 lat (1811) promotorami literackich ambicji młodego Josepha: Dorothea Veit (już jako Dorothea Schlegel, zwłaszcza ona!) i Friedrich Schlegel. Małżeństwo Schległów odegra istotną rolę w kształtowaniu się i rozwijaniu w Josephie romantycznej estetyki i przyczyni się do napisania przez niego pierwszej powieści, kreując w ten sposób autora, którego od prawie dwustu lat określa się, nie zawsze zresztą słusznie, mianem »ostatniego romantyka« (byli »bardziej ostatni«, tyle że Eichendorff żył stosunkowo długo i pasował do romantycznych szablonów jeszcze wówczas, kiedy romantyzm się skończył)”.

Powyższy cytat jest nie tylko dowodem na obszerny zakres przywoływanych kontekstów, ale i na wyrazistość oraz jędrność obserwacji. Ten rodzaj dialogu z czytelnikiem ożywia biografię. Skraca dystans. Sprawia, że jej autorka staje niejako po obu stronach swojego wywodu, będąc wnikliwą eseistką, a zarazem emocjonalną odbiorczynią przekazywanych treści. Na jedno jeszcze w związku z lekturą należałoby zwrócić uwagę. Mianowicie na jej sensualizm ukryty w szczególe opisu, a stanowiący w tym względzie jakoweś powinowactwo z samą twórczością autora *Skrzydeł duszy* i wprowadzające nas w jej klimat. Kiedy bowiem poznamy – miejsce, otoczenie, osobę – przenosimy się „tam i wtedy” chłonąc kartograficzno-przyrodniczo „cielesne” szczegóły. Tak na przykład rozpoczyna się prezentacja Jeny: „Harmonię tego miejsca tworzą porośnięte lasem wzniesienia łagodnie



PIOTR SKOWRONEK

opadające ku dolinie przeciętej nurtem płynącej szerokimi zakosami Soławy. Rozłożone po obu stronach miasto idealnie wpisuje się w pejzaż przypominający włoską Toskanię. Dzięki łagodnemu klimatowi już w średniowieczu zakładano tutaj winnice, co lokalnym mieszkańcom pozwalało osiągnąć znaczny dobrobyt”.

Owo współbrzmienie wydaje się szczególnie istotne, by pomóc zbliżyć się czytelnikowi do postaci i dzieła twórcy *Czarodziejskiej różdżki*, ku łukowickiemu *genius loci*. W eseju towarzyszącym Szymikowemu tłumaczeniu *Dwunastu wierszy* (2007) autor przekładu tak wyjaśnia brak polskiego „słuchu” w tym względzie: „Są tu klimaty zupełnie nieznanne odbiorcy, którego gust i słuch literacki zostały ukształtowane na polskich romantykach. Można też przeczytać wszystkie polskie historie literatury, wszystkich Krzyżanowskich, Chrzanowskich i Miłoszów – a z czymś takim się nie spotkać. To klimat leśnych ostępów braci Grimm. Owszem, stąd krok tylko do języka Nibelungów i języka, który w dorzeczu Wisły nie zawsze, nawet pięćdziesiąt lat po wojnie, kojarzy się najlepiej, ale też tylko krok do Hegla, Heideggera i do tego co najlepsze w niemieckiej sztuce myślenia i życia”.

Na koniec oddają głos samemu mistrzowi, który na trzy miesiące przed śmiercią w sierpniu 1857 roku, tak pisał do córki Therese i wierzę w to głęboko, w jakimś sensie i do nas: „Miałbym dla Was całą masę wiadomości i to dość interesujących, ale opisywanie tego zajęłoby zbyt wiele czasu; zatem wszystko ustnie w zwykłej, przytulnej atmosferze, za którą tak bardzo tęsknię (...).”

Margarethe Korzeniewicz, *Joseph von Eichendorff inaczej*, Wydawnictwo Silesia Progress, Kotórz Mały 2020, s. 200.



**Veni, Sancte Spiritus** taki tytuł nadał ks. Jerzy Szymik trylogii. W słowie wstępnym napisał: „Tym właśnie i o tym jest ta trylogia: modlitwą do Ducha Świętego i o Ducha Świętego – dla mnie, dla moich sióstr i braci, dla mojego Kościoła, mojej ojczyzny, mojego świata. Dla czytelników tej potrójnej księgi. Stoję bowiem w dużej mierze bezradny, jak wszyscy wobec złożonej rzeczywistości trzeciej dekady XXI w. I mam tu na myśli każdy wymiar komplikacji i dramaturgii tego czasu: duchowy, intelektualny, moralny, społeczny, polityczny, wiele innych”.

Na tom pierwszy (*Życie z Ewangelii*) składają się komentarze do Ewangelii, tak gatunkowo określona przez autora: „nie egzegzeza, a też nie homilia, coś jak Twitter?“, uporządkowane według kanonu biblijnego. Słuchacze Radia eM rozpoznają w nich zapewne słowa wygłaszane przez ks. Jerzego Szymika na antenie w ramach cyklicznej audycji *Ewangelia z komentarzem*, której internetowa reklama głosi: „Poświęć 10 sekund, aby codziennie otrzymać Słowa Najważniejsze”.

Autor stawia na „osobisty sposób odczytania” ewangelicznych tekstów. To zresztą stała i poniekąd główna cecha Szymikowej twórczości, dzięki której jej autentyczność dla czytelnika staje się bezsporna. „Ex cathedra” zamieniona na „wspólną wędrówkę” pozwala na zniwelowanie dystansu, bliskość, wręcz intymność obcowania z odbiorcą. Nie znaczący to jednak, aby autor w jakiś sposób się przyznał rezygnując choćby z ułamka swoich poglądów. Nie są ostre jak brzytwa i jednoznaczne. Niech pierwszym z brzegu przykładem będzie fragment komentarza do sceny z Mateuszowej Ewangelii o uzdrowieniu paralityka, kiedy Jezus odpuszcza mu grzechy, którą autor tak komentuje:

„Są ci odpuszczone grzechy i opuszcza cię paraliż. Nie ma tych podwójnych pęt. Któż może odpuszczać grzechy prócz jednego Boga? Słusznie. On bluźni. Tydzień modlitw o jedność chrześcijan. Wielowiekowe spory o to, kto tu bluźni. Jak ma wyglądać sakrament odpuszczenia grzechów? I czy to w ogóle jest sakrament?”

Katolickie konfesjonały w luterkańsko-katolickich (z grubszą) Niemczech pozamieniano w niejednym kościele na przechowywanie środków czystości (resentyment? Miotła i ściera jako ekwiwalent rozgrzeszenia?). „Nigdy jeszcze nie widzieliśmy czegoś podobnego”.

Pucować podłogę, nie serce? Bo łatwiej, wy mierniej? Czyli jednak leczyc paraliż niż odpuszczać grzechy? Łatwiej?

Pan pyta: czemu myśli te nurtują w waszych sercach?”

Ostry przykład, dosadne pytania, które nie pozwalają uciec w obojętność, a wymagają odpowiedzi „tak, tak; nie, nie” (Mt 5,37), „znaki rozstrzelone” i osobiste, intymne wręcz wyznania, jak to: „I kiedy siadam bądź klękam pod ową ścianą, [kaplica Wydziału Teologicznego z Katowicach z napisem „Głosimy Chrystusa Ukrzyżowanego, zawołanie abp seniora Damiana Zimonia – PS] z coraz większą intensywnością wraca myśl: głosić Ukrzyżowanego w zasadzie się nauczyłem podczas 40

## Trylogia ks. Jerzego

KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

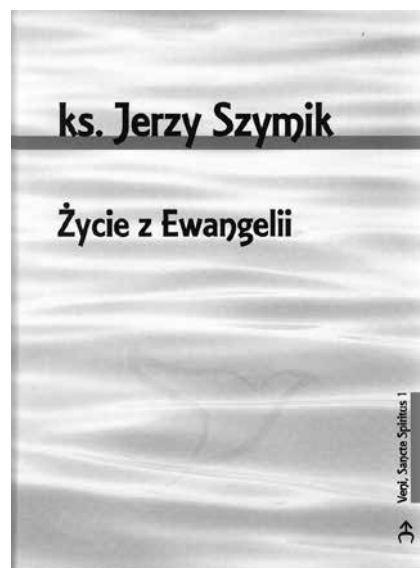
lat kapłaństwa. Ale naśladować? Zapierać się samego siebie? Tracić życie? (...)” – są najmocniejszą stroną Szymikowych komentarzy.

Tom drugi (*Światło z teologii*) to szeroko rozumiana diagnoza „tu i teraz” rozpisana na partyturze tekstów stricte naukowych obejmujących teologię, a wśród niej bliski autorowi fenomen dzieła Benedykta XVI, pogranicza estetycznego teologii i diagnozy współczesności z podstawowym pytaniem o Kościół. A ponieważ teologia jest podstawowym w niej źródłem oglądu rzeczywistości Książd Szymik tak ją scharakteryzował, wyjaśniając podstawowe zdania tomu: „Dwa sposoby rozumienia i definiowania teologii są mi szczególnie bliskie. Pierwszy określa *scientia fidei*, naukę wiary, jako wędrówkę rozumu za sercem dotkniętym przez Boga łaską wiary. (...) Drugie ujęcie wychodzi z etymologii. Theo-logia jest słowem o Bogu, szerzej mową o Bogu, ale – jeszcze szerzej i głębiej – nie monologiem, lecz Roz-mową o Bogu, rozmową, w której bierze udział sam Bóg”.

Chciałbym, by tym właśnie była ta książka. Zbiorem racjonalnych argumentów służących wierzącemu sercu, zborem dwudziestu kilku szkiców – rozmów o Bogu, w których uczestniczy, ba, które prowadzi z nami dzisiaj sam Bóg”.

Wśród tematów rozmów z pogranicza teologii i estetyki, który mnie najbardziej zainteresował pojawiają się najwięksi twórcy współczesnej kultury. Jest wśród nich Wojciech Kilar, Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Raffaela Fazio, Jan Sochoń i Olga Tokarczuk.

Omawiając twórczość naszej ostatniej noblistki, która budziła kontrowersje wyrażone dosłownym odsyłaniem książek, ks. Szymik przywołuje zdania wielu krytyków i naukowców wśród których znalazł się wybitny literaturoznawca obecny rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Ryszard Koziołek nazywający Olę Tokarczuk „Córą oświecenia”. Jaką diagnozę postawił autor „Ogrodu”? Czytać Tokarczuk, ale mądrze i to z kilku powodów:



„Po pierwsze i przede wszystkim dlatego, że to świetnie napisana proza mówiąca o rzeczach ważnych, w lot chwytająca to, co najgoręcej współczesne (co nie znaczy, że wystarczająco wobec tego przenikliwa). (...) Po drugie. Literatura Tokarczuk to znakomity sejsmograf, rejestrujący duchowe «ruchy tektoniczne» naszej epoki, na dobre i na złe”. Po trzecie zaś – czytać mając w pamięci słowa innego naszego noblisty Czesława Miłosza o tym, że „mieszkaniec Polski, szukając duchowego pokarmu, albo ma katolicyzm, albo nie ma nic”.

Tom trzeci swojej trylogii (*Moc ze słowa*) ks. Szymik zaopatrzył w następujący komentarz: „Pragnę, by każdy z tekstów tej książki był Dawidową procą służącą miłości i trzeźwemu myśleniu”. W tomie znajdziemy felietony, które ukazywały się na łamach „Gościa niedzielnego” w rubryce zatytułowanej *As z rękawa*. Autor tak charakteryzuje we wstępie zawartości tomu: „Tematyka jest rozległa, różny też nastrój tekstów: Są i kwestie bieżące, i ponadczasowe; jest i polemika, i refleksja; jest i gorąca reakcja, i spojrzenie z dystansu. Są prezentacje książek będące podpowiedziąmi w sprawie lektury; są szkice o nachyleniu duszpasterskim, niemało poezji. Niewątpliwie w tych felietonach czytelnik znajdzie wielkie emocje i żarliwość, które przekładam na racjonalny język i argumenty. (...) Poruszam się po pograniczu kościelno-społeczno-politycznym, mając od dawna awersję do tępego sloganu o tzw. niemieszaniu się Kościoła do polityki. Który to banał ma zagipsować usta Kościoła, zdusić jego teologiczno-duszpastersko-moralny głos w sprawach istotnych dla naszego świata i epoki”.

**Jerzy Szymik, *Veni, Sancte Spiritus* (tom 1: *Życie z Ewangelii, komentarze*, tom 2: *Światło z teologii, szkice*, tom 3: *Moc ze słowa, felietony*), Księgarnia św. Jacka, Katowice 2022.**

To jest książka konkretna i treściwa. I nie da się jej „przełknąć” od razu. To nie lektura dla lekkoduchów, to nie poezja. To raczej ciężka – bo prawdziwa, a momentami tragiczna – refleksja badacza, który opisuje położenie najliczniejszej i najważniejszej warstwy społecznej w nie tak dawnej Polsce (wychodząc od Rzeczypospolitej szlacheckiej). Bo chłopów traktowano jak niewolników. W nawiasie dodałbym – podobnie jak amerykańskich – bo redaktor Korczyński zakochany jest w Dzikim Zachodzie i westernie, i ten wątek (słusznie) eksploruje. Polscy chłopci znajdowali się w całkiem podobnym położeniu, jak amerykańscy czarnoskórzy sprowadzani z Afryki. Polscy chłopci byli tak samo zniewoleni, lecz starali się – przynajmniej te bardziej świadome i przedsiębiorcze jednostki – wyrwać z tego przeklętego łańcucha upodlenia. Z tych celowych – wprowadzonych przez stróżów ówczesnego porządku, a więc możnych, koronę i Kościół – oków. Cokolwiek się tu powie będzie truizmem zniekształconym jeszcze przez historię polityczną (PRL-u i obecną). Nie czarujmy się, szkoła dalej jest instrumentem indoktrynacji. Historia w niej jest nauką polityczną, by nie rzec propagandową. Przykład – brak w historii Polski obecności Śląska i Ślązaków. Tę szkołę nie uczy. Nie chce uczyć, ograniczając się do zdawkowych hasełek. Najczęściej narodowo-wyzwoleńczych.

Podobnie jest z chłopami i ich niedołą. Boże, jak to brzmi! I jak to opisać, by zabrzmiało poważnie, a nie szkolno-groteskowo. Korczyńskiemu chyba się udało, bo zmusił mnie do (kilkukrotnego) przzerwania lektury i dojścia do gorzkiej refleksji. Jakiej? Niech się każdy (ciekawym) sam nad książką pochyla. Mózg zmęczy dociekaniem istoty rzeczy. Powiem tylko, że (samo) świadomość, iż pochodzi się ze społecznych

KSIAŻKI

nizin – w końcu tak jak większość moich rówieśników pochodzę z rodziny chłopsko-robotniczej – nie pomaga. Determinuje, to prawda, do upartej wędrówki dalej, w głąb. Ale ta świadomość – że zawsze chłop, robotnik i jego dzieci, potomkowie – mają pod górkę. Że warstwy uprzywilejowane bawią się jego kosztem. Mamią jakimiś haselkami o dobrobycie, a w gruncie rzeczy dbają tylko o własnej cztery litery, własną wygodę, i swych powinowatych, oraz czasem licznych potomków, tworząc kliki i koterie... Kłamię? Przecież tu się nic nie zmieniło od stuleci? Czyż teraz dziecko chłopskie, robotnicze nie musi wykazać się większym samozaparciem niż jego inteligentki, biznesowy rówieśnik, by coś w życiu zdobyć, osiągnąć? Jakakolwiek wolność,

GRZEGORZ SZTOLER

niezależność – miernikiem której jest teraz, niestety, mamona. Czyż nie?

Wpędził mnie Korczyński w te niemal rewolucyjne rozważania. Tak. I rozterki. Bo cały czas brakuje nam rzetelnego opisu – choć są prace wartościowe – ludowej historii. Większość Polaków to jednak przede wszystkim ich potomkowie. Nie jakichś mitycznych Sarmatów. Tych już nie ma, wyginęli, choć ich ideologia przetrwała w megalomanii narodowej jakże obecnej choćby w szkolnym przekazie. I potem takie chłopsko-robotnicze dziecko chce odzyskiwać sarmackie kresy dawnej Rzeczypospolitej. To jest efekt szkolnej mitręgi w szkole podstawowej i średniej. Czy o to chodziło?

By przybliżyć ideologię (może lepiej tematykę) książki, przez kilka tygodni na jej marginesach pieczołowicie notowałem, zakreślałem ważniejsze myśli, celniejsze uwagi redaktora Korczyńskiego. W końcu zgrupowało się tego tyle (i to dobrej jakości) – że sam nie wiedziałem, co wybrać. Pozostaję więc przy tym, co we wstępie. Bo już sam wstęp – jak zawsze w dobrej szkole pisarskiej – jest tworzony na końcu wprowadzając czytelnika w klimat książki. Zaczę od cytatu, z motywem Szeli, zdaje się ulubieńcu redaktora Korczyńskiego, który przewija się w poprzednich książkach:

„Jakub Szela, który podniósł siekiere na swego pana, został uznany za zdrajcę Polski. Jednak był także chłopem cesarskim, który masakrując powstańców krakowskich i szlachtę w cyrkułe tarnowskim, liczył na to, że »najjaśniejszy pan«, cesarz Austrii zniesie pańszczyznę i da chłopom wolność. Zarówno na dożynkach w Szczepanowicach, jak i w krwawej zapusty 1846 roku szlachta przegrała walkę z zaborcą o chłopską duszę...”

I o chłopskim niewolnictwie:

„Dziś znowu – i bardzo dobrze – trwa dyskusja o niszczycielskim wpływie upo-



Atmosfera skupienia... Prowadzący letnie spotkanie, historyk Dariusz Zalega (z lewej) i redaktor „Polski Zbrojnej”, pisarz Piotr Korczyński, rodem z Galicji, sercem ze Ślązakami...



śledzenia chłopów przez szlachtę na historię Rzeczypospolitej. Adam Leszczyński w »Ludowej historii Polski«, Michał Rauszer w »Bękartach pańszczyzny«, Kasper Pobłocki w »Chamstwie« i inni słusznie łączą system pańszczyzniany z niewolnictwem... nie o miskę kaszy (nawet ze skwarkami) tutaj chodzi – niewolnicy na plantacjach bawełny w Ameryce także byli dobrze żywieni. Tylko głupiec źle traktował kogoś tak cennego, jak dobrze pracujący niewolnik, czy chłop pańszczyzniany. Tu gra szła o wyższą stawkę – o wolność, możliwość kierowania własnym losem, poczucie godności, perspektywę lepszego życia dla siebie i swych dzieci. Te wyższe potrzeby są typowe dla wszystkich ludzi, nie tylko dla elity...»

Nic dodać, nic ująć. Resztę podróży Korczyńskiego (gorzkim) chłopskim losem, zostawiam Czytelnikom.

\*\*\*

Redaktor Piotr Korczyński, autor „Zapomnianych...” gościł w połowie czerwca w klimatycznym Rebel Barze przy głównej bramie chorzowskiego Ogrodu Zoologicznego, gdzie promował swą twórczość – a przy okazji związki (a raczej fascynację) ze śląskim westernem. Prowadzący spotkanie, miłośnik wszystkiego, co śląskie i sprawiedliwe zarazem, historyk i publicysta Dariusz Zalega, w czeskich browarach znakomicie obeznany, gawędziarsko i ze swadą prowadził z zacnym autorem intelektualną dysputę, której fragment poniżej przytoczę – bo dotyczy omawianej książki (i wcześniejszych w jakimś stopniu też). A po co cytować „co autor napisał”, czy „co miał na myśli”, skoro sam powiedział, co chciał. Co mu w duszę zagrało (a grało, że hej!). A więc...

#### Fragmenty nieautoryzowanego dialogu między panem autorem, panem prowadzącym a publiką

Darek: Żyjemy w świecie historii, której uczą nas w szkole. A wiadomo – w szkole,



Książki Korczyńskiego były wielokrotnie omawiane na łamach „Śląska”. Jesteśmy na bieżąco. Znamy i „Śladami Szeli”, „Przeżyłem wojnę...”, jaki i „Zapomnianych...” – tu recenzowanych.

jak jest historia, no to musi być taka, jaka odpowiada aktualnie rządzącej władzy. A czasami są to historie tak... nietypowe. To są te historie życia babci, dziadka – omy, omy... Czy masz też coś takiego u siebie?

Piotr: Tę książkę napisałem właśnie dlatego, że cały czas wspominam swojego dziadka, z którym jak byłem małym dzieckiem, prowadziłem wielkie dyskusje. Biecz, z którego pochodzę, jest w Galicji, która – wiadomo – była pod rządami Austriaków... To były lata 80. Pamiętam, przychodziłem do dziadka i mówiłem tak: „dziadku, a byłeś na wojnie?”. „Byłem”. „A w którym roku?”. „W 1920”. „No to ty, dziadku, biłeś się z bolszewikami?”. „Nie, biłem się z Moskalami”. „A to w jakim byłeś wojsku?”. „No ja byłem w wojsku polskim, ale ja jestem Austriakiem”. „Jak to – ty jesteś Austriakiem? Przecież nie mówisz po austriacku! Jesteś Polakiem!”. „Nie, ja jestem Austriakiem, Je-

stem Austriakiem polskojęzycznym. Biłem się z Moskalami”. I to było takie pomieszanie z poplątaniem...

Darek: ...Z tej książki wynika też taka jednak rzecz... Kiedy mamy do czynienia z wizją czy polskości, czy Śląska, to ta wizja zawsze się rozchodzi między wizją elit, a wizją „ludzi z dołów społecznych”, tych chłopów. Bardzo fajnie jest w tej książce opisana historia, jak to słynny król Batory chciał stworzyć chłopską piechotę wybraniecką. Tylko miał problem, no bo szlachcie bardzo się opłacało mieć tych chłopów jako darmową siłę roboczą. A nie żeby szli do armii. I to się potem powtarzało w polskich dziejach.

Piotr: Praktycznie do drugiej wojny światowej. Może powiedzmy tak – najwyraźniej do 1920 roku. To był jednak przełom, jeśli chodzi o historię chłopów w Wojsku Polskim. A wcześniej oczywiście masz rację. To zawsze było takie mitologizowanie (...) W tej książce staram się trochę inaczej przedstawić Bartosza Głowackiego i kosynierów... I o co właściwie Kościuszce chodziło w odniesieniu do chłopskiego wojska.

Darek: Każdy z nas ma jakąś wizję, no bo żyjemy w „czasach narodowych” – jesteśmy tak wychowani, i tak dalej... I nie ma czegoś takiego, jak wzór śląskości, czy niemieckości, czy tym bardziej polskości, taki wiecie – pod kłosem... Że musi być taki albo taki... Że Polak katolik, do tego z wąsem najlepiej, i tylko przy fłaszce... To tak nie działa, bo te wizje polskości są bardzo różne...

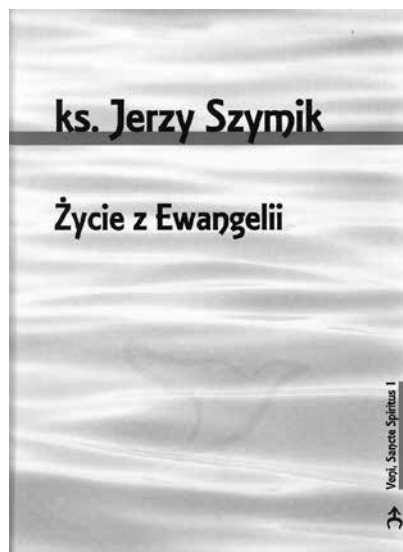
Nic dodać, nic ująć. Nie ma to jak czeski klimat, który sprzyja dyspacie. ■



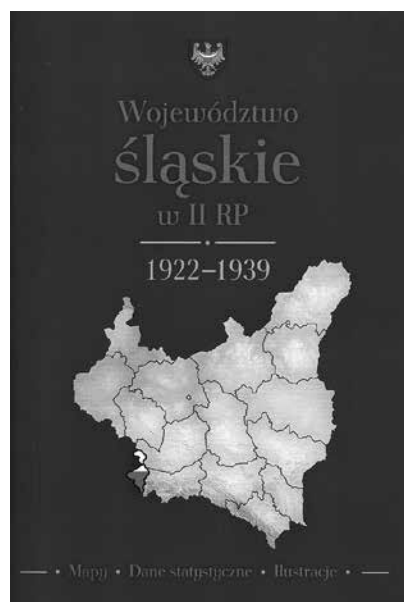
Piotr Korczyński, *Zapomniani. Chłopi w Wojsku Polskim*, Znak HORYZONT, Kraków 2022, 368 s.



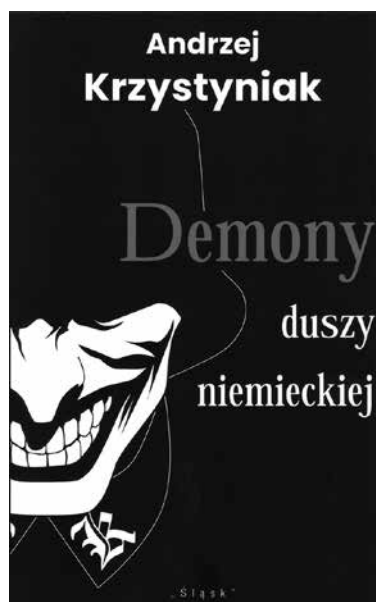
Marta Fox, *Katowice nie wierzą łzom*. Wydawca: „Śląsk”. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Ks. Jerzy Szymik, *Życie z Ewangelią*. Wydawca: Księgarnia św. Jacka, Katowice 2022.



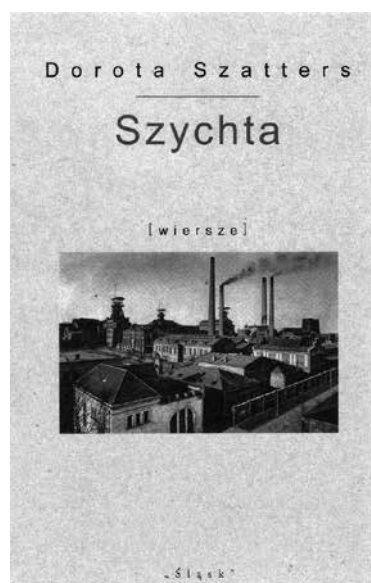
*Województwo Śląskie w II RP 1922-1939. Mapy, dane statystyczne, ilustracje*. Wydawca: Biblioteka Śląska w Katowicach, Katowice 2022.



Andrzej Krzystyniak, *Demony duszy niemieckiej*. Wydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Witold Turant, *Uśmiechnięta ryba historii*. Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2022.



Dorota Szatters, *Szychta (wiersze)*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



# Moje Dendrarium

KINGA WALUSZEWSKA-MACIUSZKIEWICZ

W realizowanym obecnie dużym cyklu, którego bohaterami i modelami uczyniłam drzewa i które znalazły się w lipcu i w sierpniu br. na wystawie w Galerii Teatru Ateneum, zafascynowała mnie ich – czasem jawna, czasem ukryta – niejednoznaczność przejawiająca się w rysunku na pniu, w grubości i w strukturze kory; zainteresowała mnie abstrakcyjność formy, jaką można dostrzec zarówno we fragmencie, ale także w szerszym ujęciu; zainteresowała mnie fragmentaryczność jako iluzja innego, inaczej postrzeganego – przynajmniej z pozoru – świata. Ta swoista „morfologia”, przyglądanie się z uwagą, wyodrębnienie fragmentu pozwala dostrzec, w moim przekonaniu, znacznie więcej. Pozwala na wejście w świat, który jest bardzo blisko, w zasięgu wzroku każdego z nas, ale który czasami nam umyka, którego z różnych powodów nie dostrzegamy. Drzewa mogą fascynować, na ich pniach odciska się ślad życia rejestrując jego powolny, niezmienny przebieg. Można ten cykl interpretować jako głos w sprawie ekologii, można jako czysto malarską fascynację, ale z pewnością także jako czułe pochylenie się nad zmiennością i nad zatrzymaniem i także, całkiem po prostu – nad pięknem tego elementu przyrody.

Materiałem wyjściowym najczęściej jest zrobiona przeze mnie fotografia, później przetworzona, malarsko „oczyszczona” niejako ze zbędności, przefiltrowana przez środki malarskie. Mam nadzieję, że staje się przez to wypowiedzią na tyle osobistą, że nazywam ją *Moim dendrarium*. ■



Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, z cyklu *Drzewa (frag.)*. Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan

**Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz** – ukończyła ASP w Krakowie, Wydział Malarstwa w pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego. Zrealizowała kilka cykli malarskich: „Martwe natury”, „My”, „Oni”, „Kamienie”, „Drzewa”. Zorganizowała szereg wystaw indywidualnych, ważniejsze to: DK Myślenice 1979, Galeria „Bez Profilu”, UŚ Cieszyn 1983, KMPiK, Katowice 1985, Galeria „Terra Incognita”, Kraków 1996, Galeria Polskiego Radia „Na żywo”, Katowice 2008, Galeria „Piano Nobile”, Kraków 2009, Galeria Teatru Ateneum, Katowice 2022. Udział w wystawach zbiorowych: Ogólnopolskie Triennale Portretu Współczesnego w Radomiu, „Kobieta we Współczesnym Malarstwie Polskim” – Praga, Bratysława, Salon Zimowy w Radomiu, „Kobieta w Malarstwie Polskim – Praga, Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego – Szczecin, Wystawa „Grupy Sztuki Ekspresyjnej” w Katowicach, Contemporary Polish Art – Rotterdam, Ogólnopolski Festiwal Małych Form „Minima de...” w Bytomiu, Triennale z Martwą Naturą w Sieradzu, „Woman” – Biafalin Online Group Exhibition, „Kiss, kiss my mystery... live” – Galeria Teatru Korez, Katowice, Wystawy Okręgowe ZPAP.



*Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, Drzewa 9 (z cyklu Drzewa). Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan*





Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, *Drzewa 5* (z cyklu *Drzewa*). Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan



Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, *Drzewa 4* (z cyklu *Drzewa*). Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan



Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, *Drzewa 2* (z cyklu *Drzewa*). Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan





*Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz, Drzewa 3 (z cyklu Drzewa). Akryl, olej na płótnie i na papierze. Fot. Michał Cygan*

# Poetka powietrza

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



fol. arch.

Kocham wariatów. W moim słowniku idealista to taki sympatyczny wariat. Za tem – kocham idealistów. Największą miłością darzę idealistów twórczych, ciekawych lepszego: ludzi, którzy chcą nie tyle w dobrej wierze – czy za wszelką cenę – poprawiać świat (północnokoreańscy liderzy też chcą), ile uczynić go niebanalnym, przyjemniejszym z punktu widzenia nowych doświadczeń i doznań, którzy chcą go uczynić barwniejszym. Wszystko jedno, czy będą to mądrzy a dobrotliwi kapłani, oryginalni artyści, pomysłowi naukowcy, sympatyczni kierownicy autobusów, czy wreszcie miłe, roześmiane, wytatuowane dziewczyny z kolorowymi fryzurami.

Mówiąc inaczej: wierzę w to, że każdy posiada wrodzoną ciekawość, której rozwojem należałoby się troskliwie zajmować, lecz którą w trakcie kolejnych stadiów egzystencji tłamszą społeczne konwencje – konwencje uprzednio wpojone tłamszonym nadawcom narzucającym je teraz (taka zemsta za własną słabość) zależnym od nich choćby chwilowo odbiorcom, tzn. ofiarom; przykładami pierwszymi z brzegu są przedszkole i szkoła (ta ostatnia nieodmiennie tłamszona przez ciała nadzorcze, więc co robić), a potem biuro. Uniwersytety, jak również inne pseudowiększe uczelnie, które plenią się jak chwasty, to w sumie drukarnie bezużytecznych dyplomów, nic ponadto. Świadczy o tym m.in. tragiczne zawężenie pola społecznej akceptacji: widzimy przecież, że humaniści staczają się na dno (po co nam bezproduktywni mądrzele?); na artystów się złorzeczy (po co nam narcystyczne leniuchy?); lekarze i pielęgniarki nie wiedzą, gdzie się podziać; nauczyciele ledwo zipią – co tu dużo mówić, discopolizm pełną gębą. Jedna, panie, schizofrenia socjalna: ciekawość świata zastąpiła oficjalnie agresja (wystarczy sledzić, co i jak dzieje się w polityce); miast społecznego dyskursu mamy prymitywną a małostkową przepychankę, ba, bijatykę.

Zdawał sobie z tego sprawę Bogusław Schaeffer, który w wydanej w 1990 roku pracy (złożonej do druku w 1986), Kompozytorzy XX wieku, pisał: Na Zachodzie wciąż jeszcze dobiera się nazwiska, stale manipuluje się kompozytorami i kwestia uzdolnień, rzemiosła, kwalifikacji twórczych staje się wtórna wobec kwestii, kiedy, jak, kogo i dlaczego popierać. Tego lansowania nie można w muzyce pomijać [...]

i dlatego z wielką rezerwą trzeba się odnosić do kompozytorów propagowanych na siłę, wbrew rozsądkowi.

Schaefferowskie uogólnienie jest niekompletne bez poprawki – otóż to nie tylko na „Zachodzie” dobiera się nazwiska, bo robi się tak wszędzie (nie trzeba daleko szukać) i nie tylko kompozytorów, ale i innych przedstawicieli środowiska, w tym przypadku muzycznego, chociaż wszystkich środowisk zawodowych to tak samo dotyczy. Zaś w warunkach doprowadzonej do przesady poprawności politycznej takie aberracje tylko się mnożą. W dzisiejszym świecie pobłogosławiono stawianie na głowie.

Sztuka polega na tym, żeby się nie poddać, żeby tę wrodzoną ciekawość pielęgnować, żeby się nie dać. I tu wkracza wariacki idealizm – antidotum na głupawą przeciętność.

Ten wariacki idealizm charakteryzuje poczynania osoby niebywalej i bardzo utalentowanej, oboistki Aleksandry Panasik.

Ola jest absolwentką gdańskiej Akademii Muzycznej, gdzie w 2021 uzyskała doktorat w dziedzinie wykonawstwa. Studiowała tam pod kierunkiem słusznego szanowanego pedagoga, profesora Józefa Raatza. Studia uzupełniała w Hochschule für Musik und Darstellende Kunst w Stuttgarcie, a następnie w Hochschule für Künste w Bremie. Uczestniczyła w licznych kursach mistrzowskich, które prowadzili m.in. Washington Barella, Jérôme Guichard, Diethelm Jonas, Tomasz Miczka, Fabien Thouand, David Walter, Henry Ward, Gregor Witt – prawdziwe asy wirtuozerii, „who is who” sceny obojowej. Od lat najwcześniejszych wykazywała nie tylko niepoślednie uzdolnienia, ale i poznać – zaiste! – ciekawość. Jak mi sama powiedziała, interesuje ją oczywiście tradycyjny repertuar na oboj (są to głównie dzieła barokowe i klasyczne, w okresie romantycznym oboj, w przeciwieństwie do fortepianu, skrzypiec, wiolonczeli nie cieszył się wzięciem), ale – z czym się zgadzam – znacznie bardziej pociągająca jest według niej eksploracja muzyki najnowszej, która tę ma tę zaletę, że pracuje się z kompozytorami jeszcze żyjącymi, można więc w jakiś sposób brać udział we współtworzeniu dzieł. To jest bezcenny punkt rozumowania artystki – komponowanie, a z drugiej strony przygotowywanie danej kompozycji wcale nie muszą dziać się w samotności,

depresyjnej alienacji; o ileż przyjemniejsza jest współpraca, albowiem obie strony mogą się od siebie ucylić.

W roku 2021, po wysłuchaniu jej nagrań, angielski fenomen nowoczesnego oboju, Peter Veale (Veale oraz Claus-Steffen Mahnkopf są autorami do dziś nieprześcignionej pracy *The Techniques of Oboe Playing*) zaprosił Olę na sześciomiesięczny kurs mistrzowski poświęcony interpretacji Nowej Muzyki. Biorąc pod uwagę pozycję tego wirtuoza na światowej scenie, trudno o lepszą rekomendację, trudno o obiektywniejsze rozpoznanie i potwierdzenie talentu naszej oboistki.

Ta sięga po wszystko, co jej sprawia trudność (tak sobie założyła): gra utwory (prawie) niewykonalne. Pracowałem z nią nad jedną z moich wczesnych kompozycji, którą dobrze zagrać może chyba tylko – za przeproszeniem – wariat(ka) i od razu pojąłem, że mam do czynienia z talentem najczystszej wody, a przy tym osobą o wielkiej kulturze osobistej i niewymuszanej skromności.

Ola „nie istnieje” w mediach – prawdopodobnie jest na to za mądra – powiem tylko, że kilkoro wiodących kompozytorek i kompozytorów napisało dla niej (dodajmy znakomite) utwory, by wymienić takie i takich jak czołowa kompozytorka meksykańska Ana Lara, znakomita koreańsko-amerykańska twórczyni Sungji Hong, kanadyjski mistrz saksofonu Charles Stolte, nie mówiąc o polskim, praktycznie u nas nieznanym a fenomenalnym, kompozytorze Dariuszu Mazurowskim. To tylko kilka przykładów.

Mógłbym się rozpisywać w szczególności o konkretnych umiejętnościach Oli, pisać o jej technice, wibracji, maestrii w sferach niedostępnych większości aktywnych u nas oboistek i oboistów – ale po co? Jak kiedyś powiedział Cristiano Ronaldo: statystyka nie kłamie.

Statystyka nie kłamie również w przypadku Oli, arcymistrzyni instrumentu dętego, oboju – poetki powietrza. ■



\*\*\*

Postanowiłem Cię nigdy nie spotkać  
Za bardzo przypominasz mi dziecko  
Ten zachwyt i śmiech  
To nie dla mnie

Choć daleko mi do zwątpienia  
Wolę w pustym pokoju  
Sam bielić kartki papieru  
I tylko słuchać milczenia

Wymyślę Ciebie  
Wczoraj i jutro tak samo  
Twój zachwyt i śmiech  
Nasze dzieci

### A jeśli Bóg

A co jeśli Bóg  
Tantal  
Co stoi na skale  
żre i pije bezkarnie  
z boginią płodności  
Ciało swego syna  
Najwyższą ofiarę

A co jeśli Izaak  
Pelopsa podzielił los  
W brunatnej sadzawce  
pod ołtarzem krzyku  
pływa ich zdziwiony wzrok

Zasłony nigdy nie było  
i nie została rozdarta

Tylko cisza to świat  
i Boga mlaskanie  
i blask tłustych warg

### Szyf junior

Wracam właśnie z podgórzy Olimpu  
jak co piątek prosiłem  
o kilka kropel ambrozji  
Na tyle zasłużyłem  
pielęgnując mój Korynt  
Otworzyła kobieta którą wybrałeś  
a że mam tę samą wrażliwość  
i słabość do nich  
Zaczęliśmy plotkować  
Od słowa do słowa  
poznałem Tajemnicę  
Sześć dni twojej pracy nad stworzeniem  
okryte było drzemkami i znużeniem  
Jedynie drugiego dnia kiedy oddzielałeś  
wodę od wody – niebo od reszty  
nie zmrużyłeś oka  
Rozumiem  
To twój Korynt  
Siódmego zamiast odpoczynku  
patrzyłeś na to wszystko  
I trudno Ci było zrozumieć  
że z tego na odwal się pradziela  
wyszło praarcydzieło  
Siódmy dzień to żal  
i zachwyt  
Piękne mogło być piękniejsze  
Gdyby nie Twoje ludzkie skłonności  
do wcielania czynu w mowę  
Opowiem to moim współplemieńcom  
jutro to nasz dzień – urodziny  
Siódmego też nie będę odpoczywał  
Wróciłem do początku  
słowo za słowo

Twój owoc dnia szóstego  
Szyf Junior

PS Ulżyj ojcu i przestań spychać ten  
kamień

### Gdy nas nie ma

Jak po makiecie  
fikcja ruchu  
doskonała

Przyświeca nam niewiarygodność  
I niespójność nadnaturalna

Raczej nikt nas nie podsumuje  
Nie odtworzy zmurszałych dzieci  
Naszych myśli

Szara intuicja podpowiada  
Nie doświadcza się niebytu  
A jednak

Dziura po logosie  
Habilitacja z habituacji

Kim jesteśmy  
Gdy nas nie ma

### Spacer

Wyszedłem na spacer  
szukałem poezji  
Znalazłem noc  
Płonącą w bramach ulic  
Przyjaciela mych warg  
Hioba milczącego  
I rodzinę jego w płomieniach  
Boso na ławce tak spał

### Nie wiem

Nie wiem co zrobię, gdy usłyszę wiatr  
na policzkach czerwonych od śniegu  
co spadał prosto na twarz.  
Nie znajdę słów na twoje „czemu?”  
Nie wiem co znaczy serce  
bijące tu i tam  
Słońce oświetla moje ręce  
bezbronne. Płacę jak ptak  
gdy widzi w dwóch pisklętach  
tę siłę, co każe jedno tak  
karmić, a drugie przestać,  
by w ogóle uczynić świat.  
Nie wiem co powiem szczytom gór  
gdy zabierzesz mnie stąd  
Gdzie tonę w morzu chmur  
Na stały już ląd

## Narodziny

Jeśli chcesz powiedzieć Słowo  
jedno tylko  
Co ciąży na sercu jak kamień  
uwiązany  
Nie zrywaj go pochopnie  
bo wzniecić może ogień  
i spłonie świat  
co kwitł przez lata  
Zadbaj wpierw o glebę  
karm się Słowem żywym  
i serce zbuduj nie ze skały  
lecz na skale  
Pozwól rosie osiadać na języku  
co rano i wsiąkać za dnia  
nie otwieraj ust by ziemia  
co pije nie uschła  
źródłem twoim milczenie  
Pomyśl, że gdy wezwie cię światło  
i odsłoni Słowo uprawiane  
nie będzie megafonu  
I nie przykryje dźwięku co drży  
krzyk ani rezonans tłumy dziurawy  
Gdy poczujesz że Słowo ciężkie na tyle  
samo zerwało sznur  
otwórz usta  
pozwól mu wzlecieć  
i wzrokiem odprowadź  
w kwitnący świat

rys. Bogna Skwara



## Pożegnanie

Jednym z ostatnich słów  
Przywołałaś wiatr greckich wspomnień  
O człowieku wielu dróg  
Do jednego domu  
Jakby o jednej nodze  
Przez 10 lat, by strawić 10 lat  
Płonących słońc  
I czerwień egejskich fal

Znajdziesz dom wędrując  
Między Scyllą a Charybdą  
I gniewem oślepionych

Harfa przystroi twój dom  
Uśmiechem warg  
I dym kadzideł wchłonie  
Brunatne ślady walk

Uchyliś okno... wróci wiatr  
tańczącą w deszczu jesienią  
I ten sam co Greka gnał  
Ciebie utuli pościelą

## To się nie uda

Próbujemy  
Wypowiedzieć myśl  
jedno słowo  
Przyporządkować do świata

Zmieszany z bekiem  
Gatunek do rodzaju  
Szekspir? A tak  
Romeo i śmiech  
I cisza nic więcej  
Jeszcze jeden kieliszek świata  
I ostatnim tchem  
Przesuwamy ikonkę  
wtedy zielone  
udało się

## Z gazet

Kontrowersyjny koniec  
ołowiane żołnierzyki  
pojęcia względne

Socjalizm powraca  
a skąd to wie?  
Z czasopism  
To niebezpieczne  
Relikt przeszłości

Jak się nazywa to państwo?  
Gadu gadu liliputek

## Nagie ja w nagości tak nagej, że nienazwanej

Rozmyślając o przyszłości  
ugrzeźłem w niej na dobre i  
na złe mojemu jestem  
otworzyłem bramę przeszłości,  
która się jakoś wcisnęła  
w bramę dwa na dwa  
Uciekłem od tu i teraz  
do lęku przed i wstydu po  
Teraz widzę nagej ja w nagości  
Rozebrane podwójnie z było i będzie  
i rozebrane z tego  
co jeszcze nienazwane



# Zadziwiające losy autografu. Tłumaczenie – nie Kochanowskiego – „Jerozolimy wyzwolonej”

JAN MALICKI

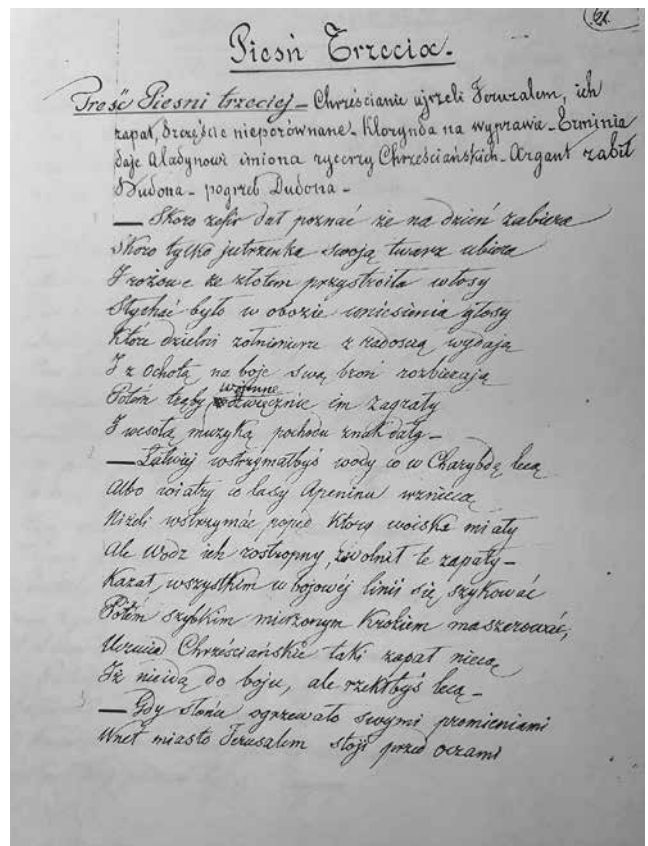
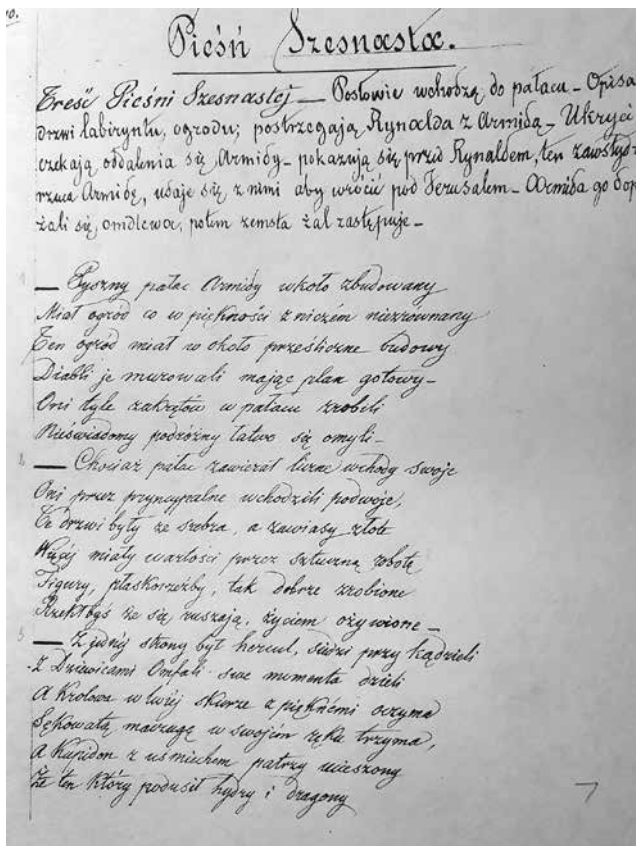
Przypadek sprawił, że szczególnym moim zainteresowaniem cieszyła się „Jerozolima wyzwolona” Torquata Tasso „w przekładaniu Piotra Kochanowskiego”. I nie myślę tu o swoich studiach, kiedy to z zachwytem nad pięknem sztuki przekładu czytałem w pełni skończony tekst w kongenialnym tłumaczeniu. Nie myślę też o toku dydaktycznym wymuszającym (dodam – z przyjemnością) powroty do źródeł. Sprawił to drobny epizod z konferencji w Sorrento, kiedy to międzynarodowa grupa staropolskich „czcicieli muz i panien helikońskich, stojąc na rynku, nieopodal kawiarni, którą zna cały świat, spo-

glądając na pomnik dumy całego miasteczka, recytowała po polsku i po włosku inwokację poematu: „Panno, ale nie Ty...”. Odtąd już zawsze wyczulony byłem na polskie przekłady włoskiego arcydzieła. Tak trafiłem przed laty na rękopis 254 z Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nikłe było zainteresowanie badaczy tym niezwykłym zabytkiem literackim. Co więcej, takie samo zdanie miał przed stu laty wybitny badacz, autor monografii o twórcy i tłumaczu tego dzieła, Roman Pollak, bliższy nam jako wydawca „Officyny” Walentego Roździeńskiego. Ten znakomity poznański uczony, nie

tylko badał ów paryski rękopis, wskazując niepospolitą translacji, odmienność od szkolnej, głęboko skodyfikowanej, powtarzanej wciąż na nowo wersji przekładu Piotra Kochanowskiego, ale też wskazywał atuty. Przede wszystkim unowocześnienie języka i przystosowanie do oczekiwań estetycznych współczesności, przy zachowaniu precyzji sformułowań i wierności kontekstualnych. Współczesności, ale jakiej?

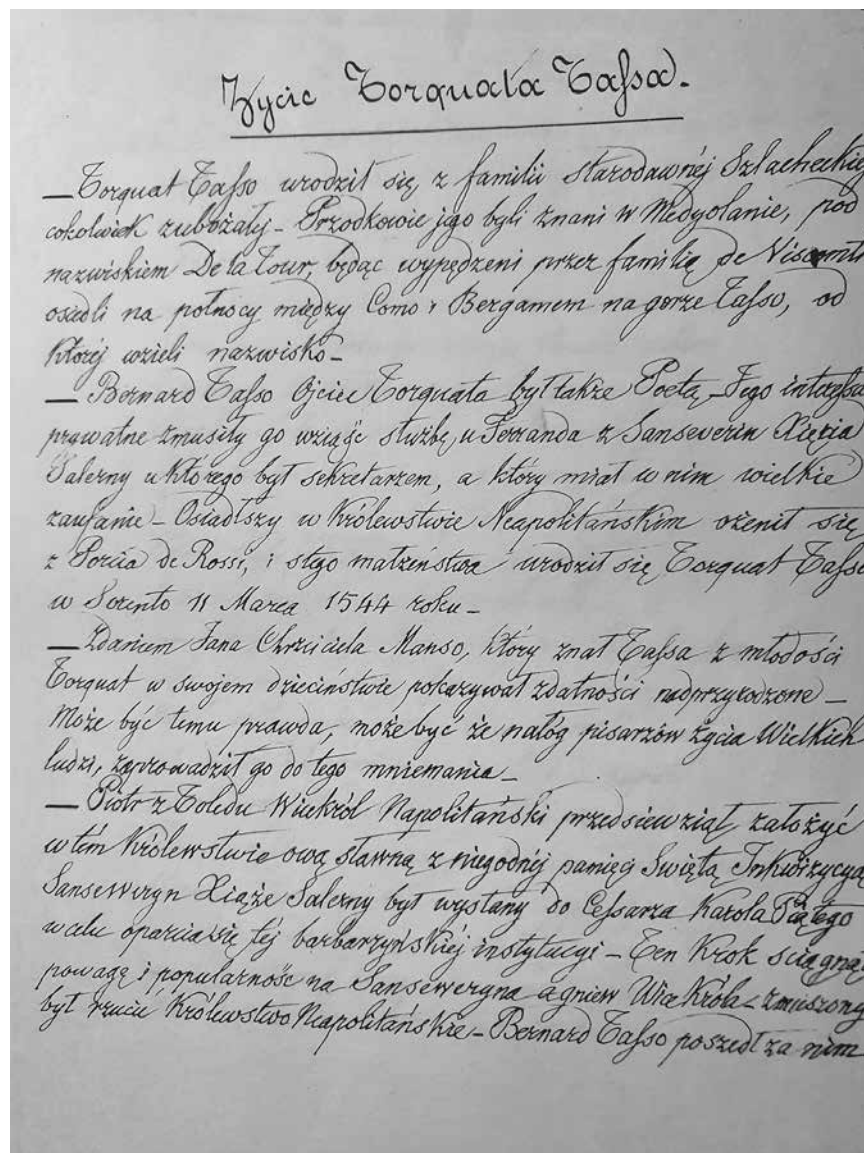
Charakter pisma wskazuje na pierwszą połowę XIX stulecia. Z całą pewnością nie na olbrzymów literatury romantycznej. Ich dokonania literackie, fascynacje twórcze, osiągnięcia



i „drzemki Homerowe” znamy w miarę dobrze. Pisząc to, zadrżała mi ręka. Wszak wciąż pamiętamy przygody dr. Tomasza Niewodniczańskiego z młodzieńczymi utworami Adama Mickiewicza. Opublikowane, stały się wielką sensacją naukowo-polonistyczną. Zatem owego tajemniczego translatora należałoby raczej szukać w gronie ówczesnych, dziewiętnastowiecznych wydawców, wznawiających edycję z 1618 roku, ludzi wykształconych, erudytów, znawców realiów epoki wojen krzyżowych. A takich było wówczas wielu, chociaż wciąż jeszcze czytano XVIII-wieczne edycje oświeceniowe. A i rozległość topograficzna jest zastanawiająca. Drukowano „Jerozolimę” i w Królestwie Polskim, i na Litwie, jak i na Śląsku. Szczególnie ciekawa jest edycja „Gofreda... z przyłączeniem rozprawy obejmującej uwagi nad poezją polską, życiopismo Torquata Tassa i przekład Jerozolimy Pawła Czajkowskiego, we Wrocławiu u Wilhelma Bogumiła Korna z 1820 roku”. Dodajmy, że właśnie wrocławska edycja uchodzi za pierwsze naukowe, krytyczne opracowanie arcydzieła. Jednak nie ten znawca uchodzi za twórcę tego niezwykłego manuskryptu. Badacze włoskich śladów w kulturze literackiej wskazują na dwóch autorów: Dionizego Piotrowskiego i Ludwika Kamińskiego (1786–1867). Dla mnie osobą, która mogła być twórcą przekładu i twórcą rękopisu o sygnaturze 254 z paryskiej Biblioteki Polskiej jest właśnie Ludwik Kamiński. Postać niezwykle barwna. Naturalny syn gen. Michała Kazimierza Pacy, wysoki oficer w wojsku Księstwa Warszawskiego, uczestnik powstania listopadowego, sybirak; nade wszystko poeta i tłumacz. Wszechstronnie wykształcony w Paryżu i Londynie, znakomity lingwista, posługujący się ze swobodą językiem francuskim, włoskim, angielskim i niemieckim. To sprawiało, że był jednym z pierwszych tłumaczy, którzy sięgali do oryginału, a nie pośrednio zazwyczaj tłumaczyli z języka francuskiego.

Do tłumaczenia „Gofreda albo Jerozolimy wyzwolonej” Ludwik Kamiński przystąpił w latach dwudziestych XIX wieku. Jak pisze jeden ze znawców, starał się „zachować ściśle rytmikę oryginału, tak by można było i pod tekst polski podłożyć autentyczną melodię. O wyszukanie tej melodii, śpiewanej na gondolach Wenecji, prosił listem z 25 XII 1827 r. A. E. Odyńca”.

Znane są dalsze losy Ludwika Kamińskiego. Odegrał on znaczną rolę w powstaniu listopadowym. Po jego upadku wyjeżdża w poznańskie. Kontakty z przyjaciółmi umożliwiają druk swoich utworów we Wrocławiu. Tu ukazują się dwa wiersze: „Więzienie” i „Śmierć”. Po powrocie do kraju z zesłania do Wiatki na Syberii (1832–1840), wrócił też i do trans-



latoryki, szczególnie z kręgu włoskiego. „Dokończył – pisze autor jego biografii – tłumaczenie »Jerozolimy« i doprowadził do jej wydania w Warszawie w 1846 roku, zaopatrując utwór w nuty, informację o życiu T. Tassa i pierwszej krucjacie oraz w »Zale Tassa« Byrona”. I to był, powtórzmy, pierwszy pełny, nowy przekład „Jerozolimy wyzwolonej” od czasu Piotra Kochanowskiego. No, i „rozbujały się Hipokreny”. Rozgorzała dyskusja, który z przekładów jest lepszy. Zaczął autor w „Przeglądzie Poznańskim” w kwietniu 1847 roku. Nowego tłumaczenia bronił Waclaw Maciejowski, autor „Piśmiennictwa polskiego”, zakończył go Julian Bartoszewicz, stwierdzając: „Kamiński nie sprostał wszystkim trudnościom i nie zastąpił Kochanowskiego”. Zdawać by się mogło, iż w ten sposób kończą się pełne pasji i nadziei zmagania tłumacza z arcydziełem. Jednak rękopis znajduje się w Paryżu, a nie w Łomży czy w Warszawie. I to już zupełnie inna historia związana z postacią ulubionej córki tłumacza – Zofią (1825–1869), ege-rią emigracji, pisarką (też drukowała

we Wrocławiu), kobietą o niesłychanym temperamencie, przedstawianą przez Juliusza Słowackiego, broniącą przed zawistnikami przez Narcyzę Żmichowską. Twórczynią paryskiego salonu literackiego, w którym bywali: Seweryn Goszczyński, Józef Bohdan Zaleski, Cyprian Kamil Norwid... Ale jej sympatia i szacunek dla ojca była przeogromna. W tym trudnym dla niego okresie, właśnie jemu dedykuje „Legendy historyczne”, pisząc: „Ludwikowi Kamińskiemu, Ojcu, Nauczycielowi, Przyjacielowi, poświęca Autorka”.

I już tylko oczami wyobraźni widzę, jak Zofia Węgierska wyjeżdżając z kraju w 1847 roku, zabiera ze sobą rękopis ojca, którego opus vitae ukażało się rok wcześniej, chłodno przyjęte, czekało na następną swoją szansę. Z czasem znalazło ono swoje miejsce w Bibliotece Polskiej w Paryżu. ■





# NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:  
Anna Gaitoer

## Kręgi Taneczne w Parku Śląskim odnowione

**KATOWICE.** Jak informuje Mariusz Wal z zarządu Parku Śląskiego, jedno z najatrakcyjniejszych i najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Parku Śląskim przeszło kompleksowy remont. Kręgi Taneczne, od 70 lat wpisane w krajobraz Zielonych Płuc Śląska, odzyskały dzięki niemu swój dawny blask. W ramach renowacji wymieniono ich całą nawierzchnię. Asfalt w centralnej części Dużego Kręgu Tanecznego został zerwany, zastąpiła go piaskowa mozaika. Nawierzchnię zmieniono też na Małych Kręgach, które położone są nieco wyżej. W ramach inwestycji odnowiono wszystkie siedziska, teraz spokojnie zmieści się na nich 400 osób. Zadbano o schody, murki, kwietniki, którym dano drugie życie. Wymieniono również oświetlenie.



fol. Rafał Zdunczyk

Dla osób niepełnosprawnych powstały ciągi komunikacyjne, które ułatwiają dostanie się na główną płytę dużego kręgu. Renowacje pod nadzorem konserwatorskim przeszły charakterystyczne rzeźby – Krakowiak, Mazur i Trojak. Wyremontowano również charakterystyczną glorię. Została oczyszczona, odmalowana, a konstrukcję sklepienia wymieniono na nową. Zadanie: „Kompleksowy remont i renowacja z konserwacją dwóch Małych Kręgów Tanecznych oraz Dużego Kręgu Tanecznego w Parku Śląskim” kosztował 11 mln zł brutto. Inwestycja zrealizowana została w ramach unijnego programu JESSICA.

## Wernisaż Agaty Gromady

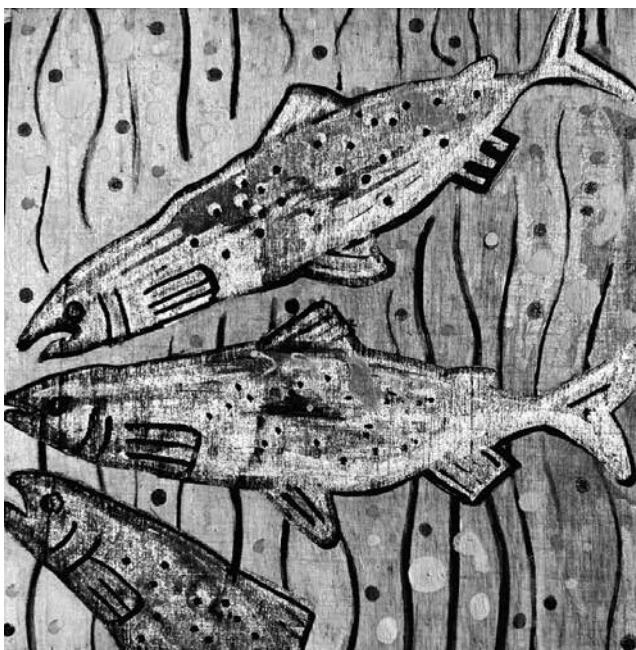
**KATOWICE.** Wieczorem 16 lipca w katowickim klubie i galerii Nowy Dekameron odbył się wernisaż malarstwa Agaty Gromady. Artystka zaprezentowała swoje prace z ostatnich dwóch lat, wchodzące w skład cyklu „Potknięcia”. Pomimo bu-



Malarka Agata Gromada wśród gości na wernisażu

rzowej i niesprzyjającej pogody lokal, gdzie podziwiać można płótna malarki, pełen był entuzjastów sztuki oraz osób związanych ze środowiskami artystycznymi.

– Inspiracje moich obrazów są bardzo odmienne, czasem na fakt powstania jakiegoś obrazu wpływa przypadkowa obserwacja lub sytuacja, w której sama uczestniczę, innym razem – to efekt przemyśleń nad procesem, dokonującym się w przestrzeni publicznej, niezależnie jednak od tego, zawsze na ostateczny kształt mojego dzieła, nieważne, jak dalece abstrakcyjne się ono wydaje, ma wpływ wrażliwość na odbiór rzeczywistości – wyjaśniała w trakcie wernisażu artystka.



Agata Gromada, „Mikrorybki”

Podczas wernisażu malarka zaprezentowała kilkadziesiąt dzieł swojego różnicowanego dorobku, na który składają się zarówno portrety, jak i abstrakcyjne próby opisu wizualnego. Artystka posługuje się głównie farbami akrylowymi lub techniką mieszaną, a jej prace można oglądać do końca sierpnia br.

## Wkrótce Sierpień Talentów

**KATOWICE.** W niedzielę 21 sierpnia w Katowicach rusza XVI Ogólnopolski Festiwal Promocyjny „Sierpień Talentów”. Impreza rozpoczynająca odbędzie się o godz. 11 w Parku Kościuszki, a w razie niesprzyjającej pogody – o 11.30 w Sali koncertowej Miasta Ogrodów, pl. Sejmu Śląskiego 2.

W programie Wokalna promenada: Akademia Operowa Teatr Wielki – Opera Narodowa wezmą udział artyści: Ka-

tarzyna Szymkowiak – mezzosopran, Sebastian Mach – tenor, Paweł Horodyski – bas, Michał Skowronek – fortepian, Natalia Pawlaszek – fortepian, Alicja Kotyl – prowadzenie koncertu.

Przewidziano utwory: Wolfgang Amadeus Mozart – aria Osmina „O, wie will ich triumphieren” z opery „Urowadzenie z seraju” KV 384 (P. Horodyski), Wolfgang Amadeus Mozart – aria Mityrydatesa „Se di lauri il crine adorno” z opery „Mityrydates, król Pontu” KV 87 (S. Mach), Wolfgang Amadeus Mozart – duet Dorabelli i Guglielma „Il core vi dono” z opery „Così fan tutte” KV 588 (K. Szymkowiak, P. Horodyski), Gioacchino Rossini – duet Angeliny i Don Ramira „Un soave non so che” z opery „Kopciuszek” (K. Szymkowiak, S. Mach), Gioacchino Rossini – aria Don Ramira „Si, ritrovarla io giuro” z opery „Kopciuszek” (S. Mach), Gioacchino Rossini – finałowe rondo Angeliny „Nacqui all'affanno... Non più mesta” z opery „Kopciuszek” (K. Szymkowiak), Gioacchino Rossini – aria Don Basilia „La calunnia è un venticello” z opery „Cyrulik sewilski” (P. Horodyski), Gioacchino Rossini – aria Isabelli „Cruda sorte! Amor tiranno!” z opery „Włoszka w Algierze” (K. Szymkowiak), Stanisław Moniuszko – aria Skołuby „Ten zegar stary” z opery „Straszny dwór” (P. Horodyski), Stanisław Moniuszko – duet Stefana i Zbigniewa „Kto tu? Pan brat!” z opery „Straszny dwór” (S. Mach, P. Horodyski)

W poniedziałek 22 sierpnia o godz. 18 w Studio Koncertowym Radia Katowice przy ul. Ligonía 29 odbędzie się impreza **W krainie tańców. Koncert poprowadzi Aleksandra Rudzka-Kurdy.** Wystąpią: artyści z ACh Duo: Aleksander Pankowski vel Jankowski – gitara oraz Noemi Hańczyk – harfa.

W programie znajdują się utwory: Fryderyk Chopin – Preludium Des-dur op. 28 nr 15 „Deszczowe” (opr. Anna Wołowczyk), Fryderyk Chopin – Walc cis-moll op. 64 nr 2 (opr. ACh Duo), Claude Debussy – Suite Bergamasque (opr. ACh Duo), Marek Pasieczny – „Susurrus” na gitarę i harfę, Aleksander Tansman – Suite in modo polonico pour guitare et harpe.

O godz. 18 w czwartek 25 sierpnia organizatorzy zapraszają ponownie do Sali koncertowej Miasta Ogrodów na koncert **Koryfeusze Muzyki Polskiej – Polish Violin Duo.** Wystąpią: Marta Gidaszewska, Robert Łaguniak – skrzypce, Alicja Przytuła – prowadzenie koncertu.

W programie: Grażyna Bacewicz – Suita na dwoje skrzypiec, Miklós Rózsa – Sonata na dwoje skrzypiec op. 15, Michał Spisak – Suita na dwoje skrzypiec, Jindřich Feld – Sonatina na dwoje skrzypiec, András Dercsikei – Balkanoid

30 sierpnia we wtorek o godz. 18 w Sali koncertowej Miasta Ogrodów zaprezentują się **Uczestnicy XVI Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego.** **Udział wezmą:** Sulamita Ślubowska – skrzypce, Maciej Słapiński – fortepian, Wojciech Niedziółka – skrzypce, Robert Łaguniak – skrzypce, Michał Francuz – fortepian, Ewa Kafel – prowadzenie koncertu.

Przewidziano m.in. następujące utwory: Niccolò Paganini – Kaprys Es-dur op. 1 nr 23, Henryk Wieniawski – Etiuda-Kaprys „Alla Saltarella” op. 10 nr 5, Ludwig van Beethoven – X Sonata skrzypcowa G-dur op. 96: cz. IV Poco Allegretto, Henryk Wieniawski – Fantaisie brillante na tematy z opery „Faust” Ch. Gounoda op. 20, Ludwig van Beethoven – X Sonata skrzypcowa G-dur op. 96: cz. IV Poco Allegretto, Henryk Wieniawski – Etiuda-Kaprys „La Cadenza” op. 10 nr 7, Ernest Chausson – Poème op. 25

W środę przed publicznością wystąpią kolejni **uczestnicy XVI Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego:** Klara Gronet – skrzypce, Judyta Kluza-Sporniak – skrzypce, Grzegorz Skrobiński – fortepian, Adam Suska – skrzypce, Michał Francuz – fortepian.

Koncert poprowadzi Agnieszka Nowok-Zych. W programie m.in.: Johann Sebastian Bach – II Sonata na skrzypce solo a-moll BWV 1003: cz. I Grave, cz. II Fuga, Henryk Wieniawski – Fantaisie brillante na tematy z opery „Faust” Ch. Gounoda op. 20, Ludwig van Beethoven – X Sonata skrzypcowa G-dur op. 96: cz. IV Poco Allegretto, Ludwig van Beethoven – X Sonata skrzypcowa G-dur op. 96: cz. IV Poco Allegretto, Henryk Wieniawski – Fantaisie brillante na tematy z opery „Faust” Ch. Gounoda op. 20



# Bielska Zadymka Jazzowa Ekspresja w górach i pod ziemią

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Wyjątkowo widowiskowy charakter miała w tym roku Parada Nowoorleańska, stanowiąca finalny akcent 24. Bielskiej Zadymki Jazzowej. Ulicami Bielska-Białej przemaszerował w ostatnią niedzielę czerwca wielobarwny korowód miłośników jazzu tradycyjnego. Na czele parady można było podziwiać odkrytą limuzynę w szafirowym kolorze, z zasiadającymi w niej artystami z Kuby – niewątpliwymi gwiazdami czerwcowego festiwalu zorganizowanego głównie (ale nie tylko) w geograficznej stolicy Beskidów.

Upalna pogoda niedzielna bynajmniej nie zniechęciła licznych melomanów, którzy tłumnie wzięli udział w muzycznym pochodzie na trasie pomiędzy Placem Ratuszowym a bielskim Rynkiem. W gronie uczestników korowodu nie zabrakło, co ciekawe, Jarosława Klimaszewskiego, rozrywkowego z natury prezidenta Bielska-Białej.

Na schodach zabytkowego gmachu Ratusza ulokował się zaś zespół dixielandowy – Jerry Brass Band. Dźwięki niezapomnianych standardów nowoorleańskich w jego wykonaniu wprowadziły melomanów w radosny nastrój dixielandu.

Marszowy ton nadawali muzycy z paradnej orkiestry dętej Bielskiego Centrum Kultury pod kierownictwem perkusisty – Jarosława Grzybowskiego. W jednej z dwóch otwartych limuzyn jechał Jerzy Batycki, organizator rocznego festiwalu, który w emocjonalny sposób zachęcał przechodniów do przyłączenia się do parady. Na tylnym siedzeniu drugiego z efektywnych pojazdów z minionej epoki zasiedli zaś gorąco oklaskiwani kubańscy muzycy – pianista Chucho Valdes i saksofonista Paquito D'Rivera.

Na trasie słonecznego przemarszu były dwa krótkie przystanki. Na Rondzie Bielskiego Jazzu (w sąsiedztwie popularnej galerii handlowej „Sfera”) dołączyła do parady ekspresyjna formacja perkusyjna „Walimy w kocioł” z Kóz (dużej wsi w powiecie bielskim), a kilkanaście minut później – orkiestra mło-



Jarosław Klimaszewski, wódcarz Bielska-Białej wśród jazzmanów

dzieżowa z Miejskiego Domu Kultury z Czechowic-Dziedzic. Na śródmiejskim placu bielszczanie, czechowiczanie i kozianie zagrali wspólnie, co wzbudziło spore zainteresowanie zgromadzonej tam publiczności.

Głośne brzmienie połączonych orkiestr przyciągało kolejnych melomanów. Im bliżej Starówki, tym bardziej gęstniał tłum maszerujących sympatyków jazzu. Było to niewątpliwie święto radosnego dixielandu, oparte na atrakcyjnych wzorcach amerykańskich.

Po godzinnym przemarszu korowód dotarł na Rynek. Tam zorganizowano koncert afrykańskiego zespołu „City

Bum Bum”, złożonego m.in. z muzyków z Mali, Gwinei, Senegalu i Maroka. Formacja zaprezentowała pulsującą afrykańskimi rytmami porcję ethno-jazzu.

Było to efektowne zwieńczenie kilkudniowej zadymki jazzowej, obfitującej m.in. w górskie koncerty artystów, którzy zagrali w beskidzkim schronisku na Szyndzielni (1001 m n.p.m.). Jazz rozbrzmiewał też głęboko pod ziemią: w zarbrańskiej kopalni Guido (320 m poniżej poziomu gruntu). Muzycy grali ponadto w salach koncertowych w siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach oraz w ultra-nowoczesnej budowli Cavatina Hall w Bielsku-Białej.

Warto bezwzględnie odnotować, że jednym z wielu uczestników jazzowej zadymki był wybitny gitarzysta amerykański Al Di Meola. W jego interpretacji można było usłyszeć m.in. oryginalne wersje beatlesowskich kompozycji Lennona i McCartneya. Do udziału w festiwalu zaproszono liczne grono jazzmanów z różnych krajów.

– Czerwcowej imprezie muzycznej przyświecało w tym roku wymowne hasło geograficzne „Śląsk z góry na dół” – powiedział wysłannikowi „ŚLĄSKA” aktor i reżyser Jerzy Batycki, twórca i organizator festiwalu.

foto. Z. Lubowski



Formacja perkusyjna WALIMY W KOCIOŁ skupiała uwagę przechodniów





fol. Z. Lubowski

*Marszowa formacja paradna Bielskiej Orkiestry Dętej*



fol. Z. Lubowski

*Wodzirej jazzowego pochodu – Jerzy Batycki – w złotej limuzynie*



